LEON WINIAWSKI

młodość za kratami

KSIĄŻKA I WIEDZA

Młodość za kratami

Leon Winiawski

Leon Winiawski Zdjęcie wykonane po wyjściu z więzienia w Rawiczu

W szachy gra nie tylko ten, co umie, umie...
W szachy grywać będziesz rad nie rad.
Gorzej z tym, co gry tej nie rozumie, rozumie...
Częściej on usłyszy słowo: „mat”.
Nieostrożny był raz ze mnie goniec, goniec...
Z odezwami biegał tu i tam,
Nagle szach - i przyszedł na mnie koniec, koniec...
Choć tę partię dotąd jeszcze gram.
Ten mat, ten mat, wysiłek pracy tylu lat!
Ten mat, ten mat, chwilowo zawiódł mnie do krat.
Bo jeśli grać, zasady gry trza dobrze znać,
By wtem, jak raz, roszadę zrobić w czas.

(Urywek z piosenki więziennej, śpiewanej w Mysłowicach w 1928 roku, jak również i w innych więzieniach, gdzie ją różnie interpretowano w zależności od okoliczności i sytuacji politycznej).

I
Lata dziecięce

Lata dziecięce spędziłem w małym miasteczku, Książu Wielkim - jest to obecnie wieś - założonym w XIV wieku na trakcie prowadzącym z Miechowa do Jędrzejowa. Odległość do najbliższej stacji kolejowej wynosiła około 15 km.

Choć fakty, które opisuję miały miejsce w XX wieku, miasteczko było jakby żywcem przeniesione z okresu średniowiecza - prymitywne i zacofane. Niewiele pamiętam z tego czasu, ale najlepiej utkwiły mi w pamięci fakty z lat szkolnych, które w późniejszym okresie przyczyniły się do ustabilizowania mojego światopoglądu.

Szkoła, do której uczęszczałem w Książu, miała być eksperymentalną placówką koedukacyjną, prowadzoną według nowoczesnych metod pedagogicznych.

W praktyce całkowicie wypaczono myśl reformatorów. Ksiądz katecheta zaprowadził taki porządek, że klasa podzielona była na trzy „getta". Chłopcy polscy siedzieli w lewym rzędzie, dziewczynki polskie i żydowskie w prawym. W ostatnich dwóch ławkach tego żeńskiego rzędu siedzieli chłopcy żydowscy. Dzieci polskie dzieliły się jeszcze na miejskie i wiejskie - i tak usadzono je w ławkach. Ta izolacja nie miała oczywiście nic wspólnego z koedukacją jako eksperymentem wychowawczym. Wytwarzały się antagonizmy, często podsycane przez starszych. Prawie każda przerwa zamieniała klasę w pole walki. Orężem bijących się dzieci były często piórniki i linijki.

Pamiętam jedną z takich bójek, która przeciągnęła się aż do przyjścia nauczyciela. Był nim wychowawca klasy - Choćko, młody człowiek pochodzący z tzw. kresów. Dla określenia złego ucznia nie znajdował on innego wyrażenia, jak „bolszewik". Dzieci jednak nie znały znaczenia tego słowa i nie wiedziały, z czym go skojarzyć. W szkole był poza tym zwyczaj, że uczniowie przed lekcją prowadzoną przez każdego następnego nauczyciela witali go słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".

Gdy więc Choćko wszedł do klasy, a wodzowie obozu żydowskiego i katolickiego - Chęciński i Dudek okładali się piórnikami i w klasie wrzało tak, że nikt prawie nie zauważył wejścia nauczyciela, zamiast tradycyjnego „Niech będzie..." wychowawca usłyszał okrzyki, którymi klasa dopingowała walczących wodzów.

Choćko był człowiekiem brutalnym, jego ulubioną metodą „wychowawczą" było targanie za uszy. Najwięcej czuły się tym upokorzone dziewczynki, które również nie omijał taki rodzaj kary.

Wychowawca, krzyknąwszy kilkakrotnie, szybko uspokoił klasę, a w bijących się rzucił plikiem zeszytów z poprawioną klasówką. Zeszyty rozsypały się po całej sali lekcyjnej. Chłopcy stanęli na chwilę jak wryci. Choćko zarządził zakończenie walki na swój „pedagogiczny" sposób. Polecił, by Dudek i Chęciński wyszli na środek klasy i przez wzajemne ciągnięcie się za uszy rozstrzygnęli spór. Kto silniejszy - ten będzie miał rację.

Siły chłopców były nierówne. Dudek był wysoki, dobrze zbudowany, ale słoniowaty. Chęciński natomiast mały, o wiele słabszy, ale zwinny i sprytny. Dudek, pewny zwycięstwa, stanął na środku

klasy, a Chęciński podszedł do niego, ociągając się nieco. Wyraźnie nie miał ochoty na takie „zapasy", ale nauczyciel srogo poganiał.

Chłopcy chwycili się za uszy. Na początku Dudek triumfował, bo był wyższy. Część dzieci trzymała jego stronę, inne sekundowały Chęcińskiemu. Ponieważ żaden z chłopców nie chciał się poddać, walka zamieniła się w honorową wojnę dwóch grup narodowościowych.

Klasa szybko upodobniła się do hali sportowej, gdzie w środku niby na ringu walczyło dwóch zapaśników. Choćko był tak zafascynowany pojedynkiem, że nawet nie zauważył, iż zarówno dziewczynki, jak i chłopcy w butach wgramolili się na ławki, a nawet na jego stół nauczycielski, żeby lepiej widzieć.

W pewnej chwili, gdy już zdawało się, że zwycięstwo Dudka jest przesądzone, Chęciński gwałtownie podkurczył nogi i całym ciężarem ciała zawisł na uszach Dudka. Wbił się mocno paznokciami i naderwał koledze małżowiny uszne. Po szyi Dudka spłynęła strużka krwi, a Chęcińskiemu z wysiłku buchnęła krew z nosa. Walka jednak trwała dalej.

Dopiero gdy Dudek przewrócił się, pociągając wiszącego na nim Chęcińskiego, i okazało się, że zemdlał z bólu, Choćko przeląkł się, zwłaszcza że Dudek nie odzyskiwał przytomności.

Dopiero po zabiegach lekarki, którą szybko sprowadzono, chłopiec przyszedł do siebie.

Kierownik Rolecki niewiele uwagi poświęcał szkole; nie wyciągnął żadnych konsekwencji dyscyplinarnych w stosunku do nauczyciela Chocki, mimo że ten dalej praktykował podobne „metody wychowawcze".

Takie i tym podobne „zabawy" inspirowane przez wynaturzonego nauczyciela od najmłodszych lat wsączały w dzieci jad nienawiści rasowej, a mniej odpornym psychicznie wypaczały charakter. Przeciwdziałał temu tylko jeden nauczyciel. Był to Gawęcki, przezwany przez swych kolegów „chłopskim filozofem". On jedyny nie mógł zgodzić się z takim stanem rzeczy i na każdej swojej lekcji starał się wytworzyć atmosferę równości i braterstwa, za co większość dzieci bardzo go lubiła.

Z roku 1926 zapamiętałem przewrót majowy Piłsudskiego. Wydarzenie to zastało mnie w V klasie szkoły powszechnej. Nauczycielka historii poświęciła mu pogadankę, na której wyjaśniła nam, że teraz w Polsce marszałek zaprowadzi ład i porządek. Ale na czym miały polegać te nowe zmiany - niewiele wiedziano. Jako dwunastoletni chłopiec też nie mogłem zdać sobie sprawy z sensu politycznego tego wydarzenia. Utkwił mi natomiast w pamięci okres przygotowawczy do uroczystości związanych z triumfalnym przejazdem Piłsudskiego przez Polskę.

Zaraz po dojściu do władzy, wódz ze swoją świtą ruszył w objazd po kraju, zatrzymując się w miastach i miasteczkach.

Książ Wielki również przygotowywał się do przyjęcia tego gościa, nie mogąc przewidzieć, iż nie zatrzyma się on przed bramą triumfalną ani na chwilę.

Na trzy dni przed przejazdem Piłsudskiego miejscowa władza zmobilizowała wszystkich obywateli. Nie pominęła i dzieci szkolnych. Uzbrojono je w miotły i inne akcesoria do porządkowania szosy i miasteczka.

Szosę miano zamieść na przestrzeni 10 km. Odcinek ten ciągnął się od lasu chrustowego do Antołki. Dalsze odcinki porządkowali już mieszkańcy Wodzisławia i Miechowa. Była to syzyfowa praca. Droga zapełniła się setkami pochylonych sylwetek, machających miotłami i gałęziami w lewo i prawo. Nad zamiatającymi unosiły się tumany kurzu, a wiatr z powrotem zawiewał liśćmi i pyłem zamiecione miejsca. Dzieci już w pierwszej godzinie stały się czarne od kurzu, a praca ta miała trwać od świtu do nocy. Trakt był przy tym bardzo ruchliwy. Przejeżdżały przezeń setki furmanek, prowadzono również bydło z pastwisk.

Zwierzęta absolutnie nie doceniały powagi chwili i w sposób naturalny załatwiały swoje fizjologiczne potrzeby na środku już oczyszczonej szosy. Ale policja czuwała! Zmuszała właścicieli furmanek i pastuchów do zbierania łajniaków gołymi rękami - nie było bowiem pod ręką łopat. Nic więc dziwnego, że dochodziło przy tym do zatargów; kłócący się tarasowali szosę, a dzieci, korzystając z zamieszania, okładały się miotłami. Policja poganiała opieszałych, a co gorliwsi nauczyciele sekundowali „władzy". Jedynie Gawęcki śmiał się z tej całej komedii i nie krępując się nikogo, otwarcie demonstrował swój sprzeciw.

Przewrót majowy nie zaabsorbował tak mieszkańców naszego zabitego deskami miasteczka, jak wiadomość, że mój najstarszy brat, Henryk, wnuk „Naftula", poważnego obywatela Książa, mającego własny domek, 5 ha ziemi i liczną rodzinę rzemieślniczą - stał się komunistą, bolszewikiem i został z tego powodu aresztowany przez policję w Zagłębiu.

Słowo: „bolszewik" w pojęciu mieszkańców Książa Wielkiego było synonimem wszystkiego, co złe i bezbożne. Wielu ludzi uważało, jak w średniowieczu, że komunista musi być opętany przez diabła.

Dziadek mój podówczas był głową naszej rodziny - ojciec bowiem już nie żył. Kochał on bardzo wszystkie swoje wnuki, a chyba najbardziej Henryka. Wyrzekł się go jednak i zabronił nam nawet mówić o nim. Zamknął się w domu na kilka tygodni, trochę ze wstydu przed ludźmi, a trochę, żeby obmyślić, co z tym fantem zrobić. Po wielu rozważaniach uznał wreszcie Henryka za nieżyjącego, odprawił przy udziale całej naszej licznej rodziny żałobne obrzędy religijne i w końcu - jeszcze po tygodniowej żałobie - wyszedł z mieszkania.

Matka była w rozterce. Nie wiedziała, co myśleć o swym synu. Całymi dniami i nocami płakała. Uważała wprawdzie, jak wszyscy z jej otoczenia, że pobyt syna w więzieniu jest hańbą dla całej rodziny, instynkt macierzyński podpowiadał jej jednak coś innego: że syn nie może być przestępcą, że nikogo nie mógł skrzywdzić; przecież znała go dobrze, wiedziała, że sam nie dojadał, by zaoszczędzone grosze posłać do domu jako pomoc dla młodszego rodzeństwa.

Dalszy pobyt w domu dziadka stał się dla niej niemożliwy, toteż postanowiła przeprowadzić się do Sosnowca, by być bliżej syna, którego tam właśnie więziono.

W Sosnowcu znaleźliśmy się w środowisku robotniczym. Toteż matka szybko wyzwoliła się z atmosfery presji drobnomieszczańskiej opinii, pozbyła się bojaźni i uległości i łatwo zbliżyła się do

ruchu komunistycznego. Wprawdzie nie miała żadnego wykształcenia, była jednak dobra i mądra. A ciężar wychowania i utrzymania dzieci, spoczywający od lat na jej barkach, wyrobił w niej ogromne doświadczenie życiowe.

Było nas w domu pięcioro: trzech braci i dwie siostry. W 1928 roku wszyscy już należeliśmy do KPP lub do KZMP. Aż do wybuchu wojny zawsze ktoś z rodziny siedział w więzieniu, gdy go wypuszczano, wpadał ktoś inny - i tak na przemian. Niestety, w dwudziestoleciu międzywojennym więzienie było nieodłączną częścią życia i działalności komunistów, z czym matka nasza nigdy nie mogła się pogodzić, a początkowo trudno jej było to nawet zrozumieć. Biegała jednak z paczkami pod bramę więzienną, tam spotykała rodziny uwięzionych, rozmawiała z nimi i pod wpływem tych rozmów szybko przeobrażała się psychicznie.

W niedługim czasie mieszkanie nasze stało się miejscem spotkań żon aresztowanych towarzyszy. W tym gronie matka nie była już sama ze swoimi troskami. Towarzyszki, które do nas przychodziły, miały większe kłopoty, gdyż niektóre z nich jak: Suchojadowa, Kozibąkowa czy Walkowiczowa pozostały z maleńkimi dziećmi bez środków do życia. Borykały się więc z trudnościami wychowania i wyżywienia swych rodzin. Pomimo to zawsze były pogodne, gotowe do dalszych poświęceń, a jeśli wymagały tego warunki, zastępowały mężów w pracy organizacyjnej.

Szczególnie w okresie krótkotrwałych, rzec można, profilaktycznych aresztowań działaczy robotniczych, związanych z przygotowaniami do większych akcji strajkowych lub świąt robotniczych - kobiety brały aktywny udział w organizowaniu demonstracji, masówki lub w kolportowaniu literatury. Miało to na celu między innymi wykazanie prokuraturze, że pomimo aresztowania aktywu, praca konspiracyjna przebiega nadal bez zakłóceń i że aresztowani nie są „prowodyrami ruchu wywrotowego".

To nowe środowisko robotnicze, w którym panowała ciepła atmosfera współczucia i wyrozumiałości, wchłonęło matkę bez reszty. Czuła się dobrze w otoczeniu tych ludzi. Oni i ich idee stały się jej bliskie i choć do partii nie należała, całym sercem związała się z ruchem robotniczym.

Nigdy nam w niczym nie przeszkadzała ani nie starała się narzucić swojej woli, pomimo że sama zachowywała niektóre tradycje, zwyczaje i wierzenia religijne. Nie stawiała nam przeszkód w naszej nielegalnej pracy. Wręcz przeciwnie! Jeśli trzeba było zanieść paczkę literatury w jakieś niebezpieczne miejsce, sama wyręczała nas lub innych towarzyszy w tej czynności. Fakt, który chcę teraz opisać, najlepiej ją zresztą scharakteryzuje.

Przez pewien czas nasze mieszkanie przy ul. Starej 13 było inwigilowane przez tajną policję. Od rana do późnej nocy szpicle: Czarnecki, Pałys, Dudkiewicz i Weber - na zmianę pełnili służbę na rogu ul. Starej i Wiejskiej, notując dokładnie, kto do nas chodzi. Robili to dość nieudolnie, bo po paru dniach wiedzieliśmy już, kto następny obejmie posterunek po zmianie.

Matka postanowiła zrobić im kawał. Zapakowała dwie paczki: jedną z brudną bielizną, a drugą ze starymi butami. Paczki miały kształt i wygląd taki, jakby zawierały nielegalną literaturę. Celowo, często oglądając się, czy ktoś za nią nie idzie, udała się w kierunku kopalni „Milowice". Gdy zauważyła, że przynęta chwyciła, zawróciła w stronę miasta. Gdy dochodziła do dworca, spotkała przypadkowo znajomą towarzyszkę. Ta widząc, że matka dźwiga dwie paczki, odebrała jej jedną, ofiarując swoją pomoc. Matka nawet nie zdążyła powiedzieć, że robi kawał defensywiakom, kiedy

nagle została zatrzymana przez dwóch policjantów, których zaalarmował dyżurujący przed naszym domem szpicel. Sądzili widocznie, że matka przekazuje paczki łączniczce.

Matka ostro stawiała czoła policjantom, nie pozwalała się wylegitymować i nie chciała iść z nimi. Jej opór wywołał wielkie zbiegowisko. Zaczęła się wymiana „uprzejmości" między „władzą" a tłumem. W końcu jednak policjantom udało się zaprowadzić matkę do wydziału śledczego po to tylko, aby mogli zorientować się, że zrobiła im kawał. Komisarz policji, Rosołowicz, wpadł w taką wściekłość, że nie krępując się obecnością „aresztowanej", zwymyślał swych wywiadowców, szydząc z nich i nazywając osłami, którzy dali się nabrać przez starą babę. Matka przesiedziała się wprawdzie 24 godziny w areszcie, ale była dumna, że udało się jej wykpić głupich tajniaków. Po tym wypadku zresztą policja zaniechała dalszej inwigilacji naszego domu.

Kiedy indziej znów, gdy w czasie strajku górników na kopalni „Milowice" kontakt z tą dzielnicą został całkowicie odcięty i szukano sposobów nawiązania go, matka znów nam pomogła. A było to tak: komitet okręgowy partii nie mógł dostarczyć pilnych instrukcji i literatury do dzielnicowych komitetów; dotyczyło to szczególnie Milowic, bo teren był tam otoczony kordonami zarówno tajnej jak i umundurowanej policji. Gdy brat mój naradzał się z okręgowcem, jak pokonać te trudności, matka zaproponowała, iż sama dostarczy literaturę na niebezpieczny teren, samodzielnie opracowując plan trasy i sposób transportu.

Ubrała się w wiejską chustkę, wzięła koszyk na zakupy i stając przed towarzyszem z okręgu, powiedziała:

- Ja już to wszystko załatwię. Jestem stara i na pewno nie zwrócę niczyjej uwagi. Na dno tego koszyka położę materiały i pójdę do Kozłowej. Tam, z jej ogrodu, wezmę jarzyny i kartofle, którymi wypełnię kosz i zaniosę go do Suchojadowej na ulicę Daleką. Ona z kolei przekaże materiały dalej do bloków górniczych. Plan matki okazał się świetny i w ten sposób dostarczono następnie instrukcje i literaturę do innych kopalni i hut, które mieściły się w takich dzielnicach Sosnowca, jak: Pogoń, Kuźnica, Sielce, Niwka i Modrzejów. Matka moja dostała się tam w podobny sposób, zmieniały się jedynie punkty kontaktowe.

W tej swojej działalności matka moja nie była odosobniona. Szczególnie w okresie akcji strajkowych, kiedy policja mundurowa i defensywa obstawiała dzielnice robotnicze, by uniemożliwić dostęp do nich działaczom związkowym i partyjnym - główną rolę łączników zaopatrujących komitety strajkowe w instrukcje, sztandary i literaturę odgrywały kobiety - nasze matki, siostry i żony. Wszystkie pomagały w walce, choć zdawały sobie sprawę, że w konsekwencji ich mężowie czy dzieci pójdą do więzienia i wówczas same będą musiały borykać się z trudnymi warunkami materialnymi.

Przez pewien czas w naszym mieszkaniu przy ul. Starej 13 przebywał młodzieżowy działacz KZMP, Feldman, ranny podczas starcia z policją w dniu 1 Maja. Nie można go było skierować do szpitala, gdyż prokuratura zarządziła, żeby wszyscy, którzy zwrócą się o pomoc lekarską z ranami postrzałowymi, byli natychmiast zgłaszani do policji. Tymczasem stan rannego był ciężki i wymagał opieki.

Prawdopodobnie ktoś zauważył, że do naszego mieszkania wniesiono rannego, gdyż po dwóch czy trzech dniach zjawił się w naszej kamienicy policjant i zaczął dopytywać się o nazwisko matki. Miał pecha, bo trafił na nią samą. Stała akurat w bramie i zapytana poinformowała go, że osoba ta

zamieszkuje na drugim piętrze w pierwszej klatce. Oczywiście mieszkaliśmy gdzie indziej - na parterze w oficynie. Wykorzystaliśmy czas, kiedy policjant błąkał się, i zanim skierowano go pod właściwy adres, wynieśliśmy rannego przez okno do sąsiada. Wreszcie „granatowy" stanął przed naszymi drzwiami i ponownie zobaczywszy matkę, nie miał już wątpliwości, że trafił na właściwy ślad. Wtargnął gwałtownie do mieszkania i - tu spotkał go zawód. Stwierdziwszy, że nie ma w nim poszukiwanego, począł grozić matce za mylną informację. Matka wcale się nie przestraszyła i zręcznie wywinęła się z opresji, tłumacząc, że nie dosłyszała nazwiska i stąd wynikła pomyłka.

II
Mój pierwszy kontakt z pracą nielegalną

Rok 1928 rozpoczął się dla nas dość szczęśliwie. Starszy brat, Henryk, został zwolniony z więzienia. Drugi brat, Zygmunt, wrócił z wojska. Siostry, Ewa i Frania, pracowały zawodowo, ja zaś zostałem przyjęty na terminatora do fabryki obuwia w Sosnowcu. Zdawało się, że rok ten ułoży się wyjątkowo pomyślnie dla nas wszystkich. Po raz pierwszy byliśmy w komplecie razem z matką.

Nie trwało to jednak długo. Henryk, kierując okręgową techniką KPP, zmuszony był ukrywać się i przejść na „nielegalniaka". Imponował mi tym swoim konspiracyjnym życiem. Na razie byłem „łącznikiem" między domem a Henrykiem i widywałem się z nim na podpunktach. Byłem z tego bardzo dumny.

Stopniowo Henryk zaczął wciągać mnie do pracy w technice KPP.

W tym okresie Zagłębie było naprawdę czerwone i partia rosła z dnia na dzień w siłę. Wystarczy przypomnieć, że na ogólną liczbę sześciu posłów kandydujących z powiatów Będzin i Zawiercie, tj. okręgu Zagłębia Dąbrowskiego, partia zyskała aż trzy mandaty. Zagłębie stało się centrum zainteresowania partii, a w Sosnowcu, stolicy okręgu, mieścił się ośrodek kierowniczy obwodowego komitetu KPP. Tu również znajdował się główny punkt techniki partii.

Partia rozporządzała kilkoma lokalami konspiracyjnymi, które służyły do celów organizacyjnych. Jeden lokal mieścił się przy ul. Płockiej 5. Zamieszkałem tam jako sublokator sąsiadki, która legalizowała tę „konspiratkę".

Umeblowanie pokoju składało się z żelaznego łóżka i siennika. Na razie nie było tam innych sprzętów. Łóżko nie miało siatki ani żadnych desek, na których można by położyć materac - stało więc nie wykorzystane w kącie. Wieczorami rozkładałem na podłodze siennik i tak spałem.

Jednego wieczoru przyszedł do mnie brat w towarzystwie jakiegoś nie znanego mi mężczyzny. Okazało się, że był nim nowy sekretarz okręgowy - towarzysz Lepa, który przyjechał z Warszawy. Kiedy zorientowałem się, że Lepa będzie nocował tu, na miejscu, zmartwiłem się bardzo, jak umocować na łóżku siennik, żeby towarzysza nie położyć na podłodze.

Miałem kilka kłębków szpagatu przeznaczonego do pakowania literatury i to podsunęło mi pewien pomysł. W czasie, gdy nowo przybyły, zajęty rozmową z bratem, nie zwracał na mnie uwagi, szybko oplotłem łóżko sznurkiem. Wyszło z tego coś w rodzaju siatki, na której położyłem siennik.

W nocy, kiedy Lepa w czasie snu zmieniał pozycję, łóżko trzeszczało, a naprężone sznurki zdawały się miejscami pękać. Nie mogłem spać ze strachu, że mój gość razem z siennikiem znajdzie się na podłodze.

Wstałem, zbudziłem sąsiadkę i pożyczyłem u niej igłę do zszywania worków, postanowiłem bowiem dla umocnienia przyszyć siennik do tylnej i przedniej ażurowej strony łóżka. Nie zapalałem światła, aby nie obudzić śpiącego. Po ciemku szycie szło mi z trudem, ale jakoś uporałem się z tym.

Uspokojony, że wszystko jest w porządku, położyłem się w kąciku na podłodze i zasnąłem.

Rano obudził mnie śmiech towarzysza Lepy, mocującego się z płaszczem, którym się nakrył na noc. Okazało się, że przyszyłem go do żelaznych drabinek razem z siennikiem. Potem opowiadał wszystkim o tym, jak młody „pionier" przyszył go w nocy do łóżka.

Pokoik nasz stopniowo zapełniał się; wprawdzie nie meblami, ale walizkami i różnym sprzętem techniki drukarskiej. Rzeczy te przynosiłem wieczorami przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności.

W dużych walizkach mieściło się archiwum KPP z ostatnich trzech lat. Były tam wydawnictwa Centralnego Komitetu i okręgów: Zagłębia, Śląska i Krakowa, które wówczas tworzyły jeden obwód. W trzech małych walizeczkach imitujących podróżne nesesery mieściły się trzy nowiutkie powielacze produkcji niemieckiej. Była też walizkowa maszyna do pisania, farby drukarskie, czysty papier niezbędny do drukowania odezw, ulotek i gazetek partyjnych. Wszystko rozłożyliśmy po całym mieszkaniu, bo nie było gdzie tego chować - pod łóżkiem z trudem mieściły się powielacze walizkowe. Na kupno szafy zabrakło nam na razie funduszy. Kupiliśmy więc tylko: stół, dwa krzesła i czajnik na herbatę.

Dnie w owym czasie zapełniała mi intensywna praca w fabryce; urządzanie lokalu na Płockiej i pomaganie przy powielaniu odezw odbywało się wieczorami. Ten tryb życia przerwało na jakiś czas wydarzenie, które mogło mieć bardzo przykre następstwa, i to nie tylko dla mnie. Kiedyś, gdy byłem już kompletnie wyczerpany pracowitym trybem życia, brat zabrał mnie na kolację do restauracji Szafersztajna. Była to mała, tania knajpa, gdzie przeważnie jadali nasi towarzysze. Można było tu, nie krępując się, zamówić popularne, groszowe danie, a nawet pół szklanki herbaty do przyniesionego ze sobą chleba lub kanapki. Poza tym można było swobodnie porozmawiać ze spotkanymi znajomymi.

Po chwili przysiadł się do nas towarzysz Mieczysław Bankier, agent handlowy rozlewni win. O jego skąpstwie krążyły różne dowcipy. Mówiono np., że jest codziennym gościem u Szafersztajna, dokąd przychodzi na herbatę. Zamawia tylko pół szklanki, a następnie prosi kelnera o dolanie do pełna wody, twierdząc, że woda nic nie kosztuje... W ten sposób ma zaoszczędzone parę groszy i pełną szklankę herbaty.

Towarzysz Bankier długo konferował z bratem, ja jednak czułem się ile i dochodziły do mnie tylko urywki rozmowy, z której wynikało, że ma dla nas jakiś lokal konspiracyjny, gdzie jest maszyna do pisania, i ofiarowuje jednocześnie swoją pomoc, ponieważ dobrze piszę na maszynie. Tymczasem dostałem silnych dreszczy. Miałem chyba gorączkę. Brat musiał zaraz wyjechać w sprawach organizacyjnych do Katowic, wobec tego towarzysz Bankier zaproponował, że odprowadzi mnie do domu. Brat nie bardzo był zadowolony z tego, gdyż obawiał się zdekonspirowania lokalu. Zgodził się jednak, widząc, że jestem naprawdę chory, ale prosił Bankiera, by doprowadził mnie tylko do rogu Płockiej i Piłsudskiego, co ten uczynił. Znalazłem się więc w pokoiku na Płockiej sam pośród rozłożonych na podłodze waliz. Wiedziałem, co zawierają, ale ciekawiło mnie, jak zresztą ciekawiłoby każdego młodego chłopca, jaka jest treść dokumentów. Nie zwierzałem się bratu, że chciałbym je przeglądnąć. Teraz, kiedy pozostałem zupełnie sam, zapominając na chwilę o chorobie, skorzystałem z okazji i szybko otworzyłem jedną z waliz.

Były w niej roczniki „Nowego Przeglądu", teoretycznego organu Centralnego Komitetu KPP.

Przypomniałem sobie, że brat opowiadał mi o dyskusji w partii grup tzw. „większości" i „mniejszości".

Brat był zwolennikiem konsolidacji jednej i drugiej grupy i słyszałem często jak dyskutował z funkcjonariuszami, że należy kolportować wydawnictwa jednej i drugiej frakcji. Teraz, otwarłszy - walizę, po raz pierwszy zetknąłem się z taką skarbnicą wiadomości partyjnych. Rozkładałem na podłodze dokoła siebie roczniki "Nowego Przeglądu". Czytałem z przejęciem i zaciekawieniem, choć niewiele zrozumiałem z teoretycznych rozważań. Utkwiły mi w pamięci i pozostały do dnia dzisiejszego dwa nagłówki: „Feliks Kon na katordze" i „Rząd krwawego kata Piłsudskiego przygotowuje agresję przeciwko Litwie".

Byłem już bardzo znużony i wyczerpany, kiedy spojrzałem w okno. Szarzało. Budził się mglisty ranek. Jednocześnie poczułem, że gorączka mi się podnosi. Nie byłem w stanie uporządkować mieszkania i nawet nie wiem, kiedy zasnąłem.

Obudziłem się około południa na odgłos silnego skrzypienia spróchniałych, drewnianych schodów. Gorączka tak mnie zamroczyła, że nie wiedziałem, gdzie jestem. Wydawało mi się, że ktoś mnie goni, zaraz tu wpadnie, że policja otacza dom, grozi mi śmierć - i muszę uciekać.

W stanie całkowitego zamroczenia otworzyłem okno kawalerki, która znajdowała się na poddaszu pierwszego piętra i zacząłem wołać pomocy, krzycząc, że muszę natychmiast wyskoczyć. Gdy na mój krzyk dziewczęta z sąsiedniego baraczku wybiegły na podwórko, prosiłem je nieprzytomnie, by podłożyły jakąś pierzynę, gdyż w przeciwnym razie skacząc zabiję się. Nikt nie mógł mi udzielić pomocy, ponieważ drzwi do mieszkania były zamknięte na klucz od środka. Nie wiem, jak udało się dziewczętom nakłonić mnie do zejścia z okna i otworzenia drzwi. Co potem było, nie pamiętam, gdyż straciłem do reszty przytomność.

Kiedy ocknąłem się, siedziała przy mnie młoda dziewczyna, sąsiadka, uczennica gimnazjum i - jak się potem dowiedziałem - nasza towarzyszka, Franka Trajman (Łucka).

To właśnie ona pierwsza weszła do naszego pokoju i zobaczywszy, co się w nim dzieje, nikogo więcej nie wpuściła. Sama się mną zajęła, a kiedy powoli zacząłem przychodzić do siebie, uporządkowała mieszkanie i zapakowała literaturę do waliz.

Sąsiadki i Franka długo jeszcze komentowały ten wypadek, wspominając moment, gdy stały na podwórku pełne napięcia i grozy, widząc mnie na parapecie otwartego okna, gotowego do skoku na kamienny bruk.

Na umówione spotkanie, jakie wyznaczył mi brat, Franka poszła sama, by zawiadomić go o tym, co zaszło. Wszystko na szczęście skończyło się dobrze dzięki jej przytomności umysłu i szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że to właśnie ona pierwsza znalazła się w mieszkaniu. A przecież mogło dojść do poważnej wsypy i do likwidacji cennego lokalu technicznego.

W parę tygodni później Henryk polecił mi za pośrednictwem łączniczki, bym udał się na konspiratkę, przygotował trzy paczki z afiszami i dostarczył mu je na podpunkt. Były to proklamacje programowe Frontu Wyborczego listy Jedności Robotniczo-Chłopskiej. Łączniczka mówiła mi, abym zrobił trzy paczki po sto afiszów w każdej i tak je zapakował, aby się nie pogniotły.

Udałem się do konspiracyjnego mieszkania. Mimo iż afisze miały rozmiary 120 na 90 cm, spakowałem je płasko, nie składając arkuszy ani nie zwijając ich w rulon. Uważałem, że tylko w ten sposób nie pomną się i polecenie będzie wykonane dokładnie. Paczka była duża, ale zdawało mi się, że jakoś

dam sobie radę z przetransportowaniem jej z konspiratki na podpunkt, gdzie oczekiwał brat. Odległość wynosiła blisko cztery kilometry.

Na początku istotnie jakoś sobie radziłem, niosąc ten ciężar jak tacę na rekach przed sobą. Szybko jednak paczka zaczęła mi ciążyć, a sznurki rozluźniły się. Pot wystąpił mi na czoło, ręce omdlały. Byłem bliski płaczu. Gdy doszedłem do ulicy 3 Maja, wlokłem już ten olbrzymi plaster po trotuarze jak sanie; nie miałem sił, aby zawrócić do domu, do miejsca przeznaczenia zaś pozostał mi jeszcze z kilometr drogi. Na szczęście moja chłopięca sylwetka nie zwracała uwagi, a szpiclom nawet się nie przyśniło, że w tej paczce mogą znajdować się afisze z programem wyborczym KPP. Gdy strudzony dobijałem już do „podpunktu", brat z przerażeniem zobaczył przez okno, jak zmagam się z rozwalającą się paką, która wyglądała jak postrzępiony materac. Nie wyobrażał sobie, że mogłem tak bezmyślnie zapakować afisze, które należało po prostu zrolować w niewielką paczkę, ale ja byłem przecież małym chłopcem, nie miałem żadnego doświadczenia, a tym bardziej w konspiracji. Tymczasem mojemu zaabsorbowanemu pracą konspiracyjną bratu zdawało się, że jestem dorosły i we wszystkich sprawach orientuję się jak on, grubo ode mnie starszy, o paroletnim doświadczeniu w nielegalnej technice.

Dziś rozumiem, że brak doświadczenia u początkujących młodych działaczy powodował wiele wsyp, wpadek i likwidacji całych ogniw organizacyjnych. A partia dysponowała w przeważającej mierze właśnie takimi, gdyż częste aresztowania przetrzebiały szeregi jej doświadczonych członków. W tych warunkach nowi ludzie zostawali szybko wciągani do aktywnej pracy. W miarę, jak dorastali, stawali się ostrożniejsi, nie popełniali dwa razy tych samych błędów, choć na pewno inne zdarzały się im jeszcze nieraz. Wiem to z własnego doświadczenia.

Pech jakoś prześladował mnie w tym czasie. Niedługo po historii z afiszami trzeba było dostarczyć odezwy strajkowe do kilku dzielnic górniczych. Otrzymałem dwie małe paczki. Jedną miałem wręczyć Józefowi Wygodzkiemu, pseudo „Kulawy", zamieszkałemu w Będzinie, drugą zaś do Grodźca do mieszkania górnika, którego adres był mi dobrze znany, gdyż już raz kontaktowałem się z nim. Mieszkał naprzeciw browaru.

Ponieważ Wygodzki nie był uprzedzony, udałem się do jego mieszkania. W domu zastałem tylko matkę, która przyjęła mnie bardzo serdecznie i poczęstowała herbatą. Po paru minutach przyszedł najmłodszy brat „Kulawego", mój rówieśnik, i zaprowadził mnie do Stowarzyszenia Wolnomyślicieli na ul. Modrzejewską, gdzie zastałem Józefa Wygodzkiego. Paczki zostawiłem tymczasem u Wygodzkich.

„Kulawy" był niezadowolony, że szukałem go aż w stowarzyszeniu, którego lokal był pod obserwacją policji, a do tego młodocianym był tam wstęp wzbroniony. Szybko udaliśmy się do domu Wygodzkich, skąd zabrałem drugą paczkę, by doręczyć ją do Grodźca.

Z Będzina do Grodźca w godzinach wieczornych nie było już żadnej komunikacji, tak że odległość pięciu kilometrów musiałem przebyć piechotą. Najmłodszy Wygodzki odprowadził mnie do szosy wiodącej do Grodźca, skracając drogę przez pastwiska dworskie w Gzichowie. Dalej szedłem już sam.

Na moje nieszczęście los chciał, że tą samą drogą wracał do domu policjant pracujący w Będzinie. Prócz nas dwóch w promieniu niewielkiej odległości nie było żywego ducha. Ogarniał nas gęsty, szary mrok. Policjant, by nie iść samotnie, przyspieszył kroku, dopędził mnie i przez ramię zagadnął:

- Dokąd idziesz, chłopcze?

- Do browaru do Grodźca - odparłem, zmyślając na poczekaniu. - Wujek mój - ciągnąłem bez namysłu - który ma skład drzewa w Będzinie uparł się, abym jeszcze dziś zaniósł prospekty i próbki dykt i drzewa na beczki dla browaru.

- Pójdziemy razem, będzie nam raźniej - zakonkludował policjant.

Uskarżając się na brak komunikacji, doszliśmy do browaru. Tu policjant pożegnał mnie i poszedł swoją drogą. Gdy już zniknął mi z oczu, skręciłem w boczną uliczkę i okrężną drogą wróciłem pod wskazany adres, by doręczyć paczkę.

Technik, który miał mnie oczekiwać, zauważył, że przed chwilą przechodziłem w towarzystwie policjanta. Sądził więc, że jest to jakaś prowokacja, i nie chciał w ogóle ze mną mówić ani też przyjąć „literaturę". Nie pomogły moje tłumaczenia. Wszyscy w mieszkaniu udawali, że o niczym nie wiedzą, że na pewno pomyliłem adres, i w końcu wyrzucili mnie za drzwi. Byłem zmęczony i znękany, straciłem nad sobą panowanie i rozbeczałem się jak małe dziecko.

Rozgoryczony, szybko wróciłem do Sosnowca. Nad ranem brat pojechał z odezwami do Grodźca, wyjaśnił przy tym towarzyszom nieporozumienie i zarazem uspokoił ich. Wówczas pochwalono mnie za zimną krew, swobodne zachowanie się wobec policjanta i szybki refleks.

Z czasem mój brat Henryk znalazł się pod silną obserwacją policji. Coraz trudniej było mu kierować techniką partyjną. Pracując aktywnie w nielegalnej organizacji, trudno było długo utrzymać się na wolności. Toteż Henryk został ponownie aresztowany. Skazano go na trzy lata więzienia. Technikę okręgową KPP objął Marian Urgacz.

Ja tymczasem wstąpiłem do dziecięcej organizacji komunistycznej - „Pionier".

III
Wydarzenia z 1929 roku w Zagłębiu

W ciągu paru lat, od momentu wykonania wyroku śmierci na słynnym prowokatorze, Kamińskim z Dąbrowy Górniczej (rok 1925), panował w naszym środowisku względny spokój. Mam na myśli brak masowych aresztowań, będących zwykle następstwem prowokacji nasyłanych zdrajców. Widocznie trudno było policji znaleźć w tym okresie chętnych na ten choć lekki, ale za to ryzykowny chleb.

Zamach na prowokatora Kamińskiego odbił się szerokim echem w kraju i za granicą. Policji udało się wówczas wykryć lokal konspiracyjny, gdzie zamachowcy, Hajczyk i Pilarczyk, schronili się po wykonaniu wyroku. Według relacji naocznych świadków tamtych wydarzeń policja otoczyła dom i rozpoczęła natarcie, strzelając do okien mieszkania, w którym przebywali młodzi KZM-owcy. Szturm trwał blisko 8 godzin, pomimo że w akcji brała udział cała komenda powiatu będzińskiego, a zamachowcy posiadali zaledwie jeden pistolet małokalibrowy. O tchórzostwie policji może świadczyć fakt, że po kilkugodzinnym oblężeniu i ostrzeliwaniu mieszkania sprowadzono w końcu żołnierzy, którzy używając bomb łzawiących i świec dymnych, wdarli się w końcu do środka. A tam zastali Hajczyka i Pilarczyka już martwych.

Choć zamachowcy życiem opłacili swój czyn, to jednak zbrakło kandydatów na miejsce Kamińskiego. Na wszystkich prowokatorów padł blady strach.

Wówczas nikt z nas jeszcze nie wiedział, że wyrok wykonał towarzysz Józef Pietras, któremu udało się wyjść z tej operacji obronną ręką. Nawet nielegalna prasa partyjna zamieściła nekrologi i pośmiertne wspomnienia o Pilarczyku i Hajczyku jako o wykonawcach wyroku. Chodziło bowiem o to, by rzeczywisty wykonawca wyroku pozostał nie ujawniony.

Józef Pietras w kilka lat po tych wydarzeniach zmarł tragicznie w więzieniu w Piotrkowie, odsiadując sześcioletni wyrok, zapadły w zupełnie innej sprawie.

Przez te parę lat względnego spokoju organizacja KZM-owska wyrosła na potężną siłę, wychowując w swoich szeregach oddany sprawie aktyw. O sile KZM w tym okresie może najlepiej świadczyć fakt, że niemal większość oddziałów OMTUR, o które tak bardzo troszczyła się prawica PPS, były całkowicie pod wpływem KZM-u. Jednocześnie powstawały nowe komórki fabryczne i kopalniane oraz zrzeszenia kulturalne i sportowe.

Zbliżała się XII rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej. KZM i wszystkie jej przybudówki przygotowywały się do manifestacyjnych obchodów tego święta.

Nagle huknęła wieść, że policja na kilka dni przed rozpoczęciem obchodów dokonała w nocy aresztowania aktywu KZM-owskiego. Uwięziono razem około osiemdziesięciu osób.

Na początku sądziliśmy, że być może są to zatrzymania profilaktyczne. Jednak z trafnego wyboru policji, która aresztowała towarzyszy dobrze zakonspirowanych, nie notowanych jeszcze w kartotekach, można się było domyślić, że defensywie udało się znów pozyskać cennego dla niej agenta, który dostarczał jej dokładnych informacji.

Z osiemdziesięciu aresztowanych prokurator Jewniewicz postawił trzydzieści parę osób w stan oskarżenia.

Między innymi Anastazemu Kowalczykowi, młodziutkiemu wówczas KZM-owcowi ze Środuli, prokuratura zarzuciła przynależność do KZM oraz tworzenie komórek młodzieży komunistycznej na walcowni „Renard", w fabryce Fitznera i Gampera, jak również na kopalniach. Zarzucono mu również organizowanie masówek, demonstracji robotniczych i kolportowania literatury.

Drugi oskarżony, Aleksander Rożek, odpowiadać miał za to, że jako aktywny działacz KZM i jednocześnie członek OMTUR w dniu 7 października na uroczystej młodzieżowej akademii zorganizowanej przez PPS wystąpił z antypaństwowym przemówieniem, nawołując młodzież do bojkotowania tej akademii, gdyż święto młodzieży rewolucyjnej odbyło się już 2 września, w Międzynarodowym Dniu Młodzieży. Ponadto zarzucono mu, że był aktywnym działaczem KZMP na terenie Sosnowca i obsługiwał komórki, kierując akcjami kolportażu literatury i wywieszania sztandarów.

Stanisławowi Wawro i Eugeniuszowi Rosołowskiemu zarzucono przygotowanie i kierowanie akcją październikową i demonstracjami na walcowni „Renard" oraz organizowanie młodzieżowych kół referentów dla obsługiwania masówek robotniczych.

Różę Malinowicer obciążono zarzutem, że należała do KZM oraz że w czasie przeprowadzonej u niej w mieszkaniu w Warszawie rewizji - wykryto drukarnię KPP.

Feliksowi Szopie zarzucono, że w lutym 1929 roku dostarczył Mojżeszowi Zyngierowi trzy hektografy do odbijania gazetki KZM-owskiej, oraz że pisywał artykuły do gazetki milowickiej. Poza tym Szopa prowadził agitację wyborczą oraz razem ze Stanisławą Borowik rozpowszechniał literaturę komunistyczną.

Wilczykowskiemu i Franciszce Misiaszek wytoczono zarzut, iż wywiesili sztandary KZM-owskie na ulicach: Ostrogórskiej, Wspólnej i na hałdach.

A oto lista pozostałych oskarżonych

1. Bondarenko Mikołaj
2. Tomczyk Jerzy
3. Szopa Feliks
4. Niewiadomski Józef
5. Urgacz Marian
6. Cedler Zbigniew
7. Piecha Tadeusz
8. Gewercman Jakub
9. Rożek Fela
10. Goldszmit Henryk
11. Pachter Leon
12. Tarasin Wacław
13. Misiaszek-Paterowa Franciszka
14. Braun Szlamek
15. Szopa Władysław

16. Birencwajg Józef
17. Warszawska Salomea
18. Herbert Henryk
19. Buchbinder Natan
20. Solewicz Bemo
21. Kremer Andzia
22. Berman Ewa
23. Hofman Berek

Wyżej wymienionym oprócz przynależności do KZM zarzucono następujące „zbrodnie", co streszczam na podstawie aktu oskarżenia:

1. Przygotowanie do zbrojnego powstania, by siłą obalić ustrój Rzeczypospolitej Polski.
2. Organizowanie masówek dla upamiętnienia XII rocznicy Rewolucji Październikowej.
3. Agitacje wśród poborowych rekrutów, by na wypadek wojny nie strzelali do żołnierzy radzieckich, a do swoich oficerów.
4. Urządzanie demonstracyjnych obchodów rocznic śmierci komunistów: Brewińskiego i Grodzickiego na cmentarzu w Mysłowicach, oskarżając przy tym „niesłusznie" władze Rzeczypospolitej o zamordowanie ich w więzieniu.
5. Wygłaszanie referatów na zebraniach komórek, gdzie wychwalało się działalność i zasługi: Botwina, Hibnera, Kniewskiego, Hajczyka, Pilarczyka i innych „zbrodniarzy".
6. Przechowywanie u siebie marksistowskich wydawnictw książkowych jak: „Materializm dialektyczny" Bucharina, „Państwo a rewolucja" Lenina, wydawnictwa Samopomocy Chłopskiej i inne lewicowe pisma legalne.

Ponadto prokurator Jewniewicz zarzucił im nieposzanowanie spokoju zmarłych, ponieważ rozwinęli na cmentarzu czerwone sztandary. Już z pierwszych przesłuchań i zarzutów sformułowanych przez sędziego śledczego w postanowieniu o tymczasowym aresztowaniu wynikało, że defensywa dysponuje dokładnymi informacjami. Trudno było na razie ustalić, kto je udziela. Najbardziej aktywni działacze osadzeni zostali w więzieniu w Mysłowicach, a część z nich zostały wypuszczona pod dozór policji do rozprawy, co często praktykowała prokuratura, gdy nie dysponowała wystarczającymi dowodami winy.

Właśnie wśród tej grupy, jak się później okazało, znajdował się zwerbowany prowokator, któremu policja dała dalsze zadania, a jednocześnie chciała go głębiej zakonspirować, by tym samym skierować nasze podejrzenia na mylne tory.

Pomimo kilkumiesięcznego przebywania towarzyszy w więzieniu w Mysłowicach i codziennych przesłuchań nikt się nie załamał. A przecież defensywie bardzo zależało na tym. Kapitulacja kogoś z oskarżonych, który by dla ratowania własnej skóry obciążył innych, pozwoliłaby ha odwrócenie naszej uwagi od właściwego zdrajcy.

Po jakimś czasie na skutek omyłki sędziego śledczego, który podsunął jednemu z towarzyszy do podpisu zeznanie Mojżesza Zyngiera zamiast jego własnego, przedostała się do nas z więzienia wiadomość, że Zyngier, oskarżony w tej samej sprawie, w toku przesłuchania przyznał się do

uczestniczenia w organizowaniu mającej się odbyć masówki okręgowego komitetu KZMP. Ponieważ przed hutą w Milowicach, gdzie miała odbyć się ta manifestacja, policja przeprowadziła aresztowania, jasnym było, iż została zawiadomiona o miejscu i czasie odbycia się masówki.

Przyznawanie się na policji do udziału w pracy konspiracyjnej traktowane było przez nas w zasadzie jako zdrada lub załamanie się, gdyż pociągało za sobą nieobliczalne w skutkach konsekwencje. Każdą taką sprawę rozpatrywaliśmy indywidualnie i jeśli załamanie się nastąpiło pod wpływem bicia, to takiego towarzysza wykluczano wprawdzie z organizacji, ale nie usuwano z naszego środowiska. Mimo to nie wiedzieliśmy, jak postąpić z Zyngierem. Tłumaczył się bowiem, że choć istotnie - katowany - przyznał się do udziału w masówce, ale już na drugim przesłuchaniu zeznanie to odwołał. Był przy tym na tyle sprytny, że potrafił wytworzyć wokół siebie atmosferę litości i współczucia. Sprzyjała temu nie tylko jego umiejętność maskowania się, ale i przeszłość rewolucyjna jego starszego brata. Henryk Zyngier bowiem, członek KPP, na skutek uporczywego tropienia przez policję musiał wyemigrować do Belgii.

Mojżesz był częstym gościem w naszym domu. Przyjaźnił się z moim drugim starszym bratem, Zygmuntem. Pewnego dnia przyszedł do nas bardzo zatroskany, radził się Zygmunta, jak ma wybrnąć z przykrej dla siebie sytuacji, jaka wytworzyła się na skutek jego załamania. Z wielkim zakłopotaniem mówił, że nie ma jeszcze adwokata, a proces ma się odbyć wkrótce. Brat go uspokajał, że jakoś się wszystko ułoży, że towarzysze zrozumieją jego sytuację, a on sam postara się załatwić mu adwokata.

W trakcie tej rozmowy weszła siostra moja, Ewa. Ona jedna nie bardzo wierzyła Zyngierowi. Fakt, że przyznał się on do swoich zeznań dopiero po przedostaniu się tej wiadomości z więzienia, a nie, jak powinien, od razu - budził jej uzasadnioną nieufność.

- Ty przecież nie potrzebujesz adwokata - wtrąciła się do rozmowy. - Skoro się sam przyznałeś i przez parę miesięcy ukrywałeś to przed nami, musiałeś robić to całkiem świadomie.

Słowa Ewy podziałały piorunująco. Zyngier, pewny, że został zdemaskowany, zaczerwienił się jak burak i spuścił głowę, nie mogąc wytrzymać wzroku Zygmunta, dla którego wszystko nagle stało się jasne. Ewa przypadkiem zdemaskowała zdrajcę.

Jeszcze tej samej nocy odbyły się aresztowania tych towarzyszy, którzy mieli odpowiadać z wolnej stopy. Policja odkryła karty. Zyngier oficjalnie wystąpił przy konfrontacjach jako świadek.

Wtedy nasza organizacja przeprowadziła głębszą analizę działalności Zyngiera. Okazało się, że z policją współpracował już od dłuższego czasu. Świadczyły o tym niezbicie zarzuty wysuwane przez policję w stosunku do niektórych aresztowanych, z dokładnym wymienieniem miejsca, a nawet godziny przeprowadzonych przez nich akcji, jak też znana policji treść wygłaszanych na zebraniach komórek referatów. Właśnie Zyngier wskazał policji miejsce i termin manifestacji przed hutą. Ponadto na podstawie jego informacji została zlikwidowana jeszcze poprzednio technika dzielnicowa KZMP.

Prowokator okazał się zresztą wyjątkowo perfidny. Podczas śledztwa pomagał policji w wymuszaniu zeznań na tych towarzyszach, którzy zaprzeczali jego słowom.

Po ujawnieniu się Zyngiera przygotowania do procesu ruszyły w szybkim tempie. Prasa zaczęła stopniowo publikować wiadomości o kulisach aresztowania działaczy komunistycznych. Zasądzenie

jednak aresztowanych tylko na podstawie zeznań jednego świadka, i to prowokatora, nastręczało prokuraturze pewne komplikacje prawne, zwłaszcza że rodziny aresztowanych i MOPR zaangażowali do obrony kilku wybitnych prawników. Dlatego też prokuratura powołała dalszych „świadków", którzy rekrutowali się z samych pracowników urzędu śledczego i policji. Ich zeznania stanowić miały podstawę do ferowania wyroków skazujących.

Dla udowodnienia tych faktów podaję oryginalną listę świadków, przepisaną z aktu oskarżenia z dn. 18. II. 1930 r., Sygn. Kp. 100/30:

Świadkowie:

1. Mojżesz Zyngier - Sosnowiec, ul. Kuźnica 1.
2. Zenon Rosołowicz - Komisariat Policji Państw., Sosnowiec.
3. Stanisław Dudkiewicz - Wydział Śledczy w Sosnowcu
4. Jan Riguski - Wydział Śledczy w Sosnowcu
5. Kazimierz Ofmański - Urząd Śledczy, Warszawa
6. Władysław Polak - Wydział Śledczy, Sosnowiec
7. Walerian Madej - Wydział Śledczy, Sosnowiec
8. Stefan Wróblewski - Komisariat Policji Państw., Olkusz
9. Stanisław Nowak młodszy - Komisariat Policji Państw., Będzin
10. Mikołaj Rumian - Sosnowiec, Przechodnia 3.
11. Stanisław Nowak starszy - II Komis. Pol. Państw., Sosnowiec
12. Władysław Chmurowicz - II Komis. Pol. Państw., Sosnowiec
13. Józef Musula - I Komisariat Policji Państw., Sosnowiec
14. Wincenty Wiesner - I Komisariat Policji Państw., Sosnowiec
15. Henryk Bula - I Komisariat Policji Państw., Sosnowiec
16. Michał Rzegoczan - Komisariat Policji Państw., Sosnowiec
17. Bolesław Przechera - Komisariat Policji Państw., Sosnowiec
18. Józef Rebeta - Urząd Śledczy, Sosnowiec
19. Piotr Pazdański - I Komisariat Pol. Państw., Sosnowiec
20. Wacław Markiewicz - I Komisariat Pol. Państw., Sosnowiec
21. Wincenty Markiewicz - Wydział Śledczy, Sosnowiec
22. Stanisław Kropiewnicki - Wydział Śledczy, Sosnowiec
23. Jan Wołoszyn - Komisariat Policji Państwowej, Sosnowiec
24. Andrzej Ćwikliński - Komisariat Policji Państwowej, Sosnowiec
25. Józef Salomon - I Komisariat Policji Państw., Sosnowiec
26. Bolesław Borkowski - Wydział Śledczy w Sosnowcu
27. Józef Pawlik - Wydział Śledczy w Sosnowcu

Wiceprokurator VI Rejonu
(-) K. Jewniewicz

W ten sposób „praworządności" stało się zadość, a sądy mogły, zachowując pozory niezawisłości, skazać każdego, na kogo policja złożyła zeznanie o jego działalności.

Wkrótce doręczono aresztowanym akt oskarżenia, gdzie jako główny świadek w procesie figurował Zyngier. Prowokatora należało koniecznie usunąć, by nie mógł w czasie rozprawy jawnie pogrążyć naszych towarzyszy. Tymczasem Zyngier stał się oczkiem w głowie defensywy. Przez jakiś czas

mieszkał w gościnnym pokoju prywatnego mieszkania komisarza Rosołowicza, które mieściło się na odwachu przy ul. Piłsudskiego na Starym Sosnowcu. Gdy wychodził na spacer - chroniła go zgraja szpicli i dwóch policjantów mundurowych. Afiszowali się oni demonstracyjnie prowokatorem, zabierając go do kina, teatru czy do elitarnej Cukierni Warszawskiej. Widać chcieli pokazać, jak dbają o jego bezpieczeństwo i wygody i jak mu uprzyjemniają czas. Szpicle i policjanci, znani ze swoich antysemickich przekonań, jawnie demonstrowanych w czasie przesłuchań żydowskich towarzyszy, nad którymi znęcali się szczególnie, teraz w towarzystwie Żyda prowokatora czuli się całkiem nieźle i dobrze się wspólnie bawili.

W tym okresie należałem jeszcze do organizacji pionierskiej i sprawy aresztowań i prowokacji nie dochodziły do mnie bezpośrednio; byłem jedynie świadkiem rozmów, jakie toczyły się w naszym domu pomiędzy starszym rodzeństwem a innymi towarzyszami.

Sąd organizacyjny wydał wyrok śmierci na Zyngiera. Do wykonania tego zadania zgłosił się dziewiętnastoletni członek KZM, Izydor Feldman, który przyjechał do Zagłębia ze Skarżyska. Gdy kandydatura Feldmana została zatwierdzona przez organizację, otrzymał on zgodę na wykonanie wyroku.

Feldman był częstym gościem w naszym domu, a matka traktowała go jak własnego syna, tym bardziej że wówczas nie miał już rodziców. Właśnie u nas w mieszkaniu wspólnie z bratem Zygmuntem opracowywał plan akcji. Zadecydował, że wyrok wykona sam, bez pomocy innych towarzyszy. Nie umiał jednak obchodzić się z bronią. Brat mój, Zygmunt, jako jego najlepszy przyjaciel uczył go posługiwania się rewolwerem. Z całego naszego środowiska tylko on umiał obchodzić się z bronią, gdyż niedawno wrócił z wojska, gdzie pełnił służbę w rusznikarni. Zygmunt tłumaczył się potem, że doniosłość sprawy i niebezpieczeństwo, z jakim wiązało się przedsięwzięcie, wymagały niewtajemniczania osób trzecich i dlatego najodpowiedniejszym miejscem do przygotowań wydawało się nasze mieszkanie.

Oczywiście i brat, i Feldman starali się zachować jak największe środki ostrożności, omawiając sprawę przeważnie w nocy, kiedy wszyscy spali. Jednak dwuizbowe pomieszczenie nie pozwalało na ścisłą izolację, tak że urywki rozmów dochodziły do uszu matki, która cierpiała na bezsenność. Zaniepokoiło ją również to, że podczas sprzątania przedpokoju znalazła w starym bucie zawinięty w skarpetkę, nabity rewolwer bębenkowy. Była wprawdzie przyzwyczajona do przechowywania nielegalnej literatury, sztandarów czy innych przedmiotów związanych z naszą pracą konspiracyjną, obecność broni palnej jednak zaskoczyła ją, była bowiem czymś wyjątkowym.

Dziś może się wydawać nieprawdopodobne, że bądź co bądź towarzysze, zdający sobie sprawę, że mieszkanie może być pod obserwacją i że policja zdolna jest w każdej chwili przeprowadzić rewizję - przechowywali tu w nim rewolwer przeznaczony do wykonania wyroku śmierci. Mogło to przecież wywołać nieobliczalne konsekwencje tak dla mieszkańców domu, jak i całej organizacji. Matka musiała tak to odczuć, toteż i większą uwagą słuchała nocnych rozmów. Stąd też wiedziała dokładnie o miejscu i czasie akcji.

Zamach zaplanowany był na godzinę 22 w sobotę. Według zebranych informacji w tym właśnie czasie „prowok" miał udać się w odwiedziny do mieszkania swoich rodziców.

Przed wyznaczoną godziną - matka moja na własną rękę, nikomu nic nie mówiąc, poszła na ulicę Towarową i ukryła się w bramie naprzeciwko domu, w którym zamieszkiwali Zyngierowie. Chciała przekonać się naocznie, czy zamach się uda i czy wykonawcy wyroku nie stanie się nic złego.

A oto jak z notatki policji, listu Feldmana i obserwacji mojej matki - wyglądał przebieg akcji.

Punktualnie o godzinie 22 Feldman wszedł do sieni domu, gdzie mieszkali Zyngierowie. Trzymał rękę w kieszeni i oglądał się nerwowo. W mieszkaniu zastał prowokatora i jego młodszą siostrę, która otworzyła mu drzwi. Prowokator od razu zorientował się, że przyszedł nieproszony gość. Zasłonił się taboretem i po pierwszym niecelnym strzale, rzucił taboret w zamachowca. Feldman, wytrącony z równowagi, oddał jeszcze kilka strzałów, nie trafiając jednak ani razu. Jak wyjaśnił później w liście do brata, przeszkadzała mu siostra Zyngiera, zasłaniając go sobą, a nie chciał, by padła niewinna ofiara. Po wyczerpaniu magazynka rozpoczęła się walka wręcz, z której prowokator wyszedł obronną ręką.

Tymczasem matka moja na próżno czekała w bramie. Według jej obliczeń Feldman powinien już opuścić mieszkanie prowokatora, udając się na wyznaczony punkt. Tymczasem mijały minuty, a jego wciąż nie było. Nagle wypadł z sieni. Był bez marynarki, w samej tylko koszuli. Na moment zawahał się w którą stronę uciekać, wtedy matka wyrosła przed nim jak spod ziemi, zdjęła z siebie sweter, dała mu go wraz z paroma złotymi, jakie miała przy sobie, i odprowadziła na ulicę Szopienicką, skąd miał wyjechać na Śląsk.

Organizacja partyjna, zaalarmowana o nieudanym zamachu, dostarczyła Feldmanowi przez moją matkę fałszywy paszport, na podstawie którego został przerzucony do Niemiec, a stamtąd do ZSRR.

Po tych wypadkach prowokator nigdzie nie wychodził. Znalazł się pod jeszcze czulszą opieką defensywy. Przygotowywał się do składania zeznań jako główny świadek w „procesie trzydziestu". Oparłszy się o wiadomości Zyngiera, prokurator Jewniewicz nie miał żadnych trudności w przygotowaniu mowy oskarżycielskiej. Prowok znał przecież dobrze oskarżonych i skrupulatnie wymieniał ich funkcje, i opowiadał o ich działalności. Wszyscy aresztowani towarzysze zostali skazani na długoletnie więzienie.

Prowokatora otoczyła powszechna pogarda. Nawet jego ojciec potępił go jako judasza i zabronił mu wstępu do swego domu.

IV
Pierwszy Maja 1930 roku

Głównym zadaniem organizacji „Pionier" było prowadzenie działalności oświatowo-wychowawczej i krzewienie wśród dzieci starszych idei komunizmu. Były też wypadki organizowania przez pionierów z Czeladzi, Dąbrowy i Milowic strajków solidarnościowych z walczącymi górnikami - ich ojcami lub braćmi. Strukturalnie „Pionier" był tak zorganizowany, jak KZMP, tj. w komórki, które liczyły od pięciu do siedmiu osób. Co tydzień, przeważnie w niedzielę, odbywały się zebrania, które nazywaliśmy posiedzeniami komórki. Zawsze zebrania takie obsługiwali starsi towarzysze z KZM-u, wygłaszając aktualne pogadanki. Większość prelekcji dotyczyła Rewolucji Październikowej i budownictwa socjalizmu w ZSRR. Dla dzieci starszych, ale już pracujących lub terminujących, które nie ukończyły szkoły podstawowej, prowadzono nauczanie najważniejszych przedmiotów, tj. języka polskiego i matematyki.

W latach 1929-1930, po masowych aresztowaniach członków KZMP, komórki pionierskie zmuszone były pomagać w pracach starszym. Braliśmy więc udział w akcjach kolportażu nielegalnej literatury i wywieszania transparentów z hasłami rewolucyjnymi.

Zbliżało się Święto Pracy 1930 roku. Po dodatkowych, prewencyjnych aresztowaniach lewicowych działaczy robotniczych, prasa zagłębiowska zaczęła podawać sensacyjne wiadomości o ostatecznym rozgromieniu „jaczejek komunistycznych". My zaś mieliśmy duże trudności w przygotowaniach do obchodu tego święta, gdyż komitety pierwszomajowe zostały zdekompletowane, a większość starszych towarzyszy znalazła się w aresztach lub więzieniach.

Przyjęła się tradycja, że przed każdym świętem robotniczym rozwieszano, przeważnie w nocy, transparenty z aktualnymi hasłami partii. Akcje te nazywaliśmy wówczas „sztandarowaniem".

W dniu poprzedzającym każde święto praca organizacyjna była zawsze bardzo utrudniona, gdyż „granatowi" wraz z członkami „Strzelca" silnie patrolowali ulice. Tego roku byli jednak przekonani, że spokój nie zostanie niczym zakłócony. Sądzili, że cała organizacja jest zlikwidowana, a pozostałe na wolności niedobitki nie odważą się po takich represjach jeszcze cokolwiek zdziałać. Dlatego też czujność z ich strony osłabła.

Tymczasem starsi towarzysze, którzy pozostali na wolności, postanowili udowodnić, że organizacja żyje. Jak co roku i teraz akcje techniczne musiały być normalnie przeprowadzone. Postanowiono do tego celu wykorzystać organizację „Pionier".

Z dnia 30 kwietnia na 1 maja przygotowaliśmy pięć grup technicznych, każda licząca po cztery do pięciu osób, których zadaniem było -zawieszenie we wszystkich dzielnicach Sosnowca piętnastu sztandarów KPP i KZMP. Zadanie to nie było łatwe. Transparenty musieliśmy przygotować w ciągu jednej nocy, gdyż nie mieliśmy gdzie przechowywać tak dużej ilości gotowych już sztandarów.

Zebraliśmy się w lokalu przy ul. Kołłątaja u towarzyszki Tenenbaum, uczęszczającej do prywatnego gimnazjum. Była to córka przemysłowca z Częstochowy, który chcąc ją wyrwać ze środowiska komunistycznego, z jakim tam się związała, przeniósł ją do prywatnego gimnazjum w Sosnowcu, sądząc, że tu nie będzie miała możliwości nawiązania ponownych kontaktów z naszą organizacją.

Wynajął jej piękne mieszkanie, ładnie umeblowane, z osobnym wejściem, choć przy rodzinie. Było to doskonałe miejsce dla pracy konspiracyjnej.

Robotę rozpoczęliśmy o godzinie szóstej wieczór. Towarzysz Mieczysław Wojas, członek komitetu okręgowego KZMP, sam opracował hasła i rozplanował teren akcji. Ja przygotowałem „żabki" i przerzutki ze sznurów oraz cienkie listewki, do których przymocowaliśmy transparenty. Pola Tenenbaum i jeszcze dwie towarzyszki rozpostarły na podłodze płótno, przymocowały go pluskiewkami i złotą klejową farbą wypisywały hasła.

O godzinie trzeciej nad ranem cała robota była skończona. Akcję zaplanowaliśmy na godzinę piątą rano. Pozostały nam więc zaledwie dwie godziny na odpoczynek. W pokoiku stał tylko jeden tapczan. Nie rozbierając się, położyliśmy się na nim w poprzek. Nie zdążyliśmy się nawet zdrzemnąć, kiedy trzeba było już wstawać.

Punktualnie o zaplanowanym czasie dostarczyliśmy transparenty pozostałym grupom do wyznaczonych punktów. Dokładnie o godzinie wpół do szóstej, kiedy policja zeszła już z posterunków, przekonana, że wszystko jest w porządku, ulice Sosnowca zaczerwieniły się od naszych sztandarów. Specjalnie kilka z nich zawiesiliśmy na drutach wysokiego napięcia - zdjęcie ich stamtąd wymagało przyjazdu ekipy technicznego pogotowia elektrowni lub straży pożarnej.

Na kilku ulicach sztandary wisiały prawie do południa, gdyż policja rozstawiona przy wylotach ulic, obok których miały przechodzić manifestacje robotnicze, lub patrolująca większe huty i kopalnie - nie miała czasu na ich usuwanie.

Zawieszenie transparentów na drutach wysokiego napięcia na metalowych „żabkach" powodowało natychmiastowe spięcie i przepalenie się sznurów do nich przymocowanych, a służących do podciągnięcia sztandarów w górę. Fakt ten wywoływał różne komentarze wśród zbierających się później gapiów, którzy nie wyobrażali sobie, w jaki sposób można było zawiesić sztandar na tych śmiercionośnych przewodach. Znaleźli się i tacy, którzy rzekomo na własne oczy widzieli, jak komuniści używali do tego specjalnych automatów sprężynowych i opisywali nawet, jak one wyglądały.

Akcja przeszła całkiem gładko i nikt nie został aresztowany.

O godzinie ósmej rano wszyscy już mogliśmy być na swoich punktach zbornych, by wziąć udział w manifestacji.

Centralny punkt zborny uroczystego wiecu ludności robotniczej Zagłębia wyznaczony został na hałdach w Sosnowcu. Obecnie jest to zabudowane centrum miasta.

Towarzysze, którzy dokładnie orientowali się w liczbie manifestantów zdążających do punktu centralnego, oceniali udział robotników w tej manifestacji na około 100 tysięcy osób. Ale niestety blisko 90 tysięcy nie dotarło na hałdy, gdyż policja zamknęła w poszczególnych dzielnicach wyloty ulic prowadzących do centrum miasta. Jednocześnie wywiązały się starcia z policją konną i pieszą w dzielnicach: Pogoń i Kuźnica. Tylko nielicznym grupkom udało się przedrzeć przez silne kordony policji.

Pomimo tego na hałdach zebrało się około 10 tysięcy osób. Był to największy wiec robotniczy, jaki pamiętam z okresu przedwojennego.

Choć centralne uroczystości legalizowało PPS, to jednak w ostatniej chwili prawicowcy z Angierem, Białasem i Bieniem na czele wycofali się, nie chcąc dopuścić do wspólnej manifestacji z komunistami. Inicjatywę szybko przejął zorganizowany na miejscu komitet, składający się z działaczy związkowych, komunistów i lewicy PPS. Przemówienia komunistów przyjęte zostały okrzykami i oklaskami.

Nagle rozeszła się wiadomość, że starostwo mobilizuje policję konną i pieszą do rozpędzenia manifestacji. Komitet pierwszomajowy KPP na poczekaniu zorganizował samoobronę robotniczą. W tych wszystkich miejscach, z których policja mogła przypuścić atak, utworzono linie obronne. Co dwa metry leżał tam w ukryciu „uzbrojony" w kamienie towarzysz, by w wypadku szturmu obrzucić nimi nacierających.

Pierwszy atak został odparty. W czasie przygotowań policji do drugiego natarcia, przyjechali taksówką z Dąbrowy Górniczej posłowie komunistyczni: Rożek i Kieruzalski. Z samochodu wyszedł jako pierwszy Rożek. Miał obandażowaną głowę i rękę na temblaku, płaszcz cały pocięty i okrwawiony. Za nim wysiadł Kieruzalski. I jego wygląd nie przedstawiał się lepiej. Okazało się, że tak urządziła ich policja w Dąbrowie Górniczej, pomimo że przez cały czas pokazywali przedstawicielom władzy swoje legitymacje poselskie. Gdy teraz dotarli do prowizorycznej trybuny zgromadzenia, entuzjazm zebranych nie miał granic. Powtórny szturm policji został również odparty. Dopiero gdy atakując po raz trzeci, dano salwę w tłum, wywołało to panikę. Padli ranni. Unosiliśmy ich w pośpiechu, chroniąc się ucieczką.

Może się wydawać dziwnym fakt, że pomimo tak masowych represji i zdziesiątkowania aktywu partyjnego aresztowaniami prewencyjnymi w przededniu akcji pierwszomajowej, uroczystości miały tak masowy i rewolucyjny charakter. Ale tłumaczy się to wielką popularnością KPP wśród robotników. Masowe prześladowania komunistów jeszcze bardziej zmobilizowały proletariat do solidaryzowania się z nimi w dniu święta robotniczego.

Rozpatrując dziś te wydarzenia sprzed trzydziestu trzech lat łatwiej można zrozumieć, jak nieraz nawet nieliczne, ale zorganizowane grupy potrafiły szybko przejąć inicjatywę w swoje ręce i pokierować rewolucyjną walką.

I tym razem okazało się, że komuna żyje, choć prasa burżuazyjna na długo przed akcją rozpisywała się o jej likwidacji.

Ale sanacja przygotowywała się do nowej rozgrywki z nami. Ponieważ policja skompromitowała się całkowicie w oczach wojewody i starosty, powiększono brygadę antykomunistyczną, sprowadzając paru nowych szpicli do spraw komunistycznych z wyjątkowo przedsiębiorczym defensywiakiem, Gumosiem, na czele.

Niedługo po tych wydarzeniach brałem udział ze swoją komórką w akcji protestacyjnej przeciwko pacyfikacjom na Zachodniej Ukrainie i Białorusi.

Jeden z towarzyszy naszej grupy, Skórnicki, był specjalistą w zarzucaniu sztandarów na druty elektryczne systemem warszawskim. Miał taką wprawę, że potrafił przerzucić przez druty kamień, wciągnąć sztandar, urwać sznurek, nie przystając przy żadnej z tych czynności, i tym samym krokiem oddalić się z miejsca operacji.

Po udanej akcji mieliśmy pójść do mieszkania, gdzie przygotowany był powielacz i woskówka. Należało odbić odezwę do młodzieży i rozkolportować nazajutrz.

Nam jednak - jak to młodym - bardzo zależało na tym, by przejść obok miejsc, gdzie zawiesiliśmy sztandary, zobaczyć je, jak wiszą, i sprawdzić, czy policja nie zdążyła ich zdjąć. Organizacja surowo zabraniała tego, ponieważ któryś z przypadkowych przechodniów mógł nas rozpoznać - ale młodzieńcza ciekawość wzięła górę.

Kiedy około dziesiątej wieczór znaleźliśmy się wreszcie w pobliżu mieszkania, przystanęliśmy, aby sprawdzić, czy nie mamy za sobą „ogonów". Tak określaliśmy wywiadowców tajnej policji. Szukaliśmy szpicla w cywilnym ubraniu, a nie widząc wokół nikogo, bez obawy weszliśmy do mieszkania. Ulica Wiejska, gdzie mieścił się lokal, była prawie nie oświetlona i dlatego też nie zwróciliśmy uwagi, że kręci się tu mundurowy, pełniąc swoją normalną służbę. Na skutki naszej nieostrożności nie trzeba było długo czekać. Po niespełna pięciu minutach usłyszeliśmy pukanie, na pytanie: „Kto tam?" - odezwano się zza drzwi: „Policja! Otwierać!"

Okazało się, że był to „granatowy", który zwrócił na nas uwagę w chwili, gdy rozglądaliśmy się przed wejściem do bramy. To właśnie wydało mu się podejrzane. Poszedł więc naszym śladem. Ponieważ tylko w jednym mieszkaniu w oficynie, właśnie u nas, zauważył światło - zapukał na ślepo.

Nie byliśmy przygotowani na taką wizytę. Skórnicki zmieszał się i nerwowym ruchem rzucił pod stojący w korytarzu stół zwiniętą w rulonik woskówkę. To naturalnie nie uszło uwagi policjanta. Zakuł nas w kajdanki i zaprowadził do komisariatu. Całe szczęście i on też nie miał doświadczenia i nie przeprowadził nawet pobieżnie rewizji lokalu, co pozwoliło właścicielom na usunięcie kompromitujących materiałów. Zaraz też zawiadomili rodziny - moją i Skórnickiego - o naszym aresztowaniu.

Gdy funkcjonariusze urzędu śledczego przyszli przeprowadzić szczegółową rewizję, mieszkanie było już czyste.

Niestety, znaleziona woskówka z napisaną już na niej treścią odezwy stała się dla sędziego śledczego Nowaka dostatecznym dowodem przeciwko nam. Toteż wydał nakaz tymczasowego zatrzymania.

Tak więc po raz pierwszy zostałem skierowany do więzienia w Mysłowicach.

V
Więzienie w Mysłowicach

Hej! We Wronkach stoi wielki gmach,
Są tam kazamaty; karcery i kraty
I trupi zapach.
Taką zgraję trza do Wronek słać,
By mogli burżuje, paskarze i szuje
Znów spokojnie spać.
Więźniów wita pan naczelnik sam:
„Choć jesteście wszyscy sami komuniści,
Jednak radę dam".

(Urywek i piosenki więziennej, skomponowanej w okresie trwania strajku głodowego we Wronkach. Śpiewano ją w Zagłębiu, zmieniając wyrazy „we Wronkach" na „w Mysłowicach").

Wiele lat upłynęło od okresu, kiedy katownia mysłowicka na samo wspomnienie wywoływała zgrozę ze względu na stosowane tam praktyki wobec więźniów politycznych. Wprawdzie okres okupacji z faszystowskimi kombinatami śmierci zaćmił w naszej pamięci sanacyjne mordownie, ale hitlerowskie zbrodnie ludobójstwa zostały ujawnione całemu światu, potępione przez cały świat i uznane przez Trybunał Międzynarodowy w Norymberdze za zbrodnie przeciwko ludzkości. Natomiast sanacyjne praktyki, w wielu wypadkach dorównujące hitlerowskim, trzeba przypomnieć i napiętnować. Chcę to uczynić tutaj.

To co spotykało komunistów w więzieniu w Mysłowicach, w wielu wypadkach - powtarzam raz jeszcze - nie odbiegało od praktyk hitlerowców. Nawet prasa sanacyjna nie ukrywała, że polskie delegacje z Ministerstwa Sprawiedliwości odwiedzały hitlerowskie obozy i więzienia, by zapoznać się z faszystowskim systemem penitencjarnym.

I administracja mysłowicka właśnie pierwsza rozpoczęła eksperymentowanie tych importowanych praktyk. Zresztą w więzieniu tym od samego początku, jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy, zaprowadzony został wyjątkowo surowy i ostry reżim. W Mysłowicach siedziałem trzykrotnie, przez krótkie okresy, w latach 1930-1933. Dlatego też dla lepszego scharakteryzowania przeżyć więźniów politycznych w tej katowni, chcę posłużyć się wspomnieniami towarzyszy, którzy przesiedzieli tam dłuższy czas. Byli oni świadkami lub osobiście na własnej skórze odczuli wszystkie okrucieństwa, jakie były stosowane w tym więzieniu.

Fakty te znałem jeszcze przed pierwszym znalezieniem się w Mysłowicach, gdyż docierały do nas listy otwarte więźniów politycznych, publikowane przez MOPR w nielegalnej prasie lub odezwach, a po wtóre zawsze przebywał tam ktoś z mojej bliskiej rodziny lub znajomych.

A teraz niech przemówią fakty.

Mysłowice, małe miasteczko górnicze, kojarzono z mordownią, gdyż tak nazywano tamtejsze więzienie, które obok kopalni było największym obiektem architektonicznym w tej miejscowości. Zostało ono przeznaczone dla komunistów przez Ministerstwo Sprawiedliwości w 1927 roku po słynnej akcji więźniów politycznych, jaka miała miejsce w Będzinie.

Przebieg tej akcji wyglądał mniej więcej następująco: W dniu 1 Maja, w czasie przemarszu ulicą Kołłątaja w kierunku Dąbrowy Górniczej pochodu zjednoczonych organizacji robotniczych, komuniści zabarykadowali jedną celę, przez okno wywiesili przygotowany sztandar i towarzysz Ćwik, ówczesny więzień polityczny Będzina, wygłosił półgodzinne przemówienie. Sprawa ta odbiła się głośnym echem w całym kraju, dlatego też Departament Więziennictwa wybrał więzienie w Mysłowicach jako najodpowiedniejsze locum dla uśmierzenia wszelkiego oporu więźniów politycznych, przeznaczając je szczególnie dla działaczy ruchu robotniczego z Zagłębia Dąbrowskiego.

Zarządowi więzienia przyznano zupełną swobodę w wypróbowaniu najbardziej wyszukanych metod fizycznego i duchowego wyniszczania komunistów, podczas gdy gdzie indziej korzystali oni jeszcze z przysługujących im regulaminowo praw więźniów politycznych.

Karcery w Mysłowicach były zawsze zapełnione. Dozorcy: Anczok, Książek, Kuczmierczyk, Pikoś, Goldberg, Wołoszynowski, Skowroński i inni starali się już o to, pisząc niczym nie uzasadnione, karne raporty. Na przykład, jeśli więzień, pozbawiony książek, gazet i materiałów piśmiennych, wyczerpany całodziennym spacerowaniem po celi i znużony bezczynnością, usiadł na krześle i zdrzemnął się - był to wystarczający powód, by przedstawić go do raportu karnego.

Kiedy indziej znów, w czasie kontroli sanitarnej, wystarczyło, by biała chusteczka strażnika, którą sprawdzał czystość sprzętów, wykazała ślady kurzu - a sporządzano raport. Karano również za dzielenie się ze współtowarzyszami produktami żywnościowymi lub tytoniem, choć w innych więzieniach nie zwracano na to uwagi.

W Mysłowicach przestrzegano do przesady system izolacyjny, segregację narodowościową, podział według zawodów, wykształcenia i pochodzenia, choć i tak każdy siedział w celi samotnie. Tylko wtedy, kiedy więzienie było przepełnione, w jednej celi trzymano dwóch lub trzech towarzyszy, choć kubatura przewidziana była na jednego więźnia. Wtedy pomimo ciasnoty i braku powietrza każdy był szczęśliwy, że chociaż przez parę tygodni nie siedzi samotnie.

Najgorszy był oddział parterowy. Cele tu nawet latem stale były wilgotne. Przebywanie w nich przez czas dłuższy groziło ciężką chorobą, toteż administracja więzienna przeznaczyła je dla wybitniejszych działaczy partii. Izolowano tam również podczas różnych akcji przedstawicieli zarządu komuny więziennej i delegatów grup oddziałowych. Parterowe cele służyły także jako miejsce dla „rekonwalescencji" chorych i poturbowanych. Te „sanatoryjne" warunki przyczyniły się do śmierci towarzyszy: Brewińskiego, Grodzickiego, Śliwy, M. Kniewskiego, Wojasa i Podsiadły, a Szkutnik i Krajzler zapadli tam na ciężką chorobę nerwową.

Byłem obecny na pogrzebie towarzysza Śliwy, który odbył się w Zagórzu. Jego chrzestny ojciec w przemówieniu nad grobem ujawnił wszystkim zebranym na tej żałobnej uroczystości powód jego śmierci - katusze, jakie przeszedł w więzieniu. W trakcie przemówienia policja konna i piesza, tratując groby, rozpędziła wszystkich, którzy chcieli oddać ostatni hołd swemu towarzyszowi walki i pracy.

Na tym samym oddziale parterowym, gdzie przetrzymywano aktyw komuny, były również pomieszczenia przeznaczone na dwutygodniową kwarantannę, którą musiał przebyć każdy więzień przybyły z wolności. Faktycznie przez okres ten wydział specjalny kwalifikował więźnia do odpowiedniej grupy i orientował się, czy nie da się go załamać przed przydzieleniem na właściwy oddział, a jednocześnie do jednej z około dwunastu grup spacerowych.

Gdy weszło się po raz pierwszy do takiej celi, miało się wrażenie, że człowieka zamurowują żywcem w grobowcu, z którego nie ma wyjścia. Panowała tu absolutna cisza. Małe okienko przepuszczało tylko wąską smugę światła, toteż cela tonęła w mroku. Nawet maleńki skrawek nieba, który by można dostrzec przez okno, zakrywała ściana muru więziennego. Podłoga była betonowa, a od ścian wionęło przejmującym chłodem. Grobową ciszę przerywał co godzinę tylko na moment zgrzyt otwieranego przez strażnika wizjera. To sprawdzano zachowanie się więźnia.

Słynne były „kąpiele" mysłowickie. „Ordynował" je sam naczelnik Romanowski, a funkcja doktora Knapczyka ograniczała się w tym wypadku jedynie do zbadania wytrzymałości organizmu pacjenta. „Kąpiele" te były przeprowadzane w asyście aspirantów: Koniecznego, Mitręgi i Tymienieckiego, często wszystkich trzech jednocześnie. Stosowano je podczas akcji więźniów przeciwko nowemu regulaminowi względem najbardziej bojowych i aktywnych towarzyszy.

Osobiście takiej „kąpieli" nie przeszedłem, ale opowiadali o nich inni towarzysze, a opis, który podaję, opieram na relacji mojego współtowarzysza grupy, najdłużej więzionego komunisty w Mysłowicach, który przeszedł tę operację wraz z ówczesnym starostą komuny, towarzyszem Mieczysławem Kniewskim, z którym przebywał w jednej celi. Towarzysz Rozmaryn bardzo mocno przeżył tragedię Kniewskiego, który po zaaplikowaniu mu „kąpieli" i karceru nie wrócił już nigdy do zdrowia.

„Kąpiel" polegała na tym, że na oddziale żeńskim w pralni napełniano betonowy basen zimną wodą przesyconą jakąś cuchnącą substancją. Tam wprowadzano więźnia, siłą rozbierano go i zanurzano całego, łącznie z głową, w tej śmierdzącej i gryzącej cieczy. Gdy, dusząc się, miotał i rozcierał oczy, w które wgryzała się ciecz, okładano go pałkami i kluczami. „Zabiegi" takie niejednokrotnie powtarzano po parę razy za jednym zamachem. Od więźnia żądano przy tym, by całował posadzkę i prosił naczelnika o przebaczenie, przyrzekając, że będzie posłuszny administracji. Ponieważ rzadko kto załamywał się, więc nieszczęśnicy po takiej operacji przynoszeni byli na oddział parterowy lub nawet wtrącani do karceru w stanie zupełnego wyczerpania. Najtrudniej te zabiegi było znieść jesienią i w zimie; wówczas z reguły więźniowie ciężko je odchorowywali.

Mieczysław Kniewski, jak już wspomniałem, był starostą komuny więziennej w Mysłowicach. Miał on wybitne zdolności organizacyjne, umiejętność przekonywania i urok osobisty, który jednał mu nawet wrogów idei, którą wyznawał. Dzięki temu udało mu się pozyskać do współpracy oddziałowego z nocnej zmiany, Walentego Grymka, który nabrawszy sympatii dla naszego ruchu, pośredniczył między zakonspirowanym zarządem komuny a wolnością. Przez niego przekazywał Kniewski różne informacje dla partii i z kolei tą samą drogą otrzymywał instrukcje od niej.

Pewnej nocy zabrano nagle Kniewskiego z celi i zaprowadzono na miejsce „kaźni kąpielowej". Asystował przy tym również Grymek z racji pełnienia swoich obowiązków służbowych. Po kilkugodzinnym znęcaniu się nad Kniewskim, zbitego i w mokrej bieliźnie, wrzucono go do ciemnego karceru. Gdy po czterdziestu ośmiu godzinach powrócił do swojej celi miał 40° gorączki. Majaczył ciągle o przebytej kaźni, chwilami zaś, kiedy temperatura ustępowała, zaczynał rozpaczać, czy aby

pod wpływem gorączki nie powiedział czegoś niewłaściwego, co mogło zdradzić dozorcę lub działalność zakonspirowanego zarządu komuny oraz jej system łączności. Właśnie obecność Grymka w czasie tortur kąpielowych tłumaczył sobie tym, że chyba, majacząc w gorączce, wyjawił jakieś szczegóły z jego nielegalnej działalności i tym samym naraził nie tylko łączność organizacyjną, ale i dozorcę. Ten stan depresyjny trwał parę tygodni i stopniowo coraz bardziej pogarszał zachwianą już równowagę nerwową Kniewskiego. Po kilku miesiącach odwieziono go w beznadziejnym stanie do szpitala, gdzie zmarł po kilku dniach.

W odezwie wydanej przez okręgowy komitet KPP w tej sprawie, oraz w memoriale przekazanym przez rodziny więźniów politycznych prokuraturze Sądu Okręgowego w Sosnowcu, podani byli następujący towarzysze, którzy przeszli takie same „kąpiele": Bando, Biernacki, Dylewski, Lapter, Salicki, Skórnicki, Stefaniak, Suchojad, Szymański oraz wspomniani już przeze mnie Kniewski i Rozmaryn. Wielu z nich w następstwie walczyło ze śmiercią, a u innych nastąpiły nieodwracalne zmiany chorobowe.

Inną formą znęcania się nad więźniami były tzw. „oporządzenia więźnia".

W 1929 roku brat mój, Henryk, przekazał towarzyszom przez matkę gryps, w którym opisał, jak w czasie trwającej głodówki wywleczono z celi Kazimierza Lepę, Jana Walkowicza, Pawła Targosza, Bateniego, Kołodzieja i jego samego. Pojedynczo sprowadzano ich niby do kancelarii, gdzie wiódł korytarz połączony z przejściem do pawilonu politycznego. Ustawieni co parę metrów dozorcy więzienni okładali przechodzących knutami skręconymi z ręczników, celowo mokrych, by nie pozostawiały śladów bicia. Skatowanych do nieprzytomności towarzyszy wtrącano do karceru, który mieścił się w piwnicy więziennej. Była to ciemna nora, do połowy zagrodzona żelazną kratą. Za nią znajdowała się przyczepiona do ściany twarda ława mająca zastąpić łóżko. Poza tym nie było nic więcej.

Według regulaminu wtrącać więźniów na dwadzieścia cztery godziny do karceru można było jedynie za jakieś wyjątkowe wykroczenie przeciwko porządkowi więziennemu, jak: usiłowanie ucieczki, zamach na strażnika, awanturnictwo. Na okres dłuższy musiał dać sankcję prokurator. W praktyce w Mysłowicach administracja trzymała komunistów w karcerach i ciemnicach tak długo, jak się jej podobało i za co jej się podobało.

Wyżywienie w karcerze w pierwszym dniu składało się z pół litra zupy i 200 gramów chleba, tj. stanowiło połowę zwykłej normy więziennej. W drugim dniu porcję chleba podwyższano do 400 gramów, ale za to zamiast zupy dawano pól litra wody. Tak karani więźniowie byli bez przerwy skostniali z zimna - nie tylko na skutek chłodu, ale również i braku kalorii. Cienka bielizna, w jaką byli odziani, nie zatrzymywała ciepła, okrywała jedynie wychudzone ciało.

Kiedy pierwszy raz dostałem się do więzienia w Mysłowicach pod koniec 1930 roku, wprawdzie jeszcze „kąpieli" nie stosowano, ale terror i reżim więzienny był i tak wyjątkowo surowy.

Więźniów politycznych przyjmował osobiście aspirant Konieczny, który niejednokrotnie na samym już wstępie potrafił dać się we znaki. Mnie przywitał jak starego znajomego ze względu na brata, który znany był mu z minionego, dwuletniego pobytu w tym więzieniu. Wprawdzie nie dostałem kopniaka po wyjściu z administracji na oddział, jak to zwykle bywało w zwyczaju Koniecznego, ale poczęstował

mnie za to paroma wulgarnymi przezwiskami, obiecując, że zgniję tutaj i nie zobaczę więcej rodzonej matki. Z tym powędrowałem na kwarantannę.

Po dwóch tygodniach pobytu w celi, którą już opisywałem, otrzymałem od delegata „trójki", towarzysza Paździora, gryps z instrukcją, jak się mam dalej zachowywać. Informowała mnie ona, że zarząd komuny zwrócił się do naczelnika, by ten przydzielił mnie do jakiejś grupy politycznej, gdyż termin kwarantanny już upłynął. Teraz ja z kolei powinienem zwrócić się za pośrednictwem oddziałowego z raportem do administracji i zażądać skierowania na oddział więźniów politycznych. Gdy w tej sprawie chciałem się zapisać do raportu, dozorca oświadczył mi, że zgodnie z zarządzeniem Ministerstwa Sprawiedliwości jako małoletni będę skierowany na oddział dla nieletnich. Tego samego dnia zostałem przeniesiony do celi dla więźniów pospolitych, którzy nie ukończyli jeszcze siedemnastego roku życia.

W celi tej siedział dorosły „opiekun" Błaszczyk, przestępca kryminalny, i trzech małoletnich: Kazik, Jurek i Mietek.

Kazik pochodził z rodziny zawodowych złodziei, miał piętnaście lat i bardzo wysoko cenił sobie „honor" złodziejski. Mnie obdarzył wyjątkowym szacunkiem. Pierwszym aktem jego przyjaźni było wytatuowanie mi pięcioramiennej gwiazdy. Jako materiał posłużył mu kopeć ze świecy, wymieszany ze smalcem. Rysunek umieścił mi na prawym przedramieniu. Po tym zabiegu oczywiście spuchła mi ręka. „Opiekun" Błaszczyk zaś zawiadomił dozorcę o tym fakcie i razem z Kazikiem powędrowaliśmy na czterdzieści osiem godzin do karceru.

Kazikowi bardzo imponowali „doliniarze" i marzył o tym, by w przyszłości stać się w tej dziedzinie dobrym fachowcem i „obrabiać nadzianych facetów" w pociągach, tramwajach czy sklepach. Na razie siedział za „pajęczarstwo", co oznaczało kradzież bielizny ze strychów.

Jureczek, czternastoletni, chudy chłopaczek, pochodził z rodziny lumpenproletariackiej. Marzył o tym, by kiedyś, jak dorośnie, zostać kasiarzem, takim jak „Szpicbródka". Aresztowano go wraz z szajką włamywaczy, która specjalizowała się w okradaniu mieszkań i sklepów za pomocą podrobionych kluczy lub wytrychów. W tej gałęzi Jurek był dopiero adeptem, choć uważał się już za „szopenfeldziarza".

Trzeci towarzysz niedoli Mietek, szesnastoletni, przystojny chłopiec z okolic Pszczyny, oskarżony był o dokonanie gwałtu na piętnastoletniej córce właściciela ziemskiego i zarazem fabrykanta, u którego służyła jego matka. W relacji Mietka sprawa wyglądała następująco:

Córka jej chlebodawcy, Zosia, zawiązała z nim romans, a gdy rodzice dowiedzieli się o tym, wyrzucili matkę i Mietka na bruk, zostawiając bez środków do życia. Ponadto na oczach wszystkich domowników i Zosi chłopak dostał dwadzieścia pasów na gołe ciało. Zosia współczuła mu, darzyła go nadal sympatią i spotykała się z nim w Bielsku, gdzie uczęszczała do gimnazjum.

Do ojca dziewczyny, zatwardziałego germanofila, Niemca z pochodzenia, Mietek czuł nienawiść i pałał zemstą za doznaną zniewagę i krzywdę. Sprawę skomplikował fakt, iż pewnego dnia na wycieczce do Czarnego Lasu dziewczyna oddała mu się dobrowolnie, z miłości. Potem okazało się, że zaszła w ciążę.

Gdy to doszło do wiadomości jej ojca, ten oskarżył chłopca o dokonanie gwałtu, a córkę natychmiast wysłał do dziadków, do Niemiec. Mietek został skazany na pobyt w domu poprawczym do pełnoletności i teraz czekał w więzieniu na skierowanie go tam.

Po jakimś czasie trójka młodocianych została odesłana do zakładu poprawczego, a ja jako małoletni wyszedłem na wolność pod dozór policji. Na rozprawie, która wkrótce się odbyła, zostałem skazany na sześć miesięcy więzienia. Miałem je już wówczas za sobą. Na szczęście ukończyłem siedemnaście lat, w przeciwnym bowiem wypadku zostałbym skazany na zamknięcie w zakładzie poprawczym dla nieletnich.

Dla wyjaśnienia podaję, że przynależność do dziecięcej organizacji politycznej była traktowana na równi z pospolitymi przestępstwami młodocianych.

VI
W szeregach Komunistycznego Związku Młodzieży w latach 1931-1933

Po krótkim organizacyjnym urlopie, który przyznawany był każ-demu towarzyszowi po wyjściu z więzienia, wróciłem do pracy konspiracyjnej już jako członek KZMP.

Był to okres gorączkowych dyskusji i sporów nad kształtowaniem się ideowego kierunku młodzieży komunistycznej.

Nasilenie życia organizacyjnego uzależnione było od składu danej grupy KZMP i poziomu intelektualnego jej członków oraz od pracy istniejących legalnych placówek kulturalno-oświatowych, kierowanych przez nas. Dlatego też w różnych dzielnicach kraju sprawy te przebiegały niejednakowo. U nas, na przykład, w Zagłębiu, nie wszystkie dzielnice miały czas na spory i dyskusje ideologiczne. Komórki KZMP-owskie były w ciągłej gotowości bojowej w związku z nieustającymi akcjami robotniczymi na ich terenie, w których brały aktywny udział. W tym czasie KZMP stała się już potężną organizacją masową, choć jeszcze były tendencje do budowania wąskiej, zamkniętej organizacji kadrowej. Obok masowego przypływu członków ze środowisk robotniczych, ogromne znaczenie w tych latach miało przyłączenie do naszych szeregów radykalnych elementów inteligenckich, grup młodzieży uczącej się i studentów.

Wywodzili się oni głównie z zamożniejszych rodzin zagłębiowskich i pomimo że powodziło się im nieźle, nie mogli pogodzić się z ciemnotą, uciskiem narodowościowym, wyzyskiem i nędzą w ówczesnej Polsce.

Do jednej z najbardziej aktywnych inteligenckich grup z Sosnowca należeli: Natalia Maskalan, rodzeństwo Hamburger, siostry Regina i Tola Solne, Pola Bugajska i wielu innych. Organizowali oni kursy dokształcające dla członków KPP i KZMP. Codziennie wieczorami, w naszym mieszkaniu lub też w domu Kozłów, odbywały się lekcje z zakresu przedmiotów humanistycznych i ścisłych. Zdobywana wiedza umożliwiała studiowanie nauk ekonomicznych i filozofii marksistowskiej, których znajomość była niezbędna dla uzasadniania w naszej pracy propagandowej kierunku zdążającego do zniesienia własności środków produkcji i ich uspołecznienia.

Duchowy przywódca tej grupy, Natalia Maskalan („Netka”), szybko pozyskała sympatię nas wszystkich. Do naszych szeregów nic przyszła jak wielu z nas, których logika walki klasowej i wyzysk zmusił do szukania drogi zorganizowanej walki rewolucyjnej. Pochodziła bowiem z bogatej rodziny, była - dosłownie - najpiękniejszą dziewczyną w Sosnowcu i miała możliwości kształcenia się lub wyjścia bogato za mąż, gdyż wielbicieli jej nie brakowało. Ona jednak przyłączyła się do nas i całym sercem poświęciła naszej sprawie, stając się jedną z czołowych działaczek KZMP w Zagłębiu.

Była członkiem Komitetu Okręgowego KZMP, a następnie pracownikiem sekretariatu KC KZMP. Kilkakrotnie aresztowana i więziona, zawsze po wyjściu wracała do pracy organizacyjnej. Faktem, być może, najlepiej charakteryzującym jej osobowość było zorganizowanie w latach trzydziestych strajku w przedsiębiorstwie konfekcyjnym, gdzie wspólnikiem był jej własny ojciec.

Te i inne wydarzenia miały duży wpływ na kształtowanie się ideowego, świadomego swoich celów oblicza KZMP-owców, którzy swoje zdyscyplinowanie, ofiarność i bojowość podbudowywali teraz naukową wiedzą marksistowską, wniesioną przez grupę kształcącej się młodzieży. I wtedy rozpoczęły się ożywione dyskusje nad charakterem, cechami moralno-etycznymi i postawą młodzieży rewolucyjnej wobec trudnych zagadnień życia codziennego, z jakimi się spotykała. Postaram się w skrócie przedstawić te zagadnienia tak, jak one nas wówczas nurtowały.

Pogłębiający się kryzys i bankructwo ideologii reformistycznych wobec postępującej coraz bardziej faszyzacji kraju spowodowały, że w organizacjach młodzieżowych OMTUR i „Wici", będących przybudówkami PPS i Stronnictwa Ludowego, powstawała silna opozycja w stosunku do prawicowego kierownictwa. Członkowie tych organizacji zaczynali domagać się radykalnych reform; przestała im odpowiadać praca wyłącznie kulturalno-oświatowa, jak w OMTUR-ze, czy też program agrarystyczny w „Wiciach". Dlatego też nastąpiło zbliżenie ich do KZM-owców. Przy tym niektóre oddziały OMTUR w Zagłębiu prawie w całości przeszły na naszą stronę. Prawicowym przywódcom nie udało się zmienić tego stanu rzeczy aż do wybuchu II wojny światowej. Uciekali się więc do rozwiązywania poszczególnych, najbardziej lewicowych oddziałów.

Zjawisko to stawało się coraz bardziej masowe i postawiło przed nami problem, celem rozwiązania którego wysunięto dwie koncepcje.

Pierwsza polegała na tym, by grupy, które deklarowały się za ideą rewolucyjnego ruchu komunistycznego, dokonały rozłamu i przeszły do nielegalnych komórek KZM-u.

Druga koncepcja sugerowała, by oficjalnie nie odrywać OMTUR-owców od własnej organizacji, a raczej dążyć do całkowitego opanowania oddziału i poprowadzenia go zgodnie z ideologicznymi założeniami KZMP. Aż do kongresu KIM-u w 1935 roku nie było w tej sprawie jasnego stanowiska centralnych nawet władz KZM. Dlatego też w niektórych dzielnicach, gdzie przeważały tendencje sekciarskie następował rozłam i całkowita izolacja tych, co pozostali w OMTUR-ze, natomiast w innych, jak Pogoń czy Sielce, OMTUR stawał się jedną z najważniejszych placówek zasilających szeregi KZMP i krzewiących idee jednolitego frontu.

Obiektywnie trzeba przyznać, że z tych organizacji lewicowych o charakterze demokratycznym młodzież wynosiła już przyzwyczajenie do demokracji wewnątrzorganizacyjnej i tradycje parlamentarne, co w zestawieniu z ofiarnością, poświęceniem, dyscypliną nabytą potem w KZM-ie, a później niestety i cierpieniami w więzieniach - dawało rzetelnego, uczciwego rewolucjonistę.

W sprawach postawy życiowej ukształtowały się dwie tendencje: jedna, którą przeważnie reprezentowali starsi, i druga, lepiej dostosowana do psychiki i trybu życia młodzieży. Pierwsza sugerowała, że KZMP-owca powinna cechować surowa powaga, a nawet purytański styl życia. Na przykład używanie środków upiększających, jak manicure czy szminka, uważane było za nielicujące z godnością rewolucjonistki. Druga wychodziła z założenia, że młodość ma swoje prawa, że obecnie KZMP ma bardzo szerokie wpływy w lewicy związkowej, OMTUR-ze, w zrzeszeniach sportowych i świetlicach robotniczych. Jest w stadium organizowania masowych przybudówek, jak: komitety antywojenne, komitety kobiece, czerwone harcerstwo itd. Dlatego też KZMP- -owcy nie powinni zamykać się w swoim własnym środowisku i ograniczać surowymi zasadami. Trzeba iść z duchem czasu i nie odbierać młodym ich naturalnych praw do radości życia.

Ogromny wpływ na kształtowanie się młodzieży miała „Wiedza", placówka kulturalna przy Robotniczej Spółdzielni Spożywców, która w wielu ośrodkach robotniczych Zagłębia otworzyła swoje filie, np. w Sosnowcu (Kuźnica, Konstantynów, Milowice, ul. Daleka), w Będzinie, Czeladzi, na Ksawerze, w Dąbrowie Górniczej, Strzemieszycach i w Niwce. Obok prowadzenia bibliotek i czytelni „Wiedza" zajmowała się organizowaniem odczytów, pogadanek popularno-naukowych, wycieczek i innych rozrywek masowych tak kulturalnych, jak i sportowych.

Niestety, zwłaszcza u starszych towarzyszy trwało przekonanie, że sport jest masową rozrywką dostarczaną przez burżuazję dla odciągnięcia młodzieży od walki klasowej. Pamiętam jak pewien towarzysz, członek zarządu Robotniczej Spółdzielni Spożywców i funkcjonariusz KPP w tych latach, kilkakrotnie na różnych konferencjach wygłaszał przemówienia, uzasadniając, że sportem i innymi rozrywkami młodzież powinna się zająć dopiero po zdobyciu władzy przez klasę robotniczą. Teoria ta była podmurowana twierdzeniem, że po ciężko przepracowanym dniu młody człowiek powinien siedzieć nad książką, a nie kopać piłkę czy grać w ping-ponga.

Życie samo obaliło takie rozumowanie, bo zarówno w klasowych związkach zawodowych jak i w placówkach kulturalno-oświatowych „Wiedza" powstawały zespoły chóralne, taneczne, sportowe, a z tak przyciągniętą młodzieżą organizowano wieczorki dyskusyjne.

Sprawą, która nurtowała wtedy nas wszystkich, była postawa młodego komunisty wobec trudnych problemów prawnych i obyczajowo-rodzinnych, jak śluby kościelne, mieszane małżeństwa, problem stałości uczuć itp.

Jeśli chodzi o te kwestie, dysponowaliśmy skromnym dorobkiem teoretycznym. Dochodziły do nas zaledwie fragmenty broszur na ten temat pisanych przez Klarę Zetkin i Nadieżdę Krupską. Popularna wówczas powieść radzieckiej pisarki, Wiery Kołłątaj, pt. „Miłość trzech pokoleń" stała się przedmiotem wielu dyskusji, gdyż poruszony przez nią problem był nowy dla starszych i dorastającej młodzieży, a przy tym postawiony dość śmiało.

Dużą frekwencją cieszyły się również poruszające ten temat odczyty popularnego prelegenta, Tadeusza Wieniawy-Długoszewskiego, przed jego przejściem do obozu sanacyjnego. Po każdym odczycie trwała zawsze długa i ożywiona dyskusja.

Małżeństwo. Zdawałoby się dzisiaj - problem prosty, polegający na usankcjonowaniu prawnym związku dwojga kochających się ludzi, mających ku temu nawet warunki materialne. Nie było to jednak wówczas sprawą prostą, zwłaszcza jeśli przyszła para małżeńska wywodziła się z grona popularnych działaczy KPP i nie chciała ze względów zasadniczych brać ślubu religijnego. W Polsce zaś obowiązywały wyłącznie takie śluby, udzielane przez urzędy parafialne kościoła katolickiego i gminy wyznaniowe mniejszości narodowych. Śluby cywilne mogli otrzymać tylko mieszkańcy Śląska, gdzie istniały jeszcze stare przepisy z okresu zaboru pruskiego. Jednak odbywało się to przy dużym nakładzie starań i kosztów związanych z obowiązkiem zamieszkiwania przynajmniej trzech miesięcy na Śląsku. Śluby te nie były przy tym honorowane w innych częściach kraju.

Myśmy jednak - w większości - uznawali pogląd, że pomimo konsekwencji, jakie pociągało za sobą zawarcie ślubu cywilnego, człowiek niewierzący i do tego działacz rewolucyjny nie powinien naginać się do panujących zwyczajów i ustalonych porządków prawnych i brać ślub religijny, będąc jednocześnie bezwyznaniowcem propagującym ateizm.

Był to dylemat wyjątkowo trudny, choć partia nie stawiała tej sprawy na ostrzu noża, a raczej każdy z nas rozstrzygał ją sam ze sobą. Stawało się przed alternatywą: połączyć się z kochaną kobietą zgodnie z panującymi stosunkami prawnymi i tradycją, ale wbrew własnemu przekonaniu i głoszonym przez siebie poglądom, lub też rozstać się z nią, rezygnując tym samym z osobistego szczęścia.

Jeśli oboje godzili się na współżycie nie „usankcjonowane" związkiem kościelnym, to konsekwencje tego w pierwszym rzędzie spadały na kobietę. Musiała ona wykazać wyjątkową odwagę cywilną, gdyż w wielu środowiskach, a bardzo często przede wszystkim ze strony rodziców - narażała się na potępienie. Było to tym boleśniejsze, że rodzice takiej młodej pary w pierwszym okresie cierpieli bardzo, wyrzekali się swych dzieci i rozpaczali. Jednak po upływie pewnego czasu, gdy przekonali się, że współżycie młodych jest przykładne - godzili się z faktami i przyjmowali je jako „zło konieczne".

Jeszcze trudniej przedstawiał się problem małżeństw mieszanych. Przed wojną, kiedy silnie zakorzenione były konserwatywne tradycje i zwyczaje, małżeństwo mieszane było faktycznie niemożliwe. Jeśli zaistniał wypadek, że Polak i katolik zakochał się w Żydówce czy protestantce, to jedna ze stron musiała zerwać ze swoją religią. Było to związane z „hańbą" dla jednej i drugiej rodziny i wyklęciem przez kościół czy gminę wyznaniową. Młoda para i jej rodziny przy tym stawały się obiektem prześladowania. Można było, będąc i tak ateistą, pominąć „sakrament ślubu", ale w takim wypadku związek bywał jeszcze gorzej widziany przez rodziców i otoczenie, kultywujące stare tradycje, i życie młodej pary stawało się wprost gehenną. Szczęściem emancypacja poglądów w środowiskach robotniczych i inteligenckich wciąż postępowała naprzód i coraz więcej rodziców rozumiało słuszną postawę swoich dzieci i solidaryzowało się z nimi. Toteż nie wszystkich młodych spotykały opisane powyżej kłopoty.

Gorzej przedstawiały się sprawy po urodzeniu dziecka, które w późniejszych latach musiało iść przecież do szkoły. W urzędach ewidencji ludności dziecko takie zapisywano jako nieślubne, na nazwisko matki, dlatego stale było ono narażone na szykany ze strony rówieśników, a często nawet i nauczycieli. Dla orientacji podaję, że wielu naszych towarzyszy dopiero po wojnie uregulowało sprawę ojcostwa swoich dorosłych dzieci. Ale właśnie na skutek tych wszystkich trudności stosunki koleżeńskie w naszym środowisku nacechowane były szczerą przyjaźnią. To samo dotyczyło i miłości. Nie było w niej fałszu, choć jak wszędzie bywały wypadki zerwania narzeczeństwa czy małżeństwa, gdy miłość ustała. Ale bardzo krytycznie ocenialiśmy tych, którzy podczas pobytu ukochanej osoby w więzieniu zmieniali swój stosunek do niej.

Opisałem te nasze ówczesne problemy dość szczegółowo, ale nie należy ani na chwilę zapominać, że były one tylko uboczne wobec absorbującej nas bezustannie walki z istniejącym ustrojem i troski, by wyraz tej walki - praca organizacyjna, techniczna i kolportażowa przebiegały bez zakłóceń. Każdy z nas miał przecież konkretne, wyznaczone zadanie i wszyscy zdawali sobie sprawę, że partia musi mieć zaplecze i że każdą sprzyjającą sytuację należy wykorzystać celem zorganizowania szerokiej bazy dla podziemnej pracy technicznej, która w naszej nielegalnej robocie odgrywała bardzo poważną rolę.

Szybki rozwój ruchu młodzieżowego, rozrost organizacji, a jednocześnie częste aresztowania naszych towarzyszy zmuszały nas do zorganizowania samodzielnej techniki KZMP z własnymi punktami drukarskimi. Bo początkowo korzystaliśmy z usług techniki partyjnej.

Strukturalna budowa partii w skali okręgu obejmowała: komitet okręgowy, komitety miejskie, dzielnicowe i jako najniższe ogniwa i komórki. Technika była w organizacji działem specjalnym, do pewnego stopnia wydzielonym z całości dla większej konspiracji.

Komitet okręgowy partii wybierał ze swego składu technika okręgowego, którego głównym zadaniem było obsłużenie wszystkich dzielnicowych komitetów danego okręgu literaturą i innymi wydawnictwami partii, drukowanymi w centrali i na miejscu. Taki technik był płatnym i etatowym funkcjonariuszem partii, toteż w okresie pełnienia swej funkcji rezygnował z pracy zawodowej.

Okręgowy komitet KZMP nie miał płatnego technika okręgowego, gdyż jeden jedyny etat, jakim rozporządzaliśmy przeznaczony był dla sekretarza okręgu, który zazwyczaj przebywał nielegalnie na danym terenie. Zadanie więc, które otrzymałem, polegało na zorganizowaniu samodzielnej techniki okręgowej KZMP w oparciu o własne siły, bez specjalnych funduszy, których partia nie posiadała.

Należało zorganizować odpowiedni zespół techniczny i zdobyć takie lokale, których wyposażenie kamuflowałoby naszą pracę.

Upatrzyłem trzy takie punkty: przy ulicy Targowej, Modrzejowskiej i Małachowskiego.

W pierwszych z nich, w Związku Rzemieślników i Drobnych Kupców, zatrudniony był w charakterze sekretarza jeden z naszych sympatyków, mój serdeczny przyjaciel, Józef Dorenter.

Miejsce to było dla techniki idealne. Zrzeszenie skupiało rzemieślników i kupców, było więc poza podejrzeniami o sympatie do komunizmu.

Służbowy pokoik sekretarza połączony był z sekretariatem, dobrze zaopatrzonym we wszystkie przybory i materiały do powielania. Dodatkową ważną zaletą punktu było to, że mogliśmy bezpłatnie korzystać z farb, papieru i woskówek należących do związku, gdyż nabywanie tych artykułów w sklepach sprawiało nam zawsze duże trudności, a fundusze nasze były skromne. Lokal miał jednak poważną wadę - można było z niego korzystać w pełni tylko w niedziele i w późnych godzinach nocnych. To powodowało kłopoty w doręczaniu materiałów, których nie mogliśmy nosić przy sobie bez narażania się. Rękopisy chowaliśmy więc nieraz w szafkach od liczników i korków elektrycznych, umieszczonych na klatkach schodowych. Nazywaliśmy je „skrytkami technicznymi".

Drugi punkt jako magazyn podręczny i „adresówka" dla techniki centralnej zdobyliśmy przy ul. Małachowskiego u właściciela warsztatu stolarskiego, naszego sympatyka, Złotnika, którego brat i siostra byli komunistami. Punktem tym opiekował się KZM-owiec Józef Goldkorn.

Znakomicie do naszych celów nadawał się trzeci lokal - Biuro Próśb i Podań, usytuowane przy ulicy Modrzejowskiej w handlowym i ruchliwym punkcie miasta. Pracowała tam jako sekretarka młoda dziewczyna, która sympatyzowała z nami. Była nią Alicja Rzemieniecka.

W godzinach przedpołudniowych przebywała w biurze sama, gdyż szef jej zajęty był w tym czasie w różnych urzędach lub w sądzie.

Umówiłem się z Alicją na spotkanie i z rozmowy wywnioskowałem, że dziewczynie bardzo imponują KZM-owcy. Wyobrażała sobie naszą pracę dość romantycznie jako pasmo niezwykłych przygód. Nic dziwnego, miała wówczas siedemnaście lat.

Tymczasem któregoś dnia trzeba było szybko wydać ulotkę w związku z głodówką więźniów politycznych w Mysłowicach. Udałem się wtedy do Alicji z prośbą, by odbiła mi woskówkę według przedstawionego tekstu. Nie spodziewała się, że tak szybko obdarzymy ją zaufaniem. Czuła się zaszczycona. Natychmiast spuściła story, pozorując przerwę w pracy, i od razu usiadła przy maszynie. Okazało się, że ma w biurze również powielacz i papier, toteż w niedługim czasie cały nakład był gotowy. Tego samego dnia o godzinie drugiej w południe ulotki zostały rozrzucone w całym Zagłębiu i na Śląsku. Od tego czasu Alicja coraz bardziej się do naszego ruchu zbliżała i z czasem, dość szybko zresztą, wstąpiła do KZMP.

Musiała przy tym przezwyciężyć duże trudności, w domu bowiem, gdy jej rodzina zorientowała się, że związała się z nami i przebywa w środowisku robotniczym, zaczęto jej dokuczać, chować ubranie, aby nie mogła wychodzić, a nawet katować, tak że na spotkania przychodziła często posiniaczona. Nie wiedzieliśmy wówczas, co się z nią dzieje, gdyż widocznie wstydziła się przyznawać do tych ciągłych szykan jej rodziny. Stan Alicji jednak zaniepokoił nas i zainteresowaliśmy się tą sprawą. Okazało się, że to jej starszy brat był inspiratorem prześladowań, uważał bowiem komunistów za ludzi nieodpowiednich do towarzystwa, a siostrę za „dziewczynę z dobrego domu".

Postanowiliśmy dać mu nauczkę. Rodzina Alicji mieszkała przy ulicy Szklarskiej w budynku należącym niegdyś do huty szkła. Dom ten miał dwa wejścia: jedno przez byłą portiernię, a drugie główne.

W nocy, gdyż brat jej tak późno wracał do domu, paru naszych chłopców zaczaiło się na niego. Gdy wszedł do sieni, raptem posypały się na niego silne razy. Rzucił się do ucieczki tylnym wyjściem. Ale i tu czekała na niego druga grupa towarzyszy i przyjęła go podobnie. Oddał więc na ślepo kilka strzałów. Miał prawdopodobnie tylko straszak, ale huk rozległ się jak z prawdziwego rewolweru. To zmusiło naszych do ucieczki. W wypadku wsypy wszyscy podlegaliby karze organizacyjnej - cała akcja bowiem była z naszej strony wybrykiem, którego dopuściliśmy się na własną rękę. Poskutkował on jednak: brat zostawił Alicję w spokoju i pozwolił jej, aby samodzielnie decydowała o swoich sprawach.

Którejś czerwcowej niedzieli spotkaliśmy się o szóstej rano z Józefem Goldkornem, by przekazać sekretarzowi Związku Rzemieślników i Drobnych Kupców materiały przeznaczone dla techniki. Nie można ich było przekazać od razu, postanowiliśmy więc tymczasem ukryć je w „skrytce" z bezpiecznikami, w jednej z bram naprzeciwko tego zrzeszenia.

Na nasze nieszczęście parę dni temu złodzieje powykręcali na wszystkich piętrach w sąsiedniej kamienicy żarówki. Toteż dozorczyni „naszego domu" postanowiła przyłapać ich w swojej bramie na gorącym uczynku. Czatowała pilnie i gdy tylko schowaliśmy pakuneczek, natknęliśmy się na nią, a ona zdążyła zauważyć, że kręcimy się kolo liczników. Była przekonana, że złapała złodziei. Podniosła okropny wrzask i biegła za nami aż do ulicy Dekerta, gdzie wpadliśmy wprost na patrolującego policjanta. Doszło do szamotaniny z nim i z kobietą. Powstało zbiegowisko. Wśród gapiów zauważyliśmy dwóch naszych towarzyszy i korzystając z zamieszania, daliśmy im znać, by natychmiast opróżnili schowek. Tymczasem posterunkowy, nie bacząc na nasze niezbyt składne tłumaczenia, odprowadził nas do komisariatu.

Dyżurny w komisariacie przyjął meldunek o dokonaniu kradzieży żarówek, wciągnął nas do rejestru, spisał nasze personalia i wprowadził za barierkę, gdzie byli zatrzymani inni podejrzani o kradzieże.

Mieliśmy pecha, o godzinie dwunastej bowiem przypadkowo przeszedł przez dział mundurowy szpicel Czarnecki i zapytał z przekąsem:

- A za co tych tu trzymacie, panie kolego?

- Za kradzież żarówek - pospiesznie odpowiedział dyżurny.

- A to dobre! - parsknął śmiechem Czarnecki i zaraz dodał tonem już poważnym: - Nie przypuszczałem, że kolega jest tak naiwny. Dlaczego nie sprawdził ich pan w kartotece? Znam dobrze tych czerwonych ptaszków. Im nie żarówki w głowie...

Natychmiast zabrał nas do wydziału śledczego. Jednocześnie ekipa wywiadowców szybko udała się na miejsce rzekomej kradzieży, by przeszukać wszystkie szafki liczników w okolicznych kamienicach.

Nasi jednak wyprzedzili ich i jak później dowiedzieliśmy się, zanim jeszcze doprowadzono nas do komisariatu, pobiegli pod wskazany adres i opróżnili „skrytkę".

Naturalnie szpicle niczego nie znaleźli i po powrocie z rewizji nie omieszkali wyładować na nas, każdy w swoisty sposób, swej złości.

Odesłano nas z powrotem do sekcji kryminalnej, a wieczorem zawezwał nas do siebie przodownik Modrzejewski, przezwany „Długim Łbem". Znany był z okrucieństwa i sadyzmu.

Mieszkał w Pogoni naprzeciwko naszego towarzysza, Szpicberga. Tak go sobie ten „Długi Łeb" upodobał, że bez powodów przy każdym spotkaniu z sąsiadem okładał go gumową pałką. Bywało, że Szpicberg z tego powodu całymi tygodniami nie przychodził do domu na noc, bo „sąsiad" specjalnie oczekiwał go, by wyładować na nim energię, jeśli to nie udało mu się podczas normalnej służby w komisariacie.

Modrzejewski przez całą godzinę znęcał się nad nami, bijąc szczególnie po głowie na przemian - to grubą księgą rejestru wypadków - to pałką. Nie miał jednak przeciwko nam żadnych dowodów, toteż policja zmuszona była nas zwolnić i umorzyć dochodzenie. Upiekło nam się, ale parę dni po tym został aresztowany technik komitetu miejskiego KZMP, towarzysz Stanisław Segda, głównie z tego powodu, że łącznik dostarczył mu paczkę „literatury" z lokalu zrzeszenia kupców w nieodpowiedniej porze. Dlatego też musieliśmy ograniczyć do minimum korzystanie z tego punktu i szukać nowych miejsc, takich, skąd można będzie zabierać materiały nie zwracając na siebie uwagi, i doręczać je technikom na mieście w godzinach największego ruchu.

VII
historyczny zlot młodzieży komunistycznej w Murckach

To nie spacer jest legalny
- ni muzyczka tutaj gra.
Może zaraz hukną salwy,
Idzie, idzie ZMK.

Rok 1932, w którym zapadła decyzja o zorganizowaniu zlotu młodzieży w Murckach, bogaty był w wydarzenia na arenie międzynarodowej i wewnątrz kraju.

W Polsce z dnia na dzień pogłębiał się kryzys, liczba bezrobotnych w samym tylko okręgu śląskim wynosiła 100 000 osób, a oficjalne statystyki podawały 84 000 i 20 000 częściowo zatrudnionych. W pierwszym rzędzie ofiarą redukcji padła młodzież. Rezerwowa armia bezrobotnej młodzieży zasilana była rokrocznie nowymi tysiącami, które opuszczały ławy szkolne i nie mogły znaleźć pracy. Przez cały kraj przechodziła fala strajków i protestów, krwawo dławionych przez ustrój sanacyjny.

Tymczasem na arenie międzynarodowej zbierały się niebezpieczne chmury. Hitlerowcy coraz wyżej podnosili głowę i sięgali po władzę. Już wówczas organizowali V kolumny w krajach, na które mieli napaść po paru latach. Śląsk, znajdujący się obok granicy z Niemcami, odczuwał to żywo. Pomimo że wojewoda Grażyński uchodził za przeciwnika germanofilów i stał rzekomo w opozycji do polityki Becka w sprawie sojuszu Polski z Niemcami hitlerowskimi, to niemieckie organizacje faszystowskie miały tu pełną swobodę działania. Natomiast lewicowy ruch polski i niemiecki był coraz bardziej prześladowany. Dotyczyło to w szczególności KPP i jej działaczy, którzy zostali wysiedleni ze Śląska. W ten sposób zaistniały obiektywne warunki dla pełnej, swobodnej działalności V kolumny hitlerowskiej, która odegrała tak ważną rolę w agresji na Polskę.

Po obydwu stronach granicy komuniści przestrzegali przed grożącym niebezpieczeństwem. Na wiecu ludności polskiej i niemieckiej w Zabrzu - ówczesnym Hindenburgu - Ernst Thaelmann nawoływał do tworzenia wspólnego frontu walki, tak Polaków jak i Niemców, przeciwko faszyzacji, która przyniesie ludności tylko nieszczęście.

Okres ten zbiegł się z jubileuszowymi obchodami X-lecia przyłączenia Górnego Śląska do Polski, do którego przygotowywały się wszystkie organizacje społeczne.

KZM planował powiązać obchody X-lecia powrotu Śląska do macierzy ze zlotem młodzieży trzech województw: krakowskiego, kieleckiego i śląskiego, w Murckach. Ze względu na trudności finansowe i organizacyjne województwo krakowskie odpadło, a pozostały województwo śląskie i większa część kieleckiego.

Dzień 19 czerwca, na który wyznaczono zlot, był dla nas sprzyjający, gdyż wszystkie organizacje prorządowe, tak polityczne jak i społeczne, zaabsorbowane były przygotowaniami do oficjalnych uroczystości państwowych. Myśleliśmy, że to częściowo odciągnie ich uwagę od naszego zlotu. Jak jednak wykazały dalsze wypadki, wystarczyło im czasu, aby w tym dniu jeszcze „zaopiekować się" nami.

Główny trzon kierowniczy naszego wielkiego spotkania stanowiła organizacja KZM-owska Zagłębia, gdyż była ona najsilniejsza i najlepiej zorganizowana. Utworzono komitet zlotowy, do którego weszli: Paweł Zielonka, działacz KZMP ze Śląska i członek egzekutywy OK KZMP, oraz trzech towarzyszy z Zagłębia: Antoni Stolarski, Mieczysław Wojas i ja.

Komitety dzielnicowe KZMP utworzyły w zrzeszeniach sportowych, związkach zawodowych i świetlicach „Wiedzy" komendantury, które przygotowały organizacyjnie młodzież na swoim terenie do zlotu.

Przedstawiciel Górnego Śląska, towarzysz Zielonka, otrzymał zadanie zalegalizowania na ten dzień w Murckach międzyokręgowych zawodów sportowych Śląska i Zagłębia, „firmowanych" przez zrzeszenia sportowe „Siła" i „Przyszłość". Na Śląsku łatwiej było przeprowadzić taką imprezę niż w innych województwach, gdyż przepisy administracyjne były o wiele liberalniejsze.

Nie udało się jednak oszukać sanacyjnych władz. Już od świtu 19 czerwca wszystkie dworce kolejowe w województwach kieleckim i śląskim, wyloty ulic, jak również drogi prowadzące do Murcek były obstawione przez policję i szpicli. Na moście szopienickim kręcili się „granatowi", legitymując przechodniów. Ale dla nas przebycie wpław rzeki było błahostką wobec innych szykan. Młodzież na rowerach, furmankach, piechotą, matki z dziećmi na rękach - wszyscy ciągnęli do Murcek.

Józef Birencwajg, który na krótko przed zlotem -wyszedł z więzienia, nie mógł przedostać się przez strzeżony most. Poszedł więc do ekspedycji towarowej, gdzie pracował, i zabrał najlepszy zaprzęg z furmanką. Umaił ją gałęziami, a konie przystroił jak na wesele. Zmylił w ten sposób czujność policji i parę razy obrócił, zabierając po drodze do Murcek dziewczęta i chłopców, którzy nie mogli przejść przez strzeżone drogi.

Spodziewaliśmy się, że zlot może zgromadzić młodzież w ilości 500 do 1 000 osób. Przybyło jednak około 5 000 ludzi. Przez swoją masowość i rozmach była to bodaj największa manifestacja młodzieży komunistycznej w przedwojennej Polsce. A organizacyjnie nie byliśmy przygotowani na tak masową imprezę.

Gospodarz zlotu, Paweł Zielonka, jeszcze przed posiedzeniem komitetu ogólnego dokonał otwarcia wielkiego spotkania młodzieży. Wszedł na zaimprowizowaną pośrodku boiska trybunę i odczytał program uroczystości, ze szczególnym uwzględnieniem imprez sportowych i artystycznych. Na zakończenie dodał od siebie:

- Na razie nie podajemy programu politycznego, to nastąpi później, bo jak sami widzicie, kręcą się tu „wściekłe psy" i mogliby nam rozwiązać to zgromadzenie.

Już w godzinach przedpołudniowych zanotowaliśmy kilka wypadków nieprzemyślanych zrywów, które mogły nas drogo kosztować. I tak np. jedna z organizacji śląskich z Chorzowa wystąpiła z wnioskiem, by utworzyć pochód do Mysłowic, napaść na więzienie, rozbroić straż, i uwolnić więźniów politycznych. Znalazła się nawet jedna młoda towarzyszka posiadająca małokalibrowy pistolet, który miał posłużyć do unieszkodliwienia straży i zdobycia więzienia.

Dużo kłopotu mieliśmy przy doprowadzeniu rozgorączkowanych entuzjastów do rozsądku i odciągnięciu ich od podobnych zamiarów. Aby ich uspokoić, ustaliliśmy, że po zamknięciu zlotu jego uczestnicy, pochodzący z Zagłębia, w drodze do Sosnowca demonstracyjnie przejdą przed więzieniem

w Mysłowicach, śpiewając pieśni rewolucyjne i wznosząc hasła przeciwko faszystowskiemu regulaminowi.

Drugim lekkomyślnym postępkiem było wywieszenie na wierzchołku najwyższego drzewa sztandaru KZM z dzielnicy Kuźnica w Sosnowcu. Towarzysze stamtąd uważali, że sztandar, pod którym w dniu 1 Maja stoczono zwycięską, czterogodzinną walkę z policją, powinien uświetnić tak uroczyste chwile. Zdawało im się, że można już sobie na wszystko pozwolić, że wróg nam już nie zagraża.

Grupa towarzyszy z Katowic samowolnie rozpoczęła kolportować wśród uczestników zlotu ulotki wydane przez KPP w związku z X-leciem przyłączenia Śląska do Polski. Nie zdążyli ich rozprowadzić wśród robotników przed zlotem, a szkoda im było, aby się zdezaktualizowały.

Tak oto w skrócie przebiegały pierwsze godziny zlotu. Myśleliśmy tylko o jednym, by jak najprędzej zlikwidować stan anarchii i rozgorączkowania, jakie opanowało naszych towarzyszy. Całe szczęście osłona właściwego celu zlotu - zawody sportowe - przebiegały sprawnie, tak jak były zaplanowane.

Dopiero po kilku godzinach udało nam się wzmocnić organizację, utworzyć komitet ogólnozlotowy i podporządkować wszystkie komendantury terenowe organizacji zlotu.

W południe, kiedy zawody zakończyły się i rozdawano dyplomy sportowe, rozpoczęła się część polityczna, zapowiadana na początku zlotu przez towarzysza Zielonkę.

Na godzinę drugą przewidziany był wiec z udziałem delegacji niemieckiej młodzieży komunistycznej, która miała przybyć na zaproszenie komitetu zlotowego. W ostatniej chwili otrzymaliśmy wiadomość, że delegacja natknęła się na wzmocniony patrol i musiała zrezygnować z nielegalnego przekroczenia granicy. Zadecydowaliśmy więc przyspieszyć defiladę oddziałów młodzieży i przystąpić do głównej manifestacji antywojennej. Po przyjęciu przez uczestników wiecu rezolucji - grupy regionalne rozpoczęły występy artystyczne, na które składały się: deklamacje, tańce i scenki rodzajowe.

Dzień był gorący i słoneczny. Las rozbrzmiewał melodiami pieśni rewolucyjnych. Dziewczęta i chłopcy w kostiumach plażowych opalali się na słońcu. Zakochane parki kryły się w gąszczu leśnym. Wydawało się, że Murcki zamieniły się w małą, socjalistyczną republikę młodzieżową. W rzeczywistości była to malutka wysepka, otoczona morzem bezprawia i terroru, o czym za niedługą chwilę mieliśmy się przekonać na własnej skórze. Nikt już nie spodziewał się wizyty „granatowych" gości, gdy nagle las i miasteczko zostały otoczone przez silne oddziały policji pieszej, konnej i zmotoryzowanej. Ściągnięto posiłki z całego Śląska i Zagłębia, a „golędziniacy", którzy byli rezerwą wojewody, przypuścili szturm na zgromadzoną w lasach młodzież.

Powstało ogólne zamieszanie. Coraz wyraźniej ukazywały się zza drzew sylwetki znienawidzonych „chłopców z Golędzinowa". Byli w hełmach, z bagnetami zatkniętymi na karabiny, za nimi jechała policja konna z obnażonymi szablami. Na szosie stały samochody pancerne z lufami skierowanymi na bezbronnych uczestników zlotu.

Nie było mowy o przyjęciu otwartej walki z taką siłą, gdyż w lesie nie było kamieni, a większość uczestników wiecu, zwłaszcza dziewczęta, chodzili w strojach plażowych.

Policja oderwana od uroczystego obiadu wydanego przez władze z okazji święta, w większości będąc pod wpływem alkoholu, brutalnie biła i katowała uczestników zlotu. Uciekających okładała pałkami,

kolbami i kopniakami. Zrywano z kobiet kostiumy kąpielowe, pastwiono się nad bezbronnymi dziewczętami. Było wielu rannych i poturbowanych.

Do tej haniebnej pacyfikacji włączyła się organizacja „Strzelec" i chuligańskie elementy z „Legionu Młodych".

Policja załadowała kilka samochodów ciężarowych ubraniami, rowerami, plecakami i innym sprzętem turystycznym, który porzuciła uciekająca młodzież. Setki dziewcząt i chłopców musiało przeczekać w strojach plażowych do nocy, a następnie lasami, łąkami i tylnymi dróżkami przedostać się jakoś do swoich domów.

Nazajutrz prasa brukowa zaczęła szkalować zlot i jego uczestników. Był on jakoby bluźnierczy i obrażał uczucia chrześcijańskie miejscowej ludności, bo dziewczęta chodziły „gołe lub z obnażonymi częściami ciała". Oczywiście nie pisano, że to właśnie podchmieleni policjanci i opryszki ze „Strzelca" zrywali z nich ubrania. Chełpiono się natomiast, że wszyscy agitatorzy komunistyczni zostali ujęci.

Rzeczywiście na miejscu i podczas obław udało się władzom sanacyjnym zaaresztować około 300 osób. Aresztowania były jednak przypadkowe i w wielu wypadkach zatrzymano zwykłych wycieczkowiczów, którzy nie brali udziału w zlocie.

Policja zdobyła jednak przy pomocy szpicli kilka zdjęć przemawiających organizatorów zlotu, a następnie ustaliła ich toż-samość. Po kilku dniach zostałem zawiadomiony przez sędziego śledczego Zdanowskiego z Katowic, że wszczęto przeciwko mnie dochodzenie za przemówienie na zlocie.

Z aresztowanych zwolniono prawie wszystkich, a w stan oskarżenia postawiono tylko czternastu podejrzanych o organizowanie zlotu i kierowanie nim.

Na głównego oskarżonego komisarz Brodniewicz i naczelnik wydziału bezpieczeństwa, Ryczkowski, kreowali aresztowanego uczestnika zlotu, bezpartyjnego Cukiera z Będzina, z zawodu krawca, który ich zdaniem świetnie pasował do wykazania, że zlot był dziełem „żydokomuny". Dowody rzeczowe przy tym były nieistotne, gdyż zlot był zalegalizowany, a u zatrzymanych niczego nie znaleziono. Toteż do rozprawy część oskarżonych odpowiadała z wolnej stopy.

Zarzuty prokuratorskie podzielone były na dwie grupy. Jedna dotyczyła organizowania zlotu, który jakoby miał na celu obalenie ustroju, oderwanie Śląska od Polski i zorganizowanie na tej ziemi komunistycznej republiki rad. Tak nieudolny, bezpodstawnie sformułowany zarzut został przez obronę i powołanych biegłych łatwo obalony. Tym samym odpadł główny motyw oskarżenia.

Druga grupa zarzutów dotyczyła zakłócenia spokoju i podburzenia do wystąpień przeciwko policji. Jedna z naszych towarzyszek, Maria Zielonka, została oskarżona o profanację uczuć religijnych, których rzekomo dopuściła się w czasie recytacji, w części artystycznej zlotu. Dostała najniższy wymiar kary, bo sześć miesięcy. Uzasadnienie jej wyroku było mniej więcej takie:

- Oskarżona Zielonka Maria zostaje skazana na sześć miesięcy aresztu za to, że w dniu 19 czerwca 1932 roku wychwalała bezbożny związek wolnomyślicieli, szkalując kościół katolicki i księży.

Prokuratura koniecznie chciała zastosować wobec oskarżonych artykuł przewidujący sankcje karne za podburzanie przeciwko policji. W tym celu świadkowie oskarżenia i szpicle zeznawali, że wszyscy mówcy nawoływali do rozprawienia się z policją.

Gazety postępowej Polonii na całym świecie ogłaszały protesty przeciwko terrorowi i aresztowaniom uczestników wielkiego spotkania młodzieży.

VI Zjazd KPP bardzo wysoko ocenił organizację KZM-owską Śląska i Zagłębia i przesłał specjalne pozdrowienia dla uczestników antywojennego zlotu w Murckach.

A teraz przejdę do opisu mojej sprawy sądowej. Była ona wyłączona, ponieważ na trzy miesiące przed rozprawą dotyczącą zlotu zostałem oskarżony z innego paragrafu i teraz prokurator Jewniewicz, zażądał osobnej sprawy, motywując to tym, iż dochodzenie przeciwko mnie toczy się w trybie doraźnym, co według przepisów wymaga ścisłej izolacji.

Gdy w półtora roku po pierwszym terminie rozprawy zostałem doprowadzony do sądu w Katowicach, po raz drugi odtworzono przebieg przewodu sądowego. Dla potwierdzenia aktu oskarżenia prokuratura powołała tych samych świadków, przeważnie policjantów, szpicli i kilku mieszkańców Murcek - naszych wrogów.

Zeznawał jeden ze świadków, który rzekomo słyszał przemówienie któregoś uczestnika wiecu, atakujące policję. Na żądanie obrońcy, by świadek dokładnie powtórzył treść przemówienia, padła odpowiedź:

- Wszyscy mówili, żeby się nie bać tych wściekłych psów, bo jak tylko widzą czerwony sztandar, to uciekają jak zające.

- A skąd świadek wie, że mówcy mieli na myśli policję. Może słowa te skierowali do swoich przeciwników politycznych, jak członkowie „Strzelca" czy „Legionu Młodych"?

- Proszę wysokiego sądu, każdy wie, że wściekłe psy - to policja...

Na sali zapanowała ogólna wesołość.

Główny świadek, Dudek, policjant z Murcek, lat około pięćdziesięciu, mało inteligentny, opisywał, w jaki sposób przebiegał wiec. Streszczał przemówienie, które rzekomo miałem wygłosić. Wszystko plątał i gmatwał, chwilami wywoływał na sali wybuchy śmiechu.

- ...Dokładnie pamiętam - zeznawał - jak Winiawski nawoływał do walki z rządami krwawego kata Piłsudskiego, który przygotowuje się do wojny z Chinami i Japonią...

Na sali zrobiło się poruszenie, a adwokat Trojanowski zapytał

- Czy świadek przypadkiem nie przesłyszał się i czy jest pewny, że właśnie oskarżony tak mówił?

- Nie mylę się - to on. Dokładnie też pamiętam każde jego słowo.

Nie wytrzymałem. Wstałem i zwracając się do Dudka, zapytałem:

- Czy świadek zna geograficzne położenie Polski? Czy świadek wyobraża sobie, żeby komunista mógł pleść takie głupstwa?!

Zapanowała ogólna wesołość. Przewodniczący zwrócił mi uwagę, że jeśli jeszcze raz zadam świadkowi pytanie bez zezwolenia sądu, każe usunąć mnie z sali rozpraw.

Inny świadek, komendantka „Strzelca", po zaprzysiężeniu składała zeznanie na okoliczność wywrotowego charakteru zlotu.

Adwokat zadał jej pytanie:

- Po czym świadek poznała, że to wielkie zgromadzenie młodzieży miało charakter antypaństwowy i wywrotowy?

- Słyszałam wyraźnie - odpowiedziała - jak komuniści recytowali antypaństwowe wiersze i profanowali kościół katolicki. Kobiety bezwstydnie chodziły z obnażonymi częściami ciała, a niektóre były całkiem gołe.

Wówczas podniosłem rękę na znak, że proszę o głos i zapytałem:

- Czy świadek widziała mnie na zlocie?

- Nie, oskarżonego nie widziałam.

- Świadek zeznała, że kobiety chodziły w „strojach Ewy". A może policja przy rozpędzaniu tłumów zdzierała z nich ubrania?

- Tak mówili okoliczni mieszkańcy, ale ja sama tego nie widziałam - odparła.

Po tych słowach zwróciłem się do sądu:

- Proszę o zaprotokołowanie zeznań świadka w całości.

Po zakończeniu przewodu sądowego prokurator zrzekł się oskarżenia, gdyż łączny wyrok, jaki już zapadł na mnie w innym procesie, obejmował również zlot w Murckach, toteż sąd postanowił nie wymierzać mi dodatkowej kary.

Po wyroku otrzymałem ogromny bukiet czerwonych róż. Był to pierwszy wypadek, jak oświadczył przewodniczący sądu, by na sali rozpraw wręczono oskarżonemu kwiaty. Ten pierwszy w moim życiu bukiet kwiatów dostałem od redaktorów lewicowej gazety śląskiej: „Głos Robotniczy", Kawalca i Junga. Mieli oni w tym samym dniu rozprawę o to, że w swojej gazecie występowali przeciwko faszyzacji Polski i na łamach tego organu demaskowali terror i bezprawie sanacji.

W XXV-lecie zlotu odsłonięto w Murckach obelisk dla upamiętnienia tego historycznego wydarzenia. Na tę imprezę, w której uczestniczyło 60 000 młodzieży Śląska byłem zaproszony jako gość honorowy. Z głównego komitetu organizacyjnego jedynie ja żyję. Wojas, Stolarski i Zielonka zginęli bądź w więzieniach sanacyjnych, bądź w walce z okupantem.

VIII
Wśród nas jest głęboko zakonspirowany zdrajca

Wiele nieszczęść i tragedii osobistych wśród naszych działaczy spowodowanych zostało prowokacyjnymi metodami działalności defensywy przeciwko naszemu ruchowi.

Wszyscy, którzy pracowali konspiracyjnie, wiedzą dobrze, co znaczy w nielegalnej pracy podejrzenie o zdradę i brak zaufania. Najcięższe oskarżenie dla działacza politycznego - to posądzenie go o prowokację.

W latach trzydziestych nastąpiło szczególne nasilenie dywersji tajnej policji. Naszym przeciwnikom chodziło o to, by wywołać wśród nas panikę i przekonanie, że defensywa wie o nas wszystko, a jednocześnie o to, by na najbardziej oddanych towarzyszy, popularnych wśród proletariatu, padł cień podejrzenia. Toteż i aresztowania prowadzone były pod tym kątem, bo wszystkie wysiłki władz szły w tym kierunku. Choć strukturalnie partia i KZMP budowane były według form klasycznego ruchu podziemnego, z całym systemem łączności, szyfrów, pseudonimów itp. - to jednak w praktyce, od komitetów dzielnicowych począwszy, nikt tego nie przestrzegał. Nie mogło być inaczej, gdyż głównym orężem naszej walki była działalność polityczna, tj. organizowanie strajków, demonstracji robotniczych, klasowych związków zawodowych, robotniczych kółek samokształceniowych, a przede wszystkim rozpowszechnianie naszych idei, a więc kolportaż literatury i innych wydawnictw partyjnych.

Do tych masowych akcji potrzebna była nie jedna komórka złożona z czterech, pięciu towarzyszy - ale bardzo często wszystkie komórki danego komitetu dzielnicowego. Dlatego też każdy z członków, zwłaszcza jeśli pracował dłuższy czas, znał wszystkich i sam był znany. Używanie pseudonimów stało się bezprzedmiotowe i prawie nikt tego nie praktykował w niższych instancjach, chociaż formalnie to obowiązywało. Jedynie dział techniki partyjnej częściowo przestrzegał tych zasad, bo wyłączony był z masowej polityczno-społecznej pracy. Większość z nas była notowana w kartotekach policyjnych i znana szpiclom z masowej działalności. Sprzyjało to defensywie w walce z nami. Chcąc, jak już wspomniałem, rzucić podejrzenie na naszych towarzyszy, a odwrócić uwagę od swoich rzeczywistych agentów, uciekała się ona nawet do takich chwytów, jak aresztowanie zdrajcy i osadzenie w więzieniu na krótki okres. Tak było z prowokatorami Szymańskim i Gajdą z Będzina. Gdy wobec takiej sytuacji podejrzenia towarzyszy padały na niewinnego, starano się utwierdzić nas w tej korzystnej dla „defy" pomyłce. Po jakimś czasie zwalniano prowokatora, który nie podejrzewany przez nikogo - mógł dalej kontynuować swoją zdradziecką działalność.

Nasi przeciwnicy imali się także innych sposobów. Wiedząc, że komuniści występują przeciw wszelkim przejawom nienawiści rasowej, starali się zagrać i na tej strunie. Używali do tego również prowokatorów. Taki więc typek o podwójnym obliczu, udający humanitarnego internacjonalistę, przy nadarzającej się okazji rzucał oszczerstwo na któregoś działacza, pomawiając go o tendencje antysemickie. Na ogół to się nie udawało. Znaliśmy się przecież wzajemnie, ale niektórzy z naszych towarzyszy mogli zasugerować się takimi zarzutami, czyniąc przez to krzywdę najbardziej oddanemu działaczowi. A o to przecież defensywie chodziło.

Bardzo popularną postacią w ruchu lewicowym w Zagłębiu był Władysław Wroński, znany działacz PPS-lewicy. Wszyscy lubili go bardzo. Przez dłuższy czas, aż do jej delegalizacji, pełnił tam funkcję

sekretarza. W latach późniejszych był kierownikiem biblioteki „Wiedza”, placówki kulturalno-oświatowej przy Robotniczej Spółdzielni Spożywców Zagłębia Dąbrowskiego.

Defa koniecznie chciała go skompromitować w naszych oczach i dlatego też nie omijała żadnej okazji, by dokoła niego wytworzyć niejasną sytuację. Gdy jacyś towarzysze byli zatrzymani w pokojach urzędu śledczego, tajniacy specjalnie prowadzili między sobą głośne rozmowy, by słychać je było przez drzwi. Z rozmów tych niedwuznacznie miało wynikać, że Władek jest ich człowiekiem. Oczywiście wykorzystywali do tego informacje pochodzące od nieznanych nam jeszcze konfidentów.

Skompromitowanie tak popularnego i wybitnego młodego działacza, który bez specjalnego przygotowania mógł wystąpić na wiecu, masówce czy zebraniu - było głównym celem referatu antykomunistycznego wydziału bezpieczeństwa.

Bojowym działaczem KZMP był Antoni Glanowski z Niwki, który pełnił różne funkcje organizacyjne. Policji nie udało się z powodu braku dowodów osadzić go na dłuższy czas w więzieniu ani złamać w śledztwie, choć kilkakrotnie był aresztowany.

Będąc komendantem zorganizowanej ogólnomiejskiej demonstracji w rocznicę Rewolucji Październikowej, wyznaczył jedną bramę przy ulicy Czystej w Sosnowcu jako punkt dla chorążego manifestacji. O punkcie tym prócz komendanta mieli wiedzieć jedynie chorąży i łączniczka, której zadaniem było przyniesienie sztandaru.

Tak się jakoś złożyło, że łączniczka oczekiwała w bramie naprzeciwko wyznaczonej i tylko temu zawdzięczała fakt, że nie została aresztowana. Punktualnie o wyznaczonej godzinie zjawili się w bramie dwaj tajni wywiadowcy, którzy pospieszyli się z aresztowaniem chorążego, sądząc, że ma przy sobie sztandar. Łączniczka, widząc, co się dzieje, szybko się ulotniła, ratując w ten sposób i siebie, i zatrzymanego towarzysza, przy którym nie znaleziono nic kompromitującego.

W całej tej sprawie policji chodziło o to, by podejrzenie padło na Antka Glanowskiego i istotnie dopiero po wielu miesiącach okazało się, że prowokator był przypadkowo świadkiem rozmowy chorążego z Antkiem, którzy się przed nim nie kryli, uważając go za godnego pełnego zaufania.

Jesienią łącznik techniki okręgowej KZMP miał przekazać dwie paczki z nielegalną literaturą, jedną na dzielnicę Milowice, drugą na Pogoń. Jak się potem okazało, podpunkt był „zasypany”. Gdy łącznik przekazywał materiały Staśkowi Segdzie, przedstawicielowi Milowic, obserwowany był przez trzech szpicli, którzy pozwolili mu spokojnie oddalić się i wręczyć drugą paczkę technikowi KZMP z Pogoni. Stasiek Segda został aresztowany. Trick defy polegał w tym wypadku na tym, by podejrzenie o zdradę padło na łącznika lub technika dzielnicowego z Pogoni. Miało to na celu lepsze zakonspirowanie właściwego konfidenta.

Ze szczególnych pomysłów i umiejętnych metod podobnych prowokacji znany był szef tajnej policji z Warszawy - Pogorzelski, w Zagłębiu zaś - Gumoś i Pałys, a na Śląsku komisarz defensywy - Brodniewicz.

Tego rodzaju przykłady można by mnożyć z terenu całego kraju. Szpicle nie omijali żadnej okazji, by pochwalić się przed nami wiadomościami, jakie o nas posiadają, przy czym operowali naszymi imionami, mówiąc jak o starych znajomych, by to wypadło jak najbardziej prawdopodobnie.

Korzystając z tego, że w pracy organizacyjnej często występowały różnice zdań co do składu osobowego komitetu, a były też wypadki pewnych niedociągnięć w pracy technicznej, co czasem dochodziło do wiadomości tajniaków, wykorzystując przy tym obecność KZM-owców w świetlicach „Wiedzy" lub też w lokalach związków zawodowych, podczas specjalnie przeprowadzanych kontroli prowadzili głośne, „przyjacielskie" rozmowy z niektórymi naszymi towarzyszami. Gumoś np. zwrócił się kiedyś do mnie ze słowami:

- Ładnie wygląda ta wasza demokracja, skoro Zenkowi udało się dokooptować Tolę bez zgody większości do KD. Była to aluzja do postępku Zygmunta Kozła, który będąc sekretarzem komitetu dzielnicowego, wprowadził jako przedstawicielkę Śródmieścia Tolę Solner, na której uczestnictwo delegaci nie wyrazili zgody. Z tego powodu, kiedy i komórki nie uznały jej kandydatury, Zenek musiał ustąpić z funkcji sekretarza za nieprzestrzeganie demokracji wewnątrzpartyjnej.

Było zastanawiające, skąd może wiedzieć o tym Gumoś, gdyż sprawa ta znana była tylko niektórym komórkom Śródmieścia i członkom komitetu dzielnicowego.

Innym razem technik okręgowy KPP przekazał nam polecenie powielenia nocą odezwy związanej z jakąś aktualną akcją partyjną. O lokalu, gdzie zainstalowana była technika KZMP, wiedziało najwyżej pięciu towarzyszy. Przy powielaniu wspomnianej odezwy były tylko trzy osoby. Zadanie nie zostało wykonane, gdyż w trakcie pracy pękł wałek i rozdarł siatkę na powielaczu. Tylko nieznaczna ilość odezw została odbita i dostarczona pod wskazany adres. Było to powodem nieprzeprowadzenia kolportażu odezwy, która informowała, gdzie odbędzie się centralna manifestacja bezrobotnych.

Po paru tygodniach wywiadowca urzędu śledczego, Czarnecki, będąc jako przedstawiciel starostwa na walnym zgromadzeniu w lokalu Związku Zawodowego Przemysłu Odzieżowego „Igła", zapytał obecną tam towarzyszkę, która pracowała w technice KZM:

- No jak, czy wałek do powielacza jest już naprawiony? Pytam o to tylko z osobistej ciekawości.

Intrygowały nas te dokładne wiadomości dotyczące tak bardzo zakonspirowanego działu pracy partyjnej, jakim była technika. Różnie o tym myśleliśmy. Być może wykorzystują nasze niedoświadczenie, głośne rozmowy i przechwałki, jak to się czasem trafia wśród młodych. Nie przeprowadziliśmy wtedy jednak głębszej analizy tych faktów ani też nie wyciągnęliśmy z nich żadnych wniosków organizacyjnych. Wiele czasu minęło, zanim poznaliśmy smutną prawdę, że ktoś z naszego bliskiego grona, będący dotychczas poza wszelkimi podejrzeniami, udziela tych informacji.

Pomimo tych wypadków praca konspiracyjna szła dalej. Liczyliśmy się zawsze z tym, że wróg, posiadając tak ogromne środki finansowe na pracę z agenturą, może wedrzeć się pomiędzy nas. Toteż staraliśmy się być bardzo ostrożni, ale w stosunkach wzajemnych mieliśmy do siebie pełne zaufanie, każdy gotów był oddać życie za drugiego.

Pewnego razu po przepracowanym w fabryce dniu wyszedłem na mały spacer. Skierowałem się w stronę ukwieconego skweru na Starym Sosnowcu, który był świetnym miejscem wypoczynku. Nagle poczułem czyjąś rękę na swoim ramieniu i usłyszałem za plecami głos:

- Pan pozwoli ze mną.

- Dokąd? W jakiej sprawie?

W odpowiedzi szpicel odsłonił klapę i pokazał mi znaczek tajnej policji.

Bez specjalnych obaw udałem się z nim na odwach policyjny. Tu zastałem około dwudziestu aresztowanych w podobny sposób, wśród których rozpoznałem kilka znajomych twarzy. Okazało się, że na skwerze pół godziny przed moim aresztowaniem miała odbyć się demonstracja, o której nic nie wiedziałem.

W celi, w której się znalazłem, siedział znany mi z widzenia właściciel zakładu tapicerskiego przy ulicy Targowej. Okazało się, że został aresztowany przy wsypie okręgowej techniki KPP. Nie znaleziono wprawdzie przy nim niczego, ale zatrzymano go na okoliczność wykrycia w mieszkaniu jego siostry nielegalnej literatury.

„Tapicer" siedział osowiały, coś go gnębiło, wyraźnie był nieswój. Opowiedział mi, że do ich sprawy aresztowano razem około piętnastu osób, w tym wszystkich techników dzielnicowych KPP z całego naszego okręgu.

Okręg obejmował następujące miasta: Sosnowiec I, Sosnowiec II, Będzin, Czeladź, Dąbrowę, Strzemieszyce, Ząbkowice, Łazy, Zawiercie, Wolbrom i Olkusz.

Przy wszystkich aresztowanych znaleziono materiały obciążające. Rewizje i zatrzymania techników dzielnicowych w wyżej wymienionych miastach odbyły się jednocześnie. Oprócz literatury i materiałów propagandowych znaleziono kilka powielaczy i prymitywnych drukarenek, które służyły komitetom dzielnicowym do wydawania lokalnych odezw. Były więc tylko nikłe szanse, że ktokolwiek z zatrzymanych zostanie zwolniony bez sprawy.

Wiadomość ta wstrząsnęła mną, gdyż wypadki miały miejsce w nocy, a do chwili zatrzymania mnie nie spotkałem żadnego z towarzyszy, który by wiedział o nich.

Nie zadawałem „Tapicerowi" żadnych pytań, gdyż wśród siedzących z nami znajdowało się wielu nieznajomych, mógł więc też być ktoś specjalnie podstawiony do podsłuchiwania. Wiedziałem, że defensywa praktykuje to niekiedy.

Po chwili „Tapicer" został wezwany na przesłuchanie. W tym czasie zaczęto kolejno zwalniać zatrzymanych na obławie, tak że do powrotu „Tapicera" pozostało tylko pięć czy sześć osób. „Tapicer" zbliżył się do mnie i powiedział:

- Teraz, na przesłuchaniu, zorientowałem się, że wiedzą, iż do partii nie należę. Chcieli wymusić na mnie przyznanie, że literatura znaleziona u siostry należy do kogoś z zatrzymanych. Nie wiem, dlaczego tak bardzo zależy im na tym, skoro mają tyle dowodów rzeczowych. Z tego jednak wnioskuję, że najważniejszego nie wiedzą. Prokurator wydał sankcję na osadzenie mnie w więzieniu w Mysłowicach jako podejrzanego o przechowywanie literatury komunistycznej w mieszkaniu mojej siostry. Chciałem prosić cię o załatwienie bardzo ważnej sprawy, bo dobrze znam twoją rodzinę, a szczególnie brata, który dawniej korzystał z mojego mieszkania dla celów partyjnych. Pamiętaj jednak, byś załatwiał to wyłącznie z sekretarzem okręgu lub „funkiem" z Warszawy. U nas nikt nie wie o tym, o czym chcę ci powiedzieć. Jedyny prócz mnie wtajemniczony też jest aresztowany.

- Jeśli się do mnie nie przyczepią - odparłem - i jeśli nie będę długo zatrzymany, to w miarę możliwości załatwię wszystko, co polecisz. Wiesz jednak, że w związku ze wsypą techniki nie będzie można tak łatwo dostać się do funkcjonariusza z Warszawy. Być może, że to trochę potrwa, ale sądzę, że uda mi się szybko nawiązać kontakt z sekretarzem okręgu KZMP, a on już przekaże tę sprawę dalej.

- Polegam na tobie, bo wszystkiego nie można przewidzieć. Załatwisz tak, żeby było najlepiej - a teraz do rzeczy. Otóż w piwnicy zakładu stoi drukarnia Komitetu Centralnego. Tę maszynę, pedałówkę, sprowadził z Niemiec nasz sympatyk, Piekarski, właściciel składu aptecznego. Monter po złożeniu maszyny i urządzeniu wnętrza zapomniał zniszczyć pakę, na której jest dokładny adres Piekarskiego. Szkoda, by i on wpadł w razie wykrycia drukarni. Za wszelką cenę trzeba w pierwszym rzędzie zniszczyć opakowanie z adresem. Klucze od warsztatu ma moja siostra, a zamaskowana klapa do piwnicy znajduje się pod gremplarką włosia. Należałoby porozumieć się z moją rodziną, która poinformuje cię, kiedy najlepiej tam się dostać. Najodpowiedniejszym byłby, moim zdaniem, Bolek Włodzimierski (Berek). Nie wzbudzi on żadnych podejrzeń, bo jest częstym gościem u mojej siostry. Musisz tylko zachować ostrożność, bo jego starszy brat, Alek, jest aresztowany do tej samej sprawy, co ja. Ich dom też może być pod obserwacją.

Więcej nie zdążył powiedzieć, gdyż w tym momencie zgrzytnął klucz w zamku, otworzyły się drzwi i stojący w nich policjant wywołał moje nazwisko. A więc wychodziłem na wolność.

- Maleńka formalność - rzekł przodownik Modrzejewski - musimy uzupełnić personalia. Proszę o wiek, wyznanie, zawód.

- Mam osiemnaście lat, jestem bezwyznaniowy, pracuję w fabryce obuwia Zgniłka.

- A w co wierzysz? W komunę?

Nie odpowiedziałem.

- Za co zostałeś aresztowany?

- Spacerowałem po skwerze, umówiłem się tam na randkę z dziewczyną.

- Podaj jej nazwisko.

- To jest moja osobista sprawa, nawet matce nie zwierzam się z takich rzeczy.

- Nie udawaj niewiniątka! Powiedz lepiej, kto organizował demonstrację. Dość tej zabawy!

- Nic nie wiem o żadnej demonstracji, zostałem zatrzymany podczas spaceru w parku.

- W takim razie pójdziemy do wydziału śledczego i tam te sprawy wyjaśnią. Panie Gwóźdź - zwrócił się Modrzejewski do stojącego obok policjanta - zakuć i odprowadzić!

Gwóźdź wypełnił rozkaz mimo mojego protestu. Myślałem, że zostałem aresztowany nieprzypadkowo i widocznie teraz zaprowadzą mnie do urzędu śledczego na szczegółowe przesłuchanie.

- A teraz - zakomenderował Modrzejewski - powiedz jeszcze ile masz lat?

- Już powiedziałem: osiemnaście.

- U nas jest taki zwyczaj, że bezwyznaniowcom przypieczętowujemy ilość przeżytych latek. Tu jest krzesło, połóż się grzecznie na brzuchu, głowa w dół. No! Prędzej!

Wiedziałem już, co mnie czeka. Stanąłem sztywno i zahaczyłem się nogami o biurko. Gwóźdź jednak szybko chwycił mnie za głowę i usiadł mi okrakiem na plecach. Modrzejewski zaś z drugim policjantem położyli mi na siedzeniu mokry worek i zaczęli okładać gumowymi pałkami.

- Raz! dwa! trzy!... dziesięć!... piętnaście!... osiemnaście!! Uff! Twoje szczęście, że masz tylko tyle lat!

Nie mieli zamiaru prowadzić mnie do urzędu śledczego. Był to tylko podstęp, aby zakuć mnie i w ten sposób pozbawić możliwości stawiania oporu. Po zdjęciu kajdanek Modrzejewski jeszcze raz zapytał:

- No, a teraz jakiego jesteś wyznania?

Po chwili odpowiedziałem:

- Pan już przecież przypieczętował moje wyznanie...

Modrzejewski roześmiał się hałaśliwie, dal mi jeszcze parę kopniaków na pożegnanie i po chwili znalazłem się znowu za bramą policyjnego odwachu - na wolności.

W podobny sposób zbiry rozprawiły się jeszcze z czterema zatrzymanymi.

Toteż tego samego dnia udałem się do dr Libermana i dr Grossfeldowej, od których otrzymałem obdukcję. Jednocześnie dostałem zaświadczenie o niezdolności do pracy. Matka moja skierowała pismo do sądu grodzkiego, a przewodniczący grupy radnych komunistycznych, Solewicz, wniósł w tej sprawie interpelację. Rezultat był taki, że i Solewicz i moja matka zostali oskarżeni o oszczerstwo i skazani na 7 dni aresztu z zawieszeniem. Nie było to więc nadużycie władzy przez sadystycznych policjantów, ale system praktykowany w całym kraju. Nie słyszałem zresztą, by przed wojną któryś z przedstawicieli władzy pociągnięty został za bicie do odpowiedzialności dyscyplinarnej, a katowanie w aresztach i więzieniach, prowokacje i fałszywe oskarżenia - były zjawiskiem powszechnym.

Aby nie zaniedbać sprawy poleconej mi przez „Tapicera", już następnego dnia dotarłem do „funka", który specjalnie przyjechał z Warszawy. Opowiedziałem mu całą historię z drukarnią. Z rozmowy z nim dowiedziałem się, że została urządzona dużym nakładem kosztów, a dla bezpieczeństwa sprowadzono montera z Warszawy. Chodziło o to, by dla większej konspiracji nie zatrudniać miejscowego fachowca.

Podczas wspólnej narady doszliśmy do wniosku, że siostra „Tapicera" może nam pomóc. Pozostała tylko trudność, jak do niej dotrzeć, bo osobiście jej nie znałem. Konieczne więc było skorzystać z usług młodszego Włodzimierskiego, który mógł, nie zwracając uwagi policji, porozumieć się z kimś z rodziny „Tapicera".

Bardzo ważną rzeczą było wydostanie z ukrytego pomieszczenia ośmiu oryginalnie opakowanych skrzynek z czcionkami, o wadze 25 kg każda. Czcionki były dla partii wyjątkowo cenne, gdyż niełatwo było zaopatrzyć w nie nielegalne drukarnie ze względu na trudności w normalnym zakupieniu ich - a te nadawały się do każdej ręcznej drukarni.

Uzgodniliśmy, że jeszcze tej nocy udam się do mieszkania Włodzimierskiego, którego znałem z działalności w KZMP. Przez jakiś czas również pracował on w okręgowej technice KPP. Miałem mu przedstawić sytuację i opracować wspólnie z nim plan przeniesienia pedałówki i czcionek oraz likwidacji punktu drukarskiego. Uzgodniliśmy, że pod pretekstem inwentaryzacji zakładu Włodzimierski rozmontuje drukarnię i z soboty na niedzielę wystawi części maszyny przez okno, które wychodzi na podwórze. Stamtąd nasz towarzysz przewiezie furmanką przygotowany ładunek w bezpieczne miejsce.

Włodzimierski chętnie zgodził się wykonać to polecenie. Był tylko zdziwiony, że drukarnia jest tak dobrze zakonspirowana. Policja bowiem przeprowadziła tam dwugodzinną rewizję i nic nie znaleziono.

- Wiesz co - mówił do mnie - zabiorę się do tego zaraz jutro, to do soboty pomału rozmontuję. Rano pójdę z mamą do więzienia do Mysłowic z wałówką, bo brata już tam przewieźli; spotkam się tam chyba z siostrą „Tapicera", bo i jego już odtransportowali do Mysłowic.

- Słuchaj - przestrzegałem go - sprawa jest wyjątkowej wagi, nie bagatelizuj sobie tego. Jeśli zorientujesz się, że są trudności i może dojść do wsypy, lepiej przeczekaj, aż się wszystko uspokoi.

- Musimy to załatwić jak najszybciej - stwierdził Włodzimierski - bo nie wykluczone, że będzie wyznaczony syndyk do dalszego prowadzenia lub likwidacji zakładu.

- Dobrze - przytaknąłem - działaj tak, by było jak najlepiej, a ja już załatwię sprawę z furmanem, który w niedzielę wywiezie ten gips. Masz trzy dni do dyspozycji, w tym czasie nie spotykaj się z nikim, a jeśli będziesz potrzebował czegoś ode mnie, to daj znać przez swoją narzeczoną, Reginę Wodzisławską.

Plan był możliwy do wykonania. Niestety w piątek, to jest w dwa dni po naszej rozmowie, dowiedziałem się, że właściciel składu aptecznego, Piekarski, został aresztowany, a warsztat tapicerski jest pod obserwacją.

Policja widać sądziła, że od zatrzymanego Piekarskiego uda się jej dowiedzieć, gdzie znajduje się maszyna przez niego zakupiona, że od razu wskaże on właściwy adres. To da policji podstawę do przeprowadzenia ponownej rewizji, nie narażając na dekonspirację konfidenta, który doniósł o tym.

Piekarski uprzedzony przez nas o możliwości wsypy przygotował sobie alibi, tłumacząc się, że maszynę sprzedał zaraz znajomemu koledze, aptekarzowi z Bielska, gdyż uruchomienie jej było dla niego nierentowne. Wiedział, że policja nie będzie w stanie sprawdzić tego, bo wskazany przez niego aptekarz, rzekomy nabywca maszyny, zmarł przed dwoma miesiącami na atak serca, a jego córka zaprzyjaźniona z Piekarskim potwierdzi tę bajeczkę.

Adres podany przez Piekarskiego oczywiście nie na wiele się przydał. Policja wiedziała przecież, gdzie jest maszyna. Nie mogli jednak udowodnić Piekarskiemu, że nie sprzedał jej koledze z Bielska. Miał fałszywą umowę i potwierdzenie córki zmarłego kolegi. Było nawet prawdopodobne, że nieżyjący aptekarz sprzedał lub przekazał drukarnię komunistom. Toteż „granatowi" znaleźli się w kłopocie. Nie chcąc za wszelką cenę ujawnić prowokatora i nie mając lepszych konceptów, przeprowadzili ponowną rewizję w domach wszystkich osadzonych już w więzieniu do tej sprawy. W zasadzie nigdy przedtem tego nie praktykowali. Oczywiście, jedynie w warsztacie „Tapicera" rewizja dała wyniki.

Policja oderwała bowiem w całej hali podłogę, chociaż doskonale wiedziała o ukrytym wejściu do piwnicy. Okazało się, że opakowanie z adresem Piekarskiego stało na dawnym miejscu.

Po tym wypadku zacząłem podejrzewać Włodzimierskiego, gdyż poza mną, nim i „funkiem" nikt o drukarni nie wiedział. Jednak trudno mi było uwierzyć, by mógł być tak podły, żeby działać j wespół z policją przeciwko swojej najbliższej rodzinie. Wykryta drukarnia stała się przecież najważniejszym dowodem rzeczowym przeciw jego bratu, który był głównym oskarżonym w sprawie techniki okręgowej KPP.

Moje podejrzenie pogłębiło się z chwilą zatrzymania Piekarskiego, które nastąpiło w dwa dni po rozmowie. Piekarski uchodził za bardzo lojalnego obywatela, a fakt, że Włodzimierski nie zniszczył opakowania z jego adresem, o co go szczególnie prosiłem, był też zastanawiający. Opakowanie mogło bowiem posłużyć za dowód rzeczowy przeciwko Piekarskiemu, gdyby przedtem nie przygotował sobie prawdopodobnej bajeczki, co go uratowało przed sankcją prokuratora. Zagadnięty Włodzimierski tłumaczył się wprawdzie, że choć cały czas pamiętał o zniszczeniu opakowania z adresem, ale tak był zajęty rozmontowywaniem drukarni, że w końcu całkiem o tym zapomniał. Nie czułem się przekonany, ale żeby wystąpić z tak ciężkim oskarżeniem, trzeba było mieć bardziej konkretne dowody.

Policja tymczasem robiła wszystko, co było w jej mocy, by odwrócić uwagę od rzeczywistego zdrajcy. W tym celu przeprowadziła szereg posunięć i kombinacji. Wykorzystała wpadkę technika dzielnicy Milowice - Cichonia, który został aresztowany podczas transportu literatury. Cichoń, pseudo „Młody Chińczyk", pod wpływem bicia i zastraszenia przyznał się, że paczkę z literaturą otrzymał na podpunkcie na placu Teatralnym, ale nazwiska i adresu łącznika nie znał. Podał natomiast moje nazwisko i adres, gdyż to ja po raz pierwszy skontaktowałem go z łącznikiem. Było to zeznanie bardzo obciążające, nie wszczęto jednak przeciwko mnie śledztwa. W dodatku po paru tygodniach zwolniono Cichonia pod dozór policji aż do rozprawy. Było to tym bardziej zastanawiające, że w więzieniu od razu odwołał wymuszone na nim na policji i u sędziego śledczego zeznania.

Żeby krąg podejrzeń jeszcze bardziej rozszerzyć, został do procesu zwolniony pod dozór policji Ignacy Barankiewicz, członek egzekutywy OK KPP, który miał pod opieką punkt drukarski.

W tej sytuacji w oczach aresztowanego „Tapicera" mogłem uchodzić za najbardziej podejrzanego. Było to dla mnie jedno z najcięższych przeżyć z działalności konspiracyjnej. Tym bardziej, że splot wszystkich wypadków mógł nie tylko u „Tapicera", ale i u niektórych innych towarzyszy wywołać podejrzenie, że jestem nie w porządku.

Dla mnie nie ulegało wątpliwości, że prowokacja szyta jest dość grubymi nićmi, ale nie mogli wiedzieć tego moi towarzysze, toteż uznałem, że najlepiej będzie zgłosić prośbę o urlop organizacyjny, do wyjaśnienia jej tak dla mnie przykrej sprawy.

Towarzysze jednak byli innego zdania. Oświadczyli, że mają do mnie pełne zaufanie, jednak ze względów konspiracyjnych powinienem usunąć się z pracy w technice.

Podzieliłem się moimi podejrzeniami w stosunku do Włodzimierskiego z najbliższymi towarzyszami pracy i walki: Goldkornem, Wojasem i Suchojadem oraz z moim starszym bratem. Doszliśmy do wniosku, że mój zarzut nie jest bezpodstawny, ale wciąż jeszcze brak dostatecznych dowodów.

Policja mogła przecież przypadkowo przeprowadzić powtórną rewizję; być może były jakieś podsłuchy w celach. Niemniej sprawę należy traktować poważnie i bliżej zbadać.

Henryk, mój brat, przedstawił całą historię z Włodzimierskim doświadczonemu działaczowi KPP, towarzyszowi Targoszowi, który był zdania, że należy przyspieszyć całkowite wyjaśnienie okoliczności wpadki techniki okręgowej. Uważał, że dotychczas nie było wypadku, by policji udało się z taką precyzją zlikwidować za jednym zamachem wszystkie punkty dzielnicowe w całym okręgu. Targosz uważał, że moje przypuszczenie jest jak najbardziej prawdopodobne, gdyż taka likwidacja wszystkich ogniw techniki okręgowej mogła nastąpić wyłącznie na skutek dostarczenia policji adresów przez kogoś, kto bezpośrednio związany jest z rozprowadzaniem literatury lub też ma dostęp do zaszyfrowanych adresów.

Mieczysław Wojas był drugim sekretarzem Okręgowego Komitetu KZMP na Zagłębie Dąbrowskie. Wraz ze mną głęboko przeżywał tę sprawę.

Pod jego przewodnictwem została utworzona komisja, która miała wszechstronnie zbadać okoliczności, jakie doprowadziły do zdrady i wsypy techniki.

Gdy przeanalizowaliśmy poprzednie przechwałki defensywy, że wszystko o nas wiedzą, a szczególnie historię z wałkiem, o której wiedziało tylko trzech towarzyszy, w tej liczbie Włodzimierski, wszystko stawało się coraz jaśniejsze. Tylko aresztowanie jego brata przemawiało za jego niewinnością. Towarzysz Wojas dopuszczał jednak możliwość, że uczucia rodzinne nie grają tu żadnej roli, uważając, że jak już ktoś godzi się zostać prowokatorem, to nie ma żadnych skrupułów i zdolny jest do wszystkiego.

Komisja zadecydowała, że do wyjaśnienia tej sprawy w całości konieczne jest: a) Sprowadzenie towarzysza i towarzyszki z innej miejscowości dla przeprowadzenia obserwacji i ustalenia wszystkich osobistych kontaktów podejrzanego, b) Zorganizowanie kilku fikcyjnych akcji, co do których wiedzieliśmy, że policja nie dopuści do nich, jeśli będzie poinformowana.

W wypadku uzyskania nowych dowodów, utworzymy sąd organizacyjny, który rozpatrzy sprawę i przedstawi swoje wnioski partii.

O tym, jak należy organizować wywiad, wiedzieliśmy niewiele. Nasza znajomość zagadnienia opierała się częściowo na oglądanych filmach, raczej jednak wyczuwaliśmy to instynktownie jako konspiratorzy. Zastosowaliśmy więc metodę inwigilacji, tak samo jak defensywa wobec nas, z tym, że chcieliśmy zrobić to lepiej, unikając wielu gaf i błędów, jakie dość często zauważaliśmy u zawodowych tajniaków.

Naszymi obserwatorami zostali: jeden towarzysz z Wolbromia i młoda, ładna towarzyszka. „Wywiadowców" ubraliśmy w studenckie czapki Uniwersytetu Jagiellońskiego, a do klap wpięli sobie znaczki jakiejś korporacji z mieczykami. Nikt nie wpadłby na pomysł, że śliczna studentka wraz z kolegą śledzą kogoś na polecenie KZMP. Wyglądało raczej na to, że studentka zamieszkuje w okolicy domu Włodzimierskiego, a zakochany w niej chłopiec adoruje ją.

Zadanie, jakie postawiliśmy przed naszymi wywiadowcami, nie było łatwe. Należało od ósmej rano do późnych godzin nocnych obserwować „obiekt" i ustalić dokładnie wszystkie adresy, pod które się udaje.

Towarzysze ci nie mieli przy tym zielonego pojęcia, dlaczego obserwują młodego technika dentystycznego i kim on jest. Chodziło o to, by nie zasugerować ich naszymi przypuszczeniami, aby ich relacje były jak najbardziej obiektywne.

Z zasady musieliśmy wystrzegać się subiektywnych sądów, aby podejrzany nie stał się niewinną ofiarą. W pracy nielegalnej takie wypadki czasem miewały miejsce, a jak już wspomniałem, była to nie tylko tragedia podejrzewanego towarzysza, ale i woda na młyn policji.

Już po dwóch tygodniach otrzymaliśmy dziesięć adresów do sprawdzenia. Przy ustalaniu nazwiska ósmego adresata, którego odwiedzał Włodzimierski na ulicy Schena (obecnie: 1 Maja) - stwierdziliśmy, że jest to wyjątkowo niebezpieczny szpicel, Gumoś, który zarazem pełni funkcje kierownika brygady antykomunistycznej w wydziale śledczym. W ciągu ostatnich dwóch tygodni do niego właśnie dwukrotnie wstępował „obiekt" w godzinach wieczornych, około dziesiątej, i pozostawał tam dość długo. Na ulicy Schena szpicel zajmował elegancką kawalerkę, choć faktycznie mieszkał poza Zagłębiem, a tu został wydelegowany przez departament bezpieczeństwa MSW jako specjalista od dywersji w ruchu komunistycznym.

Kiedy dziś wspominam dwoje młodych, ofiarnych towarzyszy, którzy wykonali tę przykrą robotę - mam przed oczyma skulone z zimna postacie, wystające godzinami o głodzie, aby tylko dobrze wypełnić zadanie postawione im przez organizację. Niestety nie znam ich nazwisk - wiem tylko, że zginęli w Oświęcimiu.

Ustaliwszy, że Włodzimierski chodzi do Gumosia, rozwiązaliśmy „kontrwywiad", gdyż wypełnił on już swoje zadanie, stało się bowiem jasne, że Włodzimierski od dłuższego czasu jest konfidentem policji.

Dla ochrony naszych towarzyszy przed dalszymi wsypami należało pozbyć się go jak najszybciej.

Został wyłoniony sąd organizacyjny pod przewodnictwem Mieczysława Wojasa. Po przeanalizowaniu wszystkich materiałów dowodowych, zebranych przez członków komisji i innych towarzyszy, sąd ustalił winę podejrzanego, przedstawiając następujące jej uzasadnienie:

1) Dostarczenie policji adresów techników KPP.
   Z relacji aresztowanych towarzyszy, przeciwko którym od kilku miesięcy toczyło się śledztwo, jak i samego technika okręgowego, Alka Włodzimierskiego, wynika, że policja posiadała dokładne adresy techników dzielnicowych, które pochodziły nie ze zgubionej karteczki - jak się sugerowano - lecz zostały świadomie ukradzione i przekazane policji. Mógł tego dokonać tylko Bolek Włodzimierski w godzinach snu brata, z którym razem zamieszkiwał.
2) Wsypa punktu drukarskiego przy ulicy Targowej.
   W tym wypadku wszystkie okoliczności przemawiają przeciwko Włodzimierskiemu tym bardziej, że nie zniszczył opakowania z adresem Piekarskiego. Również ponowne przeprowadzenie przez policję rewizji w domach zatrzymanych nigdy dotąd nie było praktykowane.

3) Utrzymywanie stałego kontaktu z przedstawicielem defensywy.
   Fakt ten został stwierdzony przez naszych obserwatorów.
4) Przekazanie defensywie dwóch nazwisk naszych sympatyków, poborowych, którzy przed pójściem do wojska zostawili organizacji adresy kontaktowe.
   Przy badaniu okoliczności powyższej sprawy ustalono, że referat specjalny II oddziału Sztabu Generalnego przesłuchiwał dwóch towarzyszy z wojska na okoliczność ich kontaktów z naszą organizacją. Adresy ich znał Włodzimierski, gdyż był sekretarzem Związku Rewolucyjnych Poborowców.
5) Wpadka przyjazdówki Okręgowego Komitetu w Katowicach.
   Brat mój, Henryk, były technik okręgowy, przekazał komisji wiadomość, że podczas pełnienia przez niego tej funkcji została wsypana obwodowa przyjazdówka w następujących okolicznościach. Mając pod ręką Włodzimierskiego, posłał go do Katowic z łączniczką z Warszawy dla przekazania danych organizacyjnych do obwodu. Po dwóch dniach z nieznanych przyczyn policja przeprowadziła rewizję w przyjazdówce, aresztowała łączniczkę i kilku innych towarzyszy.
6) Przekazywanie policji wiadomości o naszym życiu prywatnym i niektórych szczegółów z naszej pracy.
   Wiadomości te były szczególnie szkodliwe, gdyż służyły policji do siania nieufności wśród nas. Miały również wykazać, że policja jest wszechwiedząca i nic nie da się przed nią ukryć.

Po przeanalizowaniu tych wszystkich zarzutów, sąd w składzie: przewodniczący - Mieczysław Wojas, członkowie - Alicja Rzemieniecka, Leon Zajdman i ja - uznał Włodzimierskiego za prowokatora i jednomyślnie postanowił wystąpić z wnioskiem o ukaranie zdrajcy śmiercią.

Decyzję wykonania wyroku mogła zatwierdzić wyłącznie partia, gdyż takie sprawy nie znajdowały się w kompetencji KZMP, pomimo że zdrajca rekrutował się z jej szeregów. Decyzje takie podejmował sekretarz okręgu KPP lub funkcjonariusz KC, który miał ostatnie słowo po uchwale sądu organizacyjnego. Sprawy te ze względu na konspirację nie były przedmiotem obrad komitetu okręgowego.

Mietek Wojas przedstawił „funkowi" materiały sądu organizacyjnego przeciwko zdrajcy i wysunął wniosek o jego likwidację. Dowody były jasne. Materiały, jakie posiadaliśmy - niezbite. Nie mogło być żadnych wątpliwości co do zdrady Włodzimierskiego, jednak podjęcie decyzji o wykonaniu kary śmierci nie było rzeczą łatwą. Chodziło przecież o życie człowieka, i to członka naszej organizacji. Chociaż wszystko było już zbadane i udokumentowane, „funk" zastanawiał się długo.

Pytał, czy nie można by go odizolować i zbojkotować. Rozważał, jakie jeszcze straty może nam wyrządzić prowokator. Zastanawiał się, czy by nie stworzyć sytuacji, która by dodatkowo go zdemaskowała.

Okres był wyjątkowo niesprzyjający dla wykonania wyroku, gdyż trzeba było liczyć się ze wzmożonym terrorem policji. Jednocześnie staliśmy w przededniu poważnych akcji strajkowych i organizacyjnych, którym mogłyby zaszkodzić represje policyjne po zamachu. Ponadto partia w tym okresie była organizacyjnie osłabiona aresztowaniami w Będzinie, Dąbrowie i Zawierciu.

Po wspólnej naradzie zadecydowaliśmy utworzyć fikcyjny komitet KZMP-owski, który dokooptuje prowokatora jako członka, by w ten sposób pozbawić go funkcji sekretarza Związku Rewolucyjnych Poborowców bez wzbudzenia w nim specjalnych podejrzeń. Jednocześnie mieliśmy spróbować wprowadzenia policji w błąd przez zmyślone sprawozdania na posiedzeniach fikcyjnego komitetu i podejmowanie uchwał dotyczących różnych akcji, które nigdy nie miały być przeprowadzone. Wymagało to doboru odpowiednich kandydatów spośród towarzyszy zdecydowanych na wszystko.

Największy kłopot mieliśmy z ustaleniem składu. Po pierwsze dlatego, że członkowie fikcyjnego komitetu byli bezpośrednio narażeni na aresztowanie przez defensywę, po wtóre dlatego, że musieli reprezentować komórki swoich środowisk tak, by to nie budziło żadnych podejrzeń u prowokatora, a po trzecie dlatego, że nie chcieliśmy wtajemniczać w tę sprawę nowych towarzyszy.

Wpadliśmy wreszcie na następującą koncepcję: powiemy Włodzimierskiemu, że ze względów konspiracyjnych i trudności kontaktowania się z Milowicami i Piaskami, komitet okręgowy KZMP zadecydował utworzyć samodzielny komitet dzielnicowy Sosnowiec-śródmieście, do którego wejdą na razie, do czasu jego rozbudowania: ja - jako sekretarz, Alicja Rzemieniecka, Leon Zajdman - z ramienia partii i on. Taki mały skład był uzasadniony tym, że dotychczas całe śródmieście reprezentował w komitecie dzielnicowym Milowic tylko jeden delegat.

Pozostała do rozwiązania kwestia, co zrobić z przydzieleniem Włodzimierskiemu choć jednej komórki do obsługiwania. Zrobić tego nie mogliśmy, a pominięcie go byłoby w jego oczach podejrzane, bo niezgodne z naszą strukturą organizacyjną. Wybrnęliśmy jednak dość szczęśliwie z sytuacji „mianując" Włodzimierskiego „ministrem bez teki" i przydzielając mu pod opiekę organizacje sportowe, z którymi i tak miał kontakt jako bokser i futbolista. Dopiero po rzekomym napływie nowych członków ze środowiska szkolnego, mieliśmy mu przydzielić komórkę.

Muszę tu jeszcze wyjaśnić, że w okresie „działania" fikcyjnego komitetu, nasze faktyczne funkcje organizacyjne pełnili inni towarzysze.

Choć głównym zadaniem fikcyjnego komitetu było odizolowanie Włodzimierskiego od działalności rzeczywistej organizacji KZMP, by w ten sposób zapewnić jej normalną pracę aż do chwili ostatecznej decyzji w sprawie prowokatora, jednocześnie chcieliśmy w ten sposób zdobyć jeszcze jeden niezbity dowód jego zdrady. Wprawdzie nie bardzo wiedzieliśmy, jak opracować plan działania naszego komitetu fikcyjnego, ale każdy wnosił swoje pomysły i projekty operacyjne, jak byśmy to dziś nazwali. W sumie wyszedł z tego jednak jaki taki „twór".

Wiele naszych postępków, które opisuję, może wydać się dziś czytelnikowi naiwne. Ale relacjonuję przebieg wydarzeń tak, jak wyglądał. Byliśmy przecież młodzi i niedoświadczeni, a walczyliśmy z siłą, która miała na swoje usługi cały dobrze zorganizowany aparat policyjny i prawny. Nas za to podtrzymywało pragnienie zwycięstwa naszych idei, a w walce o nie staraliśmy się, jak umieliśmy, sprostać potrzebom chwili. Brak nam było przy tym gotowych, klasycznych wzorów, które można by w razie potrzeby zastosować. Warunki nielegalne sprawiały, że nie zawsze mogliśmy skorzystać z rady starszych towarzyszy, a niewielu z nas przekroczyło wtedy dwadzieścia lat.

Włodzimierski stawał się z każdym dniem coraz bardziej aktywny; wszystko chciał wiedzieć i wszędzie być. Z tego powodu mieliśmy coraz więcej kłopotów. Ciągle dopytywał się, dlaczego nie organizujemy żadnych akcji, z jakiego powodu nie odbywają się regularne posiedzenia komitetu itp. Jednocześnie oferował siebie jako mówcę na masówkach.

Wkrótce nadarzyła się okazja do praktycznego wykorzystania naszego planu. Na rocznicę śmierci trzech wodzów rewolucji: Lenina, Liebknechta i Róży Luksemburg (trzy L), obchodzoną co roku 21 stycznia - komitet obchodu wyznaczył na godzinę szóstą po południu centralną demonstrację przy ruchliwej ulicy Modrzejowskiej.

By przeszkodzić policji w skoncentrowaniu wszystkich sił na jednym miejscu, fikcyjny komitet uchwalił rzekome zorganizowanie w tym dniu i o tej samej godzinie pięciu masówek w różnych punktach miasta. Spodziewaliśmy się, że policja obstawi te miejsca na skutek donosu Włodzimierskiego. Toteż poleciliśmy mu, aby przemawiał na jednej z nich, na kopalni, i aby pomógł dzielnicy „Milowice" w jej obsłużeniu. Miała mu towarzyszyć Alicja Rzemieniecka. Z góry było wiadomo, że tam nie dotrą. Zresztą przy blokach górniczych stał specjalnie przez nas wyznaczony towarzysz, który poinformował ich, że masówka jest odwołana, zaś cały teren kopalni obstawiony i że mają udać się na ulicę Modrzejowską, gdzie w ostatniej chwili wyznaczony został punkt centralny, przerzuca się tam bowiem towarzyszy ze wszystkich dzielnic. Taka kombinacja wszechstronnie nas zabezpieczała, a jednocześnie była potrzebna, by upozorować i przed Włodzimierskim, i przed policją, że miejsce centralnej manifestacji zostało wyznaczone w ostatniej chwili.

Z bloków górniczych do ulicy Modrzejowskiej jest około cztery kilometry, droga trwa więc blisko 45 minut. Nim tam oboje dotarli było już po wszystkim.

Jak przewidzieliśmy, korzyść z tej akcji okazała się podwójna. Centralna manifestacja odbyła się bez większych przeszkód, bo policja dała się nabrać i obstawiła wszystkie wyznaczone na fikcyjne masówki miejsca. Poza tym zaś uzyskaliśmy nowe dowody winy zdrajcy, tak że o pomyłce już w ogóle nie mogło być mowy.

Tym udanym fortelem posłużyliśmy się jeszcze parę razy, by zdezorientować władze w naszych faktycznych planach.

Na jednym z kolejnych posiedzeń „komitetu", kiedy wszyscy składaliśmy zmyślone sprawozdania z działalności naszych komórek. Włodzimierski wystąpił z projektem zorganizowania młodzieżowej „samoobrony rewolucyjnej", uzbrojonej w broń palną. Była to propozycja bardzo podejrzana, przy czym możliwości jej źródła były dwie: albo wymyślił ją ktoś kryjący się za plecami „prowoka", albo on sam, chcąc nam zaimponować swoją bojową postawą i tym samym utwierdzić nasze zaufanie.

Aby dalsza moja relacja była jasna, muszę w tym miejscu wyjaśnić sprawę samoobrony robotniczej.

Szybka faszyzacja kraju, do której przystąpiła sanacja w tych latach, sprawiła, że władze nie przebierały już w środkach w walce ze swoimi przeciwnikami politycznymi. Policja nader często używała broni palnej do rozpędzania strajkujących i demonstrujących robotników.

W Zagłębiu mieliśmy kilka takich wypadków, między innymi na kopalniach: „Kazimierz", „Modrzejów" i „Helena". Zresztą podobne wiadomości dochodziły z całego kraju.

Jednocześnie w więzieniu w Mysłowicach nie było tygodnia, by nie katowano, a nawet mordowano więźniów politycznych.

Ten stan rzeczy spowodował, że wśród aktywu młodzieżowego, niedostatecznie jeszcze obeznanego z mechanizmem ruchów społecznych, powstał pogląd, iż na zbrojny terror sanacji należy odpowiedzieć takim samym terrorem.

Toteż gdy konferencja okręgowa zagłębiowskiej organizacji KPP z maja 1932 roku w końcowej swojej uchwale przyjęła w punkcie czwartym postulat o konieczności przystąpienia do organizowania masowej samoobrony robotniczej jako odpowiedzi na wprowadzenie w Polsce sądów doraźnych i używanie broni palnej przeciwko demonstrującym robotnikom, niektórzy młodzi towarzysze zaczęli wysuwać nieprzemyślane propozycje, by organizowane zarówno w partii, jak i w KZMP „piątki samoobrony" posiadały broń palną. Te nieprzemyślane tendencje odpowiadały niestety władzom sanacyjnym. Dążyły one bowiem do tego, by wykazać narodowi, że komuniści tworzą nie masową partię polityczną, ale organizację terrorystyczną, złożoną z uzbrojonych bojówek, po czym krwawo rozprawić się z ruchem robotniczym.

Wracając do projektu Włodzimierskiego, oparłszy się na przedstawionej przez niego rezolucji, uchwaliliśmy wydać list otwarty, przez niego zredagowany, do dzielnicowych komitetów KZM Zagłębia Dąbrowskiego, solidaryzujących się z żądaniami uzbrojenia „piątek".

Włodzimierski podjął się sam załatwić druk listu, mówiąc, że zrobi to u swego jednego przyjaciela, który ma maszynę do pisania.

Rzeczywiście nazajutrz rano przed pójściem do pracy przyniósł do mnie do domu około 100 egzemplarzy pisanych na maszynie. Po dokładnym przyjrzeniu się można było zauważyć, że litery poszczególnych egzemplarzy różniły się od siebie, a więc były pisane nie na jednej maszynie. Wynikało z tego, że nie „jeden przyjaciel" je pisał.

Oczywiście natychmiast po odejściu Włodzimierskiego wrzuciłem wszystko do pieca. Był to już zresztą sygnał alarmowy do jak najszybszego zakończenia tej „zabawy". Siedzieliśmy na beczce prochu i igraliśmy z ogniem.

Był kwiecień 1933 roku. Minęły trzy miesiące od chwili utworzenia fikcyjnego komitetu.

Zagłębie i Śląsk znajdowały się w ogniu walki. Partia przygotowywała się do generalnego strajku górników i hutników Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Po raz pierwszy zarysowały się możliwości wspólnej akcji strajkowej robotników tych dwóch ważnych ośrodków.

Stawki płac na Śląsku były dotąd nieco wyższe niż w całej Polsce, a teraz w związku z zamierzoną obniżką płac o 15 % taryfa dzienna miała być w całym kraju jednakowa.

Toteż odbył się cały szereg strajków okupacyjnych na poszczególnych kopalniach: „Mortimer", „Klimontów", „Paryż", „Saturn" i „Piaski". Posypały się nowe prześladowania i aresztowania. W Zawierciu. Będzinie, Czeladzi, Dąbrowie Górniczej i Strzemieszycach szeregi nasze zostały znowu zdziesiątkowane. Nastąpiły ze względu na bezpieczeństwo zmiany w komitetach okręgowych KPP i KZMP. Przyjechali nowi funkcjonariusze.

W dodatku w tym czasie odbyły się kolejno trzy procesy aresztowanych półtora roku temu towarzyszy. Jako główni świadkowie wystąpili na nich prowokatorzy: Kuźnik i Mazur, Szymański oraz Spychała. Procesy te były specjalnie na ten okres przygotowane, by zeznaniami prowokatorów pogłębić wokół nas atmosferę przygnębienia. Zmiany organizacyjne i wzmożony terror spowodowały, że na jakiś czas straciliśmy kontakt z okręgiem i byliśmy zdani na własne siły.

IX
Zapada decyzja o likwidacji prowokatora

Pomimo już wspomnianych uderzeń „defy" organizacja szybko okrzepła, instancje partyjne zostały na nowo skompletowane, nawiązano uprzednio zerwane kontakty.

W nowej sytuacji sprawa Włodzimierskiego dojrzała do likwidacji. Zawiadomił mnie o tym towarzysz Mieczysław Wojas, przekazując jednocześnie decyzję, że przygotowanie i wykonanie wyroku powierzono mnie. Wykonawcy przeze mnie dokooptowani muszą być ochotnikami. Dobór ich nie wymaga żadnego zatwierdzenia lub uzgodnienia z kimkolwiek. Pozostaje to - ze względu na konspirację - wyłącznie moją tajemnicą. Na wypadek aresztowania kogokolwiek z uczestników zamachu, należy wziąć odpowiedzialność wyłącznie na siebie.

Jednocześnie Wojas oznajmił mi, że nazajutrz mam udać się do Krakowa na spotkanie z funkcjonariuszem, który pragnie zapoznać się ze mną i całą sprawą.

Muszę przyznać, że zadanie przerastało moje osiemnaście lat. Jeśli w pracy konspiracyjnej miałem już jakie takie doświadczenie, to teraz stanąłem przed strasznym zadaniem - miałem zabić.

Do Krakowa wyjechałem w nocy, by zdążyć na godzinę siódmą rano na spotkanie wyznaczone w mieszkaniu przy ulicy Długiej.

Drzwi otworzyła mi młoda dziewczyna. Po moim oświadczeniu, że przyjechałem do Romana, wprowadziła mnie do pokoju. Po chwili wszedł funkcjonariusz KPP, którego nigdy przedtem nie widziałem, a znałem jedynie ze słyszenia. Po krótkiej wymianie powitania i haseł przystąpiliśmy do omówienia sprawy.

- Historię prowokatora - rozpoczął „funk" - znam już z relacji Mietka. Interesuje mnie, jakie są wasze propozycje co do przeprowadzenia akcji.

Nie miałem możliwości głębiej zastanowić się nad szczegółami ani też omówić tego z towarzyszami, którzy zgłosili się jako ochotnicy do wykonania wyroku, toteż powiedziałem mu, iż wyobrażam sobie, że ten sam skład, który sądził Włodzimierskiego, wyznaczy jednego z nas i nauczy go dobrze władać bronią. Wtedy zawezwiemy prowokatora na podpunkt i tam wykonamy wyrok.

- Uważam, że obstawę stanowić będą na wszelki wypadek dwaj pozostali członkowie sądu organizacyjnego - dodałem. - Po zamachu, jeśli wszystko się uda, wyjedziemy na jakiś czas do Zakopanego lub gdzie indziej, by tam poczekać na dalszy przebieg wydarzeń i reakcję policji.

- Plan wasz jest prosty, ale też związany z szeregiem możliwych komplikacji i dużym niebezpieczeństwem dla samych wykonawców - odparł „funk". Po pierwsze, należy mieć na uwadze, że w wypadku ujęcia zamachowca na gorącym uczynku, z bronią w ręku, grozi mu kara śmierci i niewielkie są szanse na jego uratowanie. Po drugie, wykonawca musiałby po udanej akcji natychmiast wyjechać za granicę, gdyż nigdy nie ma pewności, czy na miejscu wyroku nie został rozpoznany przez jakiegoś przechodnia. Wyjazd za granicę jest związany z dużymi kosztami i kłopotami przy wyrabianiu fałszywego paszportu. Czy nie lepiej - ciągnął dalej - pomyśleć o jakimś odludnym miejscu, np. na terenie biedaszybów?

Byłem zdania, że zdrajca powinien być ukarany publicznie. Między sobą mówiliśmy, że najlepiej zorganizowali to Hajczyk i Pilarczyk, wykonując w biały dzień, na ruchliwej ulicy, wyrok śmierci na prowokatorze Kamińskim. Powiedziałem „funkowi" o tym.

- Tych problemów nie możemy rozpatrywać szablonowo - odrzekł. - Nie zawsze wszystko należy sprowadzać do wspólnego mianownika. Nie wolno nam być romantykami. Każdy przypadek trzeba rozpatrzyć w zależności od konkretnej sytuacji. Wprawdzie sam wspomniany przez was zamach - mówił dalej - wykonany był wzorowo, jednakże organizatorzy nie przygotowali żadnego zaplecza; nie mieli odpowiedniego miejsca do schronienia się po zamachu. Najważniejszą rzeczą, o której trzeba szczególnie dziś pamiętać, jest to, że nie wolno wam przyjąć otwartej, zbrojnej walki z policją, jak uczynili to oni.

Ciężko było mi odstąpić od wyimaginowanego planu. Milczałem chwilę i pasowałem się ze sobą.

- Wyobrażałem sobie - powiedziałem wreszcie - że wyrok powinien odstraszyć prowokatorów i szpicli, a najprościej jest zrobić to tak, jak Botwin, kiedy wykonał wyrok na Cechnowskim.

- Tam były zupełnie inne okoliczności. Prowok był już pilnowany przez policję i oficjalnie występował w sądach jako najważniejszy i główny świadek w toczących się przeciwko kierownictwu partii procesach. Zdrajca był wyjątkowo szkodliwy dla naszego ruchu i musiała go dosięgnąć natychmiastowa kara, pomimo że związane to było z ofiarami z naszej strony.

Jeszcze jedną sprawę chciałem poruszyć - ciągnął. - Wyroki śmierci są u nas ostatecznością. Są konieczną obroną członków partii przed groźbą osadzenia ich na długie lata w więzieniu. Natomiast w stosunku do defensywiaków, a więc do oficjalnych pracowników służby bezpieczeństwa i policji, żadnych środków indywidualnego terroru nie stosujemy, bo są naszymi otwartymi wrogami i prowadzimy walkę nie z nimi, a z ustrojem, który reprezentują.

- Istotnie, najlepiej będzie pod jakimś pretekstem wywabić prowokatora na tereny bieda-szybów i tam po cichu wykonać wyrok - rzekłem. - Tylko czy taka forma nie posłuży policji do rozpętania przeciwko nam kampanii o stosowanie kapturowych porachunków?

- Tego nie potrzebujemy się obawiać - odparł. - Bez względu, jaka jest forma likwidacji zdrajcy, policja, jeśli tylko chce, zawsze znajduje jakąś broń przeciwko nam. Przecież prowokacja jest głównym motywem walki z nami. Toteż przy formie wykonania wyroku musimy na to kłaść nacisk. Powinniśmy się troszczyć głównie o to, by jak najmniej narażać towarzyszy i by forma wykonania wyroku zgodna była z naszą etyką komunistyczną.

- A czy taka forma cichego zamachu jest zgodna z etyką komunistyczną? - zapytałem nieśmiało.

- Czyn prowokatora jest podły i niemoralny, nawet szpicle w duchu gardzą taką kreaturą, tym samym wyjęty on zostaje spod prawa honorowego. Być może, że KZMP-owcom imponują klasyczne zamachy opisywane w literaturze, ale w dzisiejszych czasach nie wolno nam niepotrzebnie poświęcać towarzyszy. Walczymy przecież nie po to, by ginąć, lecz aby doczekać lepszego, szczęśliwszego jutra.

W walce wprawdzie ofiary są nieuniknione i często przyjdzie nam jeszcze ryzykować życiem. Ale ryzykować nim można tylko wtedy, gdy nie ma już innego wyjścia. Wy teraz też ryzykujecie dla dobra

sprawy. Musicie liczyć się z tym, że mimo wszelkich środków ostrożności nastąpi wpadka, i na to również trzeba być przygotowanym.

- Chciałem zasięgnąć waszej rady, jak w takich wypadkach zachować się na policji i w sądzie.

- Zechcą zapewne traktować zamachowca, jak to dotychczas praktykują, jako przestępcę kryminalnego, a nie politycznego. Zależnie od okoliczności musicie przyjąć najdogodniejszą dla siebie postawę obronną, ale taką, by nie poniżyć swej godności komunisty, w żadnym jednak wypadku nikt z was nie może przyznać się, że wyrok został wykonany z polecenia sądu partyjnego. Botwin zeznawał w sądzie, że zabił Cechnowskiego z własnych pobudek ideowych, bez niczyjego rozkazu. Chodzi o to, by nie dać: sanacji prawnych podstaw do zaostrzenia terroru przeciwko nam- Tylko taką mogę dać wam radę.

Zresztą w tym wypadku również obowiązuje zasada, że najlepiej nie przyznawać się do niczego.

- Czy możecie dać mi jakieś konkretne wskazówki co do wykonania wyroku?

- Trudno mi podać wam gotowy plan w najdrobniejszych szczegółach. Przedstawiłem tylko założenia, bo nie znam dobrze ani sytuacji, jaka może zaistnieć, ani terenu. Szczegóły musicie zaplanować z towarzyszami na miejscu. Powtarzam tylko, że trzeba wziąć pod uwagę jak najmniejsze straty własne i dlatego konieczny jest dokładny plan odwrotu i zabezpieczenia towarzyszy.

Taki mniej więcej przebieg miała moja rozmowa z „funkiem", na temat zamachu. Wprawdzie potem rozmawialiśmy jeszcze z godzinę o innych sprawach, ale w świetle tej jednej nie wydawały mi się one ważne tak, że nie pamiętam nawet, czego dotyczyły.

Po moim powrocie z Krakowa doszliśmy do wspólnego wniosku, że projekt „funka", by wyprowadzić prowokatora pod jakimś pretekstem na teren bieda-szybów jest najlepszy. Miejsce wyznaczyliśmy już sami: między walcownią „Renard" a kopalniami „Helena" i „Klimontów". Akcję postanowiliśmy wykonać w godzinach nocnych, poczem wrzucić ciało prowoka do bieda-szybu i zasypać je, nie zostawiając w ten sposób śladów po dokonanym zamachu. Sądziliśmy, że po zastosowaniu tych środków policji trudno będzie wpaść na nasz trop i uzna Włodzimierskiego za zaginionego w nieznanych okolicznościach. Tym samym nie dostarczymy jej żadnych podstaw do represji.

Miejsce przez nas wybrane było idealne - głuche pustkowie. W dodatku w tych okolicach słychać było niekiedy głośne wystrzały. To bezrobotni wydobywali węgiel z bieda-szybów, posługując się przy tym ładunkami wybuchowymi. Nasze strzały nie zwrócą więc niczyjej uwagi.

Należało jeszcze dokładnie zapoznać się z terenem, by nie błądzić w ciemnościach, i przygotować nie budzącą podejrzeń prowokatora bajeczkę, aby tam przyszedł.

I najważniejsza rzecz - znaleźć towarzysza z tych okolic, który by nadawał się do wykonania zadania, a jednocześnie w ogóle nas nie znał, a my jego.

Zwróciłem się więc do mojego brata, Henryka, opowiedziałem o rozmowie z „funkiem" i zreferowałem nasz plan. Prosiłem go, by mi zarekomendował kogoś umiejącego obchodzić się z bronią i znającego dobrze teren bieda-szybów. Byłem pewny, że Henryk dokona najwłaściwszego doboru odpowiedniego kandydata.

Nazajutrz brat skontaktował mnie z towarzyszem, którego przedstawił jako górnika pracującego w bieda-szybach. „Górnik" był człowiekiem o przyjemnej powierzchowności, lat około dwudziestu pięciu. Wywarł na mnie miłe wrażenie. Umówiłem się z nim na spotkanie w dniu następnym, by dokładnie obejrzeć teren. Jednocześnie wręczyłem mu rewolwer bębenkowy, który pozostał u nas po nieudanej akcji przeciwko prowokatorowi Zyngierowi. Omówiliśmy też szczegółowo cały plan. „Górnik" zobowiązał się wszystko przygotować, jak należy.

Na dzień 7 kwietnia zwołaliśmy nadzwyczajne posiedzenie egzekutywy fikcyjnego komitetu i w ostatniej chwili zawiadomiliśmy Włodzimierskiego, że na godzinę ósmą wieczór wyznaczone jest posiedzenie, na którym mamy omówić sytuację strajkową na kopalni „Klimontów" i walcowni „Renard".

W trakcie obrad umówiona łączniczka przyniosła kartkę od funkcjonariusza z okręgu, z poleceniem obsłużenia tegoż wieczoru dwóch masówek: jednej na walcowni „Renard" o godzinie wpół do jedenastej wieczór i drugiej na kopalni „Klimontów" o godzinie wpół do dwunastej, kiedy to następowała zmiana załóg.

Pretekst był dobry, bo akcjonariusze walcowni pospieszyli się, nie czekając na wygaśnięcie umowy zbiorowej, i jeszcze w kwietniu zapowiedzieli obniżkę płac. Do tego właściciele nie chcieli inwestować kapitału w kopalnię ze względu na nierentowność przedsięwzięcia. Toteż zagrożone było bezpieczeństwo pracy.

Urząd Górniczy zapowiedział, że jeśli w terminie trzymiesięcznym nie zostaną tam przeprowadzone odpowiednie prace zabezpieczające, to kopalnia zostanie unieruchomiona.

Dla ratowania warsztatu pracy górnicy urządzali już dwukrotnie demonstracyjne strajki okupacyjne.

Na kopalni miał wygłosić przemówienie Włodzimierski, a na hucie ja lub Alicja. Oczywiście wszystko było tak pomyślane, by nie wzbudzić w Włodzimierskim najmniejszego podejrzenia. O godzinie dziesiątej, tak jak było zaplanowane, podnieceni i napięci ruszyliśmy w drogę na spotkanie z „Górnikiem", który według naszej bajeczki miał być komendantem obu masówek.

W trójkę przeszliśmy ciemną ulicę Wiejską, potem bocznymi uliczkami do Ostrogórskiej, a stamtąd obecną ulicą 1 Maja do Dolnej. Tu przy sklepie spożywczym Spółdzielni Robotniczej, niby przypadkowo, spotkaliśmy Leona Zajdmana. Gdy nas zobaczył, przywitał się, zapytując, dokąd idziemy. Prowok szybko pochwalił się, że zdążamy na masówkę, na której on będzie przemawiał. Leon zaofiarował swój udział. Wszyscy z zadowoleniem przyjęliśmy propozycję jego towarzystwa, gdyż uchodził w Sosnowcu za najodważniejszego z nas i w obronie przed policją lub strażą kopalnianą był nieoceniony.

Z „Górnikiem" spotkaliśmy się przy blokach robotniczych huty. Po wymianie haseł, „Górnik", jak było uprzednio uzgodnione, „obsztorcował" nas za piętnastominutowe spóźnienie, bo załoga była już na stanowiskach, a więc masówka nie mogła się odbyć. Po krótkiej naradzie „komendant" zarządził, abyśmy udali się na drugą masówkę do kopalni oddalonej od walcowni o około pięć kilometrów.

Zaproponowałem, by nie iść ławą. Alicja z Włodzimierskim utworzyli pierwszą parę, za nimi samotnie kroczył Leon, ja zaś z „Górnikiem” zamykaliśmy ten pochód. Zwalniałem, specjalnie zwiększając odległość od idących przodem. Czekałem przecież na relację „Górnika” z ostatniej chwili.

Okazało się, że nie ma planów doskonałych, zwłaszcza wtedy, kiedy opracowują je młodzi, niedoświadczeni ludzie. Szliśmy już i pięć minut ścieżką w kierunku „Klimontowa” przez teren bieda- - szybów, a „Górnik” cały czas milczał.

- Czy to jeszcze daleko? - zapytałem.

- Ech! - machnął ręką zrezygnowany. - Niedobrze, rewolwer jest zardzewiały i nie nadaje się w ogóle do użytku...

- A szyb jest głęboki? Ładunek wybuchowy macie? - przerwałem mu zdenerwowany. Już przeczuwałem, że nie wywiązał się z zadania.

Górnik bąkał coś pod nosem, usprawiedliwiał się, mówił bez ładu i składu:

- Szyb jest płytki, ładunku nie ma, trzeba wszystko odłożyć na parę dni...

Co za brak odpowiedzialności. Nie dość, że nie wywiązał się z zadania, to jeszcze dyktuje terminy. Przecież on niczego nie rozumie.

- Czy wiesz, ile naszego trudu poszło na marne? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że jutro prowokator może już oficjalnie sypać?

Nic nie odpowiedział. Odebrałem mu rewolwer. Postanowiłem naradzić się z Zajdmanem, może on coś wymyśli. Zrównałem się z nim. Nie wiedziałem, w jaki sposób zakomunikować mu o tym wszystkim. Wstydziłem się przed samym sobą. Jak mogłem tak lekkomyślnie zgodzić się na pomoc człowieka, którego nie znałem bliżej. Ale rekomendował go przecież brat, który miał długoletnią praktykę partyjną - usprawiedliwiałem się sam przed sobą.

- Słuchaj Leon - zacząłem. - „Górnik” stchórzył. Mówi, że rewolwer nie nadaje się do użytku. Nie przygotował ładunku ani szybu, proponuje odłożenie akcji na parę dni. On chce się chyba z wszystkiego wycofać. Co o tym sądzisz?

- Dlaczego nie dał znać wcześniej - mógł przecież rano wpaść do Sosnowca, a nie zostawiać takiej wiadomości na ostatnią chwilę.

- Przebąkiwał, że nie mógł się ze mną skontaktować, ale widzę, że kręci...

- Trzeba jakoś radzić sobie bez niego. Cofnąć się już nie można.

Byłem tego samego zdania, co on, toteż zacząłem się intensywnie zastanawiać, jak wybrnąć z tej sytuacji. Przypomniałem sobie, że za nasypem kolejowym widziałem stary, martwy szyb kopalniany. Uznałem to miejsce za najlepsze i powiedziałem o nim Leonowi.

- Jest tylko jedno „ale” - dodałem. - Jak poradzimy sobie bez broni, bo rewolwer nie nadaje się do użytku?

- O to się nie martw. Jakoś sobie damy radę. - odparł.

- Wyobraź sobie, Leon - szepnąłem jeszcze do swego imiennika - co powiedzieliby o nas, jeśli wrócilibyśmy z nim całym i zdrowym?

- Nie wrócimy. Szkoda tylko, że nie byliśmy przygotowani na taką ewentualność, ale kto mógł przypuszczać, że „Górnik" tak nas urządzi.

- Do szybu jest niecały kilometr. Dam ci znać, kiedy będziemy się zbliżali do tego miejsca. Znam dobrze cały teren.

Leon skinął tylko głową. Zapanowała cisza. Szliśmy w milczeniu, wszyscy zajęci wyłącznie swoimi myślami. Pragnąłem jednego. Jak najszybciej zakończyć tę smutną sprawę. Wina Włodzimierskiego była przecież bezsporna, a szkody wyrządzone - wielkie. W idącym na przedzie prowokatorze widziałem już tylko i wyłącznie łajdaka, który wydał w ręce wroga wielu bliskich mi ludzi, a nawet swojego brata.

Byłem bardzo niespokojny o dalszy przebieg akcji, ale nie było już odwrotu. Szyb, do którego zmierzaliśmy, otoczony był niskim, drewnianym parkanem. Tylko w jednym miejscu sztachety były wyłamane. W ten sposób powstała około dwumetrowa wyrwa prowadząca w głąb szybu. Zapewne bezrobotni i biedacy po kryjomu wydobywali stamtąd resztki węgla.

Nie byłem pewny, czy w ciemnościach trafię akurat na to prowizoryczne wejście, a podchodząc z innej strony mielibyśmy zadanie nieco utrudnione. Pomimo tych przeszkód uważałem, że jeśli w czwórkę zaskoczymy prowokatora, to chyba damy mu radę.

Dochodziliśmy już do nasypu kolejowego. Dalej droga prowadziła do kopalni. By dojść do starego szybu, trzeba było zboczyć w prawo, skąd biegnąca wzdłuż nasypu ścieżka prowadziła na samo miejsce.

Przyspieszyłem kroku i powiadomiłem Alicję i Włodzimierskiego, że mamy jeszcze godzinę czasu do zmiany szychty. Przeczekamy więc przy starym szybie, by straż kopalniana lub patrol policyjny nie zwrócili na nas uwagi. Włodzimierski robił wrażenie bardzo zdenerwowanego. Miał pretensje, że wszystko jest źle zorganizowane. Starałem się, jak mogłem, uspokoić go, bo sytuacja rzeczywiście wyglądała niejasno. Odwróciłem się szukając koło siebie Leona. W tym momencie Włodzimierski wyrwał się prowadzącej go pod rękę Alicji, pchnął ją silnie i rzucił się do ucieczki. Nie ulegało wątpliwości - zorientował się, że jest zdemaskowany.

Po krótkiej gonitwie, udało się dopaść go mnie i Alicji. „Górnik", którego już nie braliśmy w rachubę, w obliczu niebezpieczeństwa przyszedł nam z pomocą. Miał przy sobie laskę górniczą, służącą sztygarom do znaczenia miejsc odstrzałów i do badania pokładów. Była bardzo ładnie wykonana i mogła z powodzeniem służyć jako laska spacerowa. Pewnie dlatego wziął ją ze sobą.

Widząc, że Włodzimierski wyrwał się nam, podbiegł do niego i silnym ciosem laski powalił go na ziemię. Wtedy prowokator krzyknął:

- Zlitujcie się nade mną! Darujcie mi życie... Powiem wszystko, co tylko zechcecie. Ale najpierw mnie wysłuchajcie.

Chciał w ten sposób zyskać na czasie. Tymczasem nam nie wolno było tracić ani chwili. Za taką lekkomyślność mogliśmy zapłacić życiem. Uważałem jednak, że powinniśmy go wysłuchać nie tylko ze

względu na niego; mogliśmy się dowiedzieć czegoś nowego. Usiadłem na pobliskiej podmurówce i zapytałem:

- Co chcesz nam jeszcze powiedzieć? Bo kogo sypałeś, to wiemy.

- Zawiniłem, przyznaję się. Chcę jednak, żebyście wiedzieli, jak do tego doszło. Jestem gotowy zrobić wszystko co mi każecie...

Ponieważ zaczął się nerwowo rozglądać, Leon przytrzymał go za rękę, pytając:

- Od kiedy jesteś prowokatorem?

- Od dwóch lat. Potrzebne mi było wówczas świadectwo moralności jako absolwentowi technikum dentystycznego. Starosta uzależniał jego wydanie od współpracy z tajną policją. Zaczęło się niewinnie, ale potem stopniowo zmuszali mnie do aktywnej pracy organizacyjnej. Płacili miesięcznie do stu złotych... Jeśli chodzi o mojego brata, to Rosołowicz przyrzekł, że go nie ruszy. Wierzyłem mu i tylko dlatego dałem mu te adresy...

- Co masz jeszcze do powiedzenia? - zapytałem.

- Gumoś mówił, że trzeba przygotować nową wsypę, bo już dłużej nie będzie można ukrywać mojej współpracy z policją. Na to nie chciałem się zgodzić, wierzcie mi, naprawdę nie chciałem... Myślałem wycofać się. I tak już im dałem dużo materiału. Gdyby dowiedziała się o tym Regina, porzuciłaby mnie, a ja ją bardzo kocham...

- Ona domyśla się prawdy. Zresztą sam się zdradziłeś, dając jej na przechowanie pieniądze. Prawda, że dawałeś?

- Tak - szepnął cicho.

W tym momencie, korzystając z naszej chwilowej nieuwagi, poderwał się i rzucił do ucieczki. My za nim. Przebiegł może czterdzieści, pięćdziesiąt metrów, kiedy nagle potknął się o coś i upadł. Pierwszy dopadł go Leon. Zauważył, że prowok leży obok uchylonej klapy kanału, o którą właśnie w biegu zawadził.

Wszystko to trwało sekundy. Gdy z Alicją dobiegliśmy do tego miejsca, Leon powoli podnosił się z ziemi. Był sam. Widząc, że szukamy oczyma Włodzimierskiego, wskazał tylko głową na otwór kanału. Zasunęliśmy klapę.

A więc stało się. Ciemna czeluść pochłonęła na zawsze zdrajcę. Oto epilog tego smutnego i strasznego epizodu naszego życia i walki. Tak wówczas myśleliśmy. Staliśmy chwilę w milczeniu. Było cicho, tylko od strony kopalni dochodziły słabe odgłosy.

Doprowadziliśmy się do porządku, o ile to było możliwe w ciemności, i bez słowa udaliśmy się do Sosnowca. Szliśmy okrężną drogą, by dwukrotnie przejść przez rzekę, gubiąc w ten sposób ślady na wypadek ewentualnego poszukiwania nas przez psy policyjne.

Wstąpiłem do brata, by oczyścić i wyprasować ubranie, które było w opłakanym stanie. Natomiast Alicja i Leon poszli do konspiracyjnego mieszkania. „Górnik” od razu odłączył się od nas. W razie

wsypy był w najlepszej sytuacji, bo nikt go nie znał. Nawiasem mówiąc, do dnia dzisiejszego nie udało się nam ustalić jego nazwiska.

Przeczuwaliśmy, że nie wszystko jest zrobione, jak należy, tym bardziej że nie udało się przeprowadzić akcji według uprzednio przygotowanego planu.

Zdaję sobie sprawę, że dzisiejszemu czytelnikowi sposób wykonania zamachu wyda się wręcz naiwny w swej nieudolności. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że zdecydowanie odcinaliśmy się od działalności terrorystycznej, a wypadki likwidacji prowokatorów były smutną koniecznością, narzuconą nam przez metody walki systemu kapitalistycznego z nami. Toteż w partii nie było żadnego specjalnego działu bojowego, który by zajmował się opracowaniem sposobów wykonywania wyroków, czy szkoleniem w tym zakresie kadr partyjnych.

Dałem tutaj opis próby likwidacji prowokatora, tak jak ją pamiętam. Kierowałem się chęcią ukazania, wobec jakich problemów i decyzji stawiała nas słuszna walka z ustrojem przemocy i ucisku. Chciałem ukazać zmagania młodych komunistów, które przerastały nasz wiek i doświadczenie. Można by wprawdzie walkę naszą przyrównać do późniejszej walki równie młodych ludzi z okupantem faszystowskim. Ale wtedy sytuacja była inna, inne czasy i walka nasza w niczym nie przypominała wojennych, szybkich, zbrojnych akcji, przy których obowiązywały inne formy i sposoby, gdyż obok walki politycznej główną rolę grały starcia orężne i sabotaż.

X
Pościg

Okazało się, że klapa kanału nie zamknęła dla nas, jak wtedy sądziliśmy, tej ponurej historii prowokacji.

Nad ranem ciężko ranny prowokator znalazł się w stanie wycieńczenia w szpitalu i natychmiast zawiadomił swoich przełożonych o wypadkach ubiegłej nocy. Tego naturalnie nie wiedzieliśmy ani my, ani partia. Wprawdzie nurtował mnie niepokój, nie byłem pewny, czy wszystko jest w porządku. Uratowania Włodzimierskiego jednak w ogóle nie brałem pod uwagę. Obawiałem się raczej, że ślady naszej walki naprowadzą z rana policję lub porządkowych kopalni na miejsce zamachu.

O świcie udałem się do Szopienic, gdzie szwagier Wilczewski miał zakład krawiecki, by u niego przebrać się w nowe ubranie. Wieczorem miałem pojechać do Katowic w celu zrelacjonowania przebiegu przeprowadzonej akcji.

Do Szopienic odprowadził mnie brat Henryk. Szwagra jeszcze nie było. Czekałem około półtorej godziny i widząc, że nie przychodzi, zacząłem się niepokoić. Obserwowałem przez okno warsztatu znajdującego się na pierwszym piętrze bramę wejściową.

W pewnym momencie zauważyłem, że w okolicy domu, po przeciwnej stronie ulicy, kręci się jakiś podejrzany typ. Po chwili dołączył się do niego policjant mundurowy i znajomy szpicel, Czarnecki z Sosnowca.

Sprawa stała się rozpaczliwie jasna. Wszczęto pościg. Szwagier nie przyszedł, a więc został aresztowany po drodze.

O normalnym wyjściu z domu nie było mowy. Czasu do namysłu też nie miałem, bo policjanci weszli właśnie do bramy. Szybko wyszedłem na korytarz i wbiegłem piętro wyżej. Zatrzymałem się tam kilka sekund dla obserwacji i zauważyłem, że szpicle przeszli korytarzem do kuchni właścicielki mieszkania, u której mieścił się warsztat. A więc policjant pozostał w bramie. Niepostrzeżenie zszedłem pół piętra niżej, otworzyłem okno i wyskoczyłem na podwórko. Upadłem na miękką kupę piasku. Niezauważony, dostałem się do jednej z ubikacji, wyrwałem deskę od tyłu i wyszedłem na ogródki działkowe, oddzielone od siebie niskimi płotkami. W niektórych stały małe drewniane budki- -altanki, malowniczo oplecione bluszczem lub dzikim winem.

Przeskoczyłem przez jedno ogrodzenie, szukając dróżki, która doprowadziłaby mnie do pobliskiego Janowa. Wtem szeroko rozwarły się drzwi altanki i stanęła w nich tęga jejmość.

- A kawaler czego tu szuka? Hę? Wolno tak tratować ogród? Wynocha! Bo narobię krzyku. Chciałeś pewnie coś ukraść?

- Proszę się nie gniewać. Widzi pani, że idę z gołymi rękami, nie mam żadnego worka, kradzież ani mi przez myśl nie przeszła. Po prostu szukam drogi do Janowa i myślałem, że tędy prędzej dojdę - odparłem nerwowo.

Byłem zrozpaczony. Wystarczyło, by tylko podniosła krzyk, a węszący w sąsiedztwie policjanci mieliby ułatwione zadanie. Kobieta jednak uspokoiła się. Widocznie wygląd mój przekonał ją, że nie miałem złych zamiarów. Powiedziała tylko:

- No dobrze już, ale żebym cię tu więcej nie widziała. Zmykaj I A ścieżkę znajdziesz, o tam... - wskazała ręką na zadrzewiony ogródek.

Podziękowałem, przeprosiłem i nasłuchując skierowałem się w stronę wskazanej drogi. Wokół panowała cisza. Wyglądało na to, że nikt mnie nie goni. Starając się zachować spokojnie, wszedłem na trakt do Janowa. Początkowo szedłem wolno, by nie wzbudzić podejrzeń kobiety, ale gdy tylko straciłem ją z oczu, puściłem się pędem przed siebie. Po chwili poczułem, że ze zmęczenia cieknie mi krew z nosa. Mocno przycisnąłem chusteczkę do twarzy i biegłem dalej.

W Janowie miał warsztacik krawiecki serdeczny przyjaciel szwagra - Złotnik. Warsztat mieścił się w małym drewnianym baraczku.

Był to okres przedświąteczny i Złotnik miał bardzo dużo pracy. Opowiedziałem mu zmyśloną historyjkę, że wczoraj zostałem pobity na masówce i prawdopodobnie policja poszukuje mnie. Dlatego należy zawiadomić moją matkę o miejscu mego pobytu. Prosiłem go, by nie wstępował do szwagra, a udał się prosto do Sosnowca pod adres, który mu podam; tam już przekażą wiadomość mojej rodzinie. Tłumaczyłem mu, że o dziesiątej rano nie było jeszcze szwagra przy pracy, ukrywając fakt, że jest tam już policja. Wysunąłem przypuszczenie, że być może jest zatrzymany.

Złotnik, acz niechętnie, zgodził się jednak spełnić moją prośbę, wziął na rękę marynarkę, niby do przymiarki, i wyszedł.

Jak to często w życiu bywa, mimo moich uprzedzeń i próśb, chciał skrócić sobie drogę i zamiast do Sosnowca, postanowił wstąpić do szwagra - i tam został zatrzymany przez policję.

Na początku nic nie chciał mówić, tłumaczył się, że przyszedł do kolegi z prośbą, by wykończył mu marynarkę, którą miał na ręku. Przyciśnięty jednak do muru, przyznał się, że jestem u niego w Janowie.

Byłem wciąż niespokojny i po śniadaniu wyszedłem z mieszkania. Spacerowałem z godzinę dokoła robotniczej osady, gdy nagle zauważyłem, że polną ścieżką idzie trzech osobników, jeden z nich wydawał mi się znajomym szpiclem, ale nie byłem tego pewien.

Obszedłem jeszcze raz osadę i pomalutku zbliżyłem się do baraczku. Zaglądnąłem przez okno. Zauważył mnie pracujący tam młodociany terminator. Otworzył lufcik i z przerażeniem szepnął:

- U majstra w mieszkaniu jest rewizja, uciekaj szybko...

Na przeciwko znajdował się domek z dużym ogrodem warzywnym. W obejściu zauważyłem starszego Ślązaka, wyglądającego na emerytowanego górnika.

- Szukam drogi do Giszowca - zagadnąłem go.

Pokazując mi jeziorko za ogrodem, a następnie sosnowy lasek, krzyknął:

- Przeskocz sa pierunie przez płotek, bo widza, żeś coś przeskrobał i gonią cię policaje.

Dobrego nosa miał ten stary - zresztą musiałem mieć bardzo wystraszoną minę. Znalazłem się szybko w lasku i pod osłoną drzew spokojnie obserwowałem, jak szpicle węszą, a następnie ruszają w drogę powrotną do Szopienic.

Nie miałem wiele czasu, ale przez chwilę mogłem spokojnie odetchnąć. Gdy wszedłem w zarośla lasku, po raz drugi puściła mi się krew z nosa. Chusteczka była już przemoknięta od poprzedniego krwotoku. Obok mnie, o parę kroków, było małe zagłębienie wypełnione wodą. Przepłukałem chusteczkę, ale zaschnięte plamy nie chciały schodzić. Pomyślałem, że taki „rekwizyt" może być dla mnie obciążającym dowodem. Nie namyślając się wiele, zanurzyłem chusteczkę w wodzie i przycisnąłem kamieniem.

Zastanawiałem się, czy pójść piechotą, czy dojść do kolejki kopalnianej, nazwanej przez górników „darmową", bo kursowała kilka razy dziennie i od pasażerów nie pobierano żadnej opłaty.

Zdecydowałem jednak, że pójdę piechotą, gdyż obawiałem się, że mogę natknąć się na jakiegoś szpicla lub policjanta.

W Giszowcu miałem punkt kontaktowy, gdzie w zakładzie krawieckim Dąbrowskiego pracowało dwoje naszych sympatyków: chłopiec i dziewczyna.

Sześćdziesięcioletni Dąbrowski nie był komunistą, ale sympatyzował z nami. Podczas pierwszej wojny światowej jako żołnierz niemiecki był członkiem „Spartakusa". Dumny był również z tego, że uczestniczył we wszystkich trzech powstaniach śląskich.

Przyjął mnie bardzo serdecznie i zaopiekował się mną. Opieka ta zresztą drogo mnie potem kosztowała, bo Dąbrowski rozpoczął na własną rękę organizować mi nielegalną przeprawę przez granicę. Przy tej okazji rozpaplał w tej małej miejscowości u swoich dobrych znajomków, że ma u siebie politycznego uciekiniera z Kongresówki. Nie znając inicjatywy Dąbrowskiego i czując się na nowej melinie całkiem bezpiecznie, wysłałem sympatyzującą z nami dziewczynę do Sosnowca, aby poinformowała kogo należy, gdzie jestem, i dowiedziała się, co mam dalej robić.

Na jej powrót z odpowiedzią czekałem dość długo, choć dokładnie instruowałem ją, w jaki sposób ma dojechać, wejść do wyznaczonego mieszkania i powrócić do mnie z zachowaniem jak największych środków ostrożności.

Tymczasem Dąbrowski „działał". Na moje nieszczęście wstąpił w niego jakiś potężny duch aktywności. Miał w Giszowcu starego kumpla, emerytowanego mechanika, który był właścicielem willi i warsztatu mechanicznego. Dąbrowski upatrzył to miejsce jako idealne do przebywania nawet przez parę dni. Uważał, że tam będę bezpieczny, gdyż willa stoi na ustroniu i oprócz domowników nikt się w pobliżu nie kręci, do niego zaś przychodzą różni klienci i moja obecność może zwrócić uwagę kogoś niepożądanego. Gdy Dąbrowski zaproponował mi zmianę locum, zorientowałem się, że za dużo papla i wcale nie byłem z tej sytuacji zadowolony.

Nowa melina okazałaby się rzeczywiście idealna, gdyby nie jedno „ale". Mój nowy gospodarz, kumpel Dąbrowskiego, bardzo porządny człowiek, był razem z nim w niewoli i serdecznie się przyjaźnili. Miał on jednak syna hulakę i pijusa. Syn ten starał się o przyjęcie do pracy w urzędzie celnym i jak potem

się okazało, chętnie o różnych sprawach, jakie działy się w okolicy, donosił policji, by znaleźć u niej protekcję w celu uzyskania upragnionej posady.

Gdy tylko dowiedział się, że ktoś ukrywa się u nich, zdradził ochotę złożenia donosu; nadarzyła mu się przecież nie lada gratka. Ojciec zagroził wtedy, że jeśli to zrobi I wyrzuci go z domu, bo z takim draniem nie chce mieć nic do czynienia. Doszło przy tej okazji do ostrej sprzeczki. Świadkiem tego dialogu była szesnastoletnia wnuczka mechanika. Bardzo się sprawą przejęła, weszła do lokalu, w którym siedziałem ukryty, i powtórzyła mi całą rozmowę dziadka z ojcem. Błagała, abym natychmiast uciekał, bo ojciec jest podchmielony i zaraz może zrealizować swój zamiar. Odprowadziła mnie tylną drogą do Dąbrowskiego, dokąd akurat w tym samym czasie wrócił mój „goniec" z Sosnowca. Dziewczyna przedstawiła mi jak wygląda sytuacja. Zatrzymano u nas wszystkich domowników oprócz matki, dworce kolejowe są obstawione silnie policją i tajnymi agentami. Na miasto wydostały się już pogłoski, że nocą dokonano zamachu na Włodzimierskiego, ale nikt poza policją nie wiedział jeszcze, że Włodzimierski żyje. I ja dowiedziałem się o tym dopiero później.

Moja nowo upieczona „kurierka" przekazała mi adres na punkt kontaktowy w Krakowie, ofiarując się jednocześnie towarzyszyć mi dla większego bezpieczeństwa do miejsca przeznaczenia. Jednocześnie zostało odwołane spotkanie, które miało nastąpić na dworcu w Katowicach.

Kres mojej ucieczki zbliżał się jednak szybko. W trakcie kolacji przybiegła do mieszkania mała dziewczynka z krzykiem:

- Panie Dąbrowski! Policja otacza dom!

Nie namyślając się wiele, otworzyłem okno, by przez nie wyskoczyć. Niestety, stał już tam policjant. Nie zważając na to jednak, skoczyłem mu na głowę. Upadł. Wykorzystałem ten moment, przeskoczyłem przez niskie ogrodzenie i puściłem się co sił w nogach naprzód. Chciałem, by do mnie strzelali, uniknąłbym w ten sposób tortur, o których wiedziałem, że mnie czekają na policji.

Nie strzelali jednak. Przebiegłem może jakieś czterysta, pięćset metrów, kiedy drogę zajechali mi granatowi na rowerach. Ujęli mnie.

Byłem bez marynarki, bo wyskoczyłem przez okno tak, jak siedziałem przy kolacji. Wróciliśmy więc do mieszkania Dąbrowskiego po płaszcz. Stąd czterech policjantów jęło popychać mnie do miejscowego posterunku.

Tymczasem cała ludność osady górniczej zgromadziła się przed domami, komentując żywo sensację, jaką była moja ucieczka i pogoń za mną.

Jeden z policjantów prowadził mnie za kołnierz, a z boku szło dwóch z rowerami. Zaprotestowałem przeciw temu. Stwierdziłem, że dalej nie pójdę, jeśli policjant będzie mnie prowadził jak psa. Jestem aresztantem politycznym, a nie jakimś złodziejem. Policjanci jednak zaczęli szamotać się ze mną, ciągnąc mnie za płaszcz, był on dość luźny, należał bowiem do szwagra, który był tęższy i wyższy. W trakcie szarpaniny lekko wyśliznąłem się z niego, zostawiając go w rękach osłupiałego „granatowego". Rzuciłem się po raz drugi do ucieczki. Przez parę sekund wśród moich prześladowców panowała konsternacja, bo nie byli przygotowani na takie zuchwalstwo.

Muszę zaznaczyć, że nikt z cywilnej ludności nie kwapił się pomóc ścigającym. Wręcz przeciwnie, dopingowali mnie jak na zawodach sportowych, bym szybciej uciekał i nie dał się złapać „tym pieronom".

Policjanci mieli jednak dużą przewagę, gdyż było ich pięciu i z rowerami. Wprawdzie teraz użyli broni, ale na postrach. Biegłem przecież chodnikiem, gdzie z boku stali ludzie.

Po kilkuminutowej gonitwie zostałem ujęty, zabrakło mi już sił do kontynuowania biegu.

Doprowadzono mnie na posterunek już z wszystkimi „honorami", nawet nie założono mi kajdanków.

Po niespełna godzinie przyjechał po mnie sam szef wydziału śledczego, Kardasiewicz, w towarzystwie komisarza tajnej policji ze Śląska, Brodniewicza, i w otoczeniu całej sfory szpicli.

W nocy doprowadzono mnie do Sosnowca i tam zaczęło się to, czego się najwięcej obawiałem - badanie.

XI
Śledztwo w trybie doraźnym

Władzom policyjnym i prokuraturze bardzo zależało na tym, by w Zagłębiu odbył się po raz pierwszy proces komunistów w trybie doraźnym. Moje aresztowanie zbiegło się właśnie z niedawno wydanym przez rząd dekretem, który wprowadzał sądy doraźne. Jednak w moim wypadku władze natrafiły na przeszkody proceduralne, gdyż nie skończyłem jeszcze dwudziestego pierwszego roku życia, a poza tym byłem na razie jedynym aresztowanym w naszej sprawie. Śledztwo mogło trwać najwyżej trzy miesiące, gdyż po upływie tego czasu sprawa przechodziła pod kompetencję sądu zwykłego.

Na głównego oskarżonego najlepiej nadawał się Leon Zajdman, lat dwadzieścia sześć, o obciążonej „hipotece" policyjnej. Z zapałem więc zabrano się do badania wstępnego, by wydusić ze mnie zeznanie, gdzie ukrywa się Leon i pozostali uczestnicy zamachu.

Oprócz komisarzy: Kardasiewicza i Rosołowicza, przyjechał z Kielc szef defensywy. Od momentu przekroczenia progu urzędu śledczego znalazłem się w zwartym kole najwyższej władzy policyjnej województwa.

Pierwszą czynnością, jeszcze przed badaniem, było zakucie mnie w automatyczne kajdanki sprężynowe. Były one tak skonstruowane, że przy najmniejszym poruszeniu zaciskały się mocniej na przegubach rąk. W trakcie celowego popychania mnie z jednego pokoju do drugiego „bransoletki" systematycznie zacieśniały się, krew nie mogła normalnie krążyć, ręce siniały i puchły z minuty na minutę. Ból stawał się nie do zniesienia. Zdawało mi się, że długo tak nie wytrzymam. Okazało się jednak, że było to dopiero preludium do tego, co miało nastąpić.

Kiedy oprawcy uznali, że jestem już dostatecznie „przygotowany", zawezwali mnie do gabinetu komisarza Kardasiewicza.

Był to obszerny pokój, z sufitu którego sączyło się słabe światło lampy. Za dużym, prostym biurkiem siedział wysoki mężczyzna. Lekko przechylał się w fotelu i spoglądał na mnie spoza błyszczących szkieł.

- Czeka cię szubienica - zaczął spokojnym tonem. - Chyba nie muszę ci o tym mówić. Jesteś teraz zwykłym mordercą i nie ma dla ciebie żadnego ratunku.

Wstał i zaczął przechadzać się koło biurka. Miał wojskową postawę i nienagannie uszyty mundur.

- Jeśli przyznasz się do wszystkiego - mówił dalej - a co najważniejsze, jeśli pomożesz nam w ujęciu wspólników, będziesz mógł liczyć na to, że jakoś cię wyciągniemy i może uda się złagodzić wyrok. I tak się dowiemy prawdy, bo dobrze wiesz, że pół komuny siedzi u nas w kieszeni.

- Panie komisarzu, nie wiem, o co panu chodzi. Nie mam żadnych wspólników ani nikogo nie zamordowałem.

- A kto cię tak zamalował? - Tu wskazał na moje lewe oko. W trakcie szamotania z Włodzimierskim, uderzył mnie on silnie pięścią w oko, wokół którego utworzył się duży żółtofioletowy siniak.

W czasie transportu z Giszowca obmyśliłem co do tego następującą legendę, którą teraz wyrecytowałem jednym tchem.

- Zostałem wczoraj napadnięty przez bojówkę podczas masówki na kopalni „Klimontów", gdzie wygłaszałem przemówienie.

Nadałem obronie specjalnie taki kierunek, by zbić policję z tropu, przy oskarżeniu mnie o zabójstwo.

Ta bajka wyprowadziła Kardasiewicza z równowagi, chwycił leżącą na biurku pałkę gumową i zaczął okładać mnie, gdzie popadło. Asystowali mu szpicle: Pędras i Gumoś; komendant z Kielc i szef tajnej policji z Zagłębia - Rosołowicz - przyglądali się biernie.

Byłem słabym i wątłym chłopcem. Nie wiem, jak to długo trwało, może parę minut, może kwadrans. Zrobiło mi się duszno, nie mogłem złapać tchu i osunąłem się na podłogę. Ponieważ nie byłem zdolny odpowiadać na pytania, szef Rosołowicz zadecydował, by zaprowadzić mnie do dyżurki.

- Tam się namyślisz i przypomnisz sobie wszystko, prawda? Będziesz miał dwie godziny czasu, a potem sam cię przesłucham.

W dyżurce zastałem dwóch policjantów z karabinami, choć normalnie nigdy ich nie nosili.

Usiadłem w kąciku, nie czułem już tego okropnego bólu rąk, choć kajdanki zaciskały się coraz mocniej. Teraz całe ciało było jedną raną. Jaka jest granica wytrzymałości ludzkiej? Nie ja pierwszy stawiałem sobie to pytanie po wstępnych próbach śledztwa. Czy nie zabraknie mi hartu ducha, by nie ulec chwilowej słabości? Przecież przez cielesne tortury można załamać człowieka duchowo, odebrać mu wolę wytrwania i stworzyć dokoła niego taką sytuację, z której nie widzi wyjścia ani ratunku. Wtedy wystarczy tylko na moment ulec pokusie, by przekreślić cały swój dotychczasowy wysiłek walki. W czasie takich bezustannych tortur nawet najsilniejszy może załamać się. W obliczu grozy, cierpienia i samotności człowiek staje się bezwolny i upodabnia do bezbronnego dziecka. Każda chwila mojej słabości mogła być wykorzystana, pociągając za sobą dalsze. Wiedziałem o tym. Dlatego postanowiłem trzymać się dzielnie, bo tylko silna wola pozwala w takim wypadku przetrwać.

Byłem osamotniony. Wokół nikogo, kto dodałby mi otuchy do dalszej walki. A tak potrzebowałem czyjejś rady, choćby nawet odrobiny litości!

Najbardziej obawiałem się chwili, gdy człowiek nie traci jeszcze świadomości, ale na skutek bólu obojętnieje mu już wszystko. Chce tylko, by cierpienie ustało. Nie ulegnę - obiecywałem sobie - póki tylko iskierka świadomości będzie jeszcze we mnie tliła. Nie upodlę się, muszę zachować oblicze komunisty świadomego swego czynu. Muszę pozostać w pamięci matki i towarzyszy takim, jakim mnie znali. Oni przecież ufają mi i wierzą, głęboko wierzą, i ja ich nie zawiodę.

Tymi myślami dodawałem sobie sił do wytrwania.

Nagle skrzypnęły drzwi. Ocknąłem się z zamyślenia z przerażeniem. Czy to już? Nie, to niemożliwe, żeby minęły tak szybko dwie godziny. Ale była to tylko zmiana warty, a więc miałem przed sobą jeszcze godzinę spokoju.

W przybyłym poznałem znajomego, często widywałem go na komisariacie, gdzie co tydzień meldowałem się w okresie dozoru policji. Nazywaliśmy go „Złotym Ząbkiem", gdyż w górnej szczęce

miał jedną złotą, połyskującą koronę. Znał moje imię i zwracał się do mnie przez ty, zdawało mi się, że prywatnie trochę mnie lubi - jeśli to tak można określić.

Był chyba porządnym i sympatycznym człowiekiem. Patrząc na moje spuchnięte ręce i posiniaczone ciało, miał łzy w oczach.

- Psiakrew! - powiedział cicho. - Gdybym wiedział, że czeka mnie dzisiaj taka służba, to byłbym sobie skombinował urlop chorobowy.

Poluzował mi cokolwiek kajdanki i szepnął:

- Ten sukinsyn żyje.

Myślałem, że to podstęp. Po chwili jednak dodał:

- Pamiętaj, jak powiesz im choć jedno słówko, to twoje cierpienia przedłużą się i będą żądali coraz więcej.

Tonący chwyta się brzytwy - i ja chwyciłem się ostatniej deski ratunku. Zwracając się do niego: towarzyszu, powiedziałem:

- Jeśli chcecie mi pomóc, to umożliwcie mi ucieczkę stąd. Towarzyszu! Oni mnie wykończą.

- To nie jest takie proste, dziecko... Widzisz, ja mam żonę, troje dzieci, gdybym to zrobił, znalazłbym się na twoim miejscu. Ale jak ty sobie wyobrażasz tę ucieczkę?

- Zaprowadzicie mnie do ubikacji na podwórzu, a stamtąd ucieknę przez okno. Wy będziecie do mnie strzelać, tak że nie będą mogli się przyczepić...

Wiedziałem, że to plan nierealny. Można jednak zaryzykować, przecież nie mam nic do stracenia.

Policjant ważył myśli, wyraźnie był w rozterce. Po chwili powiedział :

- Spróbuj, jak będzie zmiana, bo ja naprawdę nie mogę... Jutro zawiadomię twoją matkę o wszystkim, co tu z tobą wyprawiają. Może ci coś twoi pomogą przez adwokata.

- Melduję posłusznie, panie komisarzu - dochodzi z kancelarii głos, któremu towarzyszy głośne trzaśnięcie podeszwami - dotychczas nie natrafiono na ślad pozostałych.

„Aha... więc Rosołowicz już wrócił - pomyślałem. - Zaraz zacznie się wszystko na nowo... Jestem więc nadal sam, nikogo z naszych nie ujęli". Myśl o tym napełniła mnie radością. „Nie dowiedzą się niczego... nie powiem ani słowa..."

Mój „anioł stróż" przyjął postawę zasadniczą, pośpiesznie obciągnął mundur i stanął gotowy do przekazania meldunku. Rzeczywiście drzwi się otwarły, stanął w nich jednak nie sam szef, tylko szpicel Pałys.

- Chodź - skinął palcem w moją stronę. Wprowadził mnie do gabinetu komisarza okręgowego urzędu śledczego. Pokój robi! bardzo przyjemne wrażenie. Na biurku stał kryształowy puchar, a w oszklonej szafie bibliotecznej kilka statuetek - pamiątek różnych rekordów i zwycięskich zawodów sportowych.

Można by pomyśleć, że jest się w mieszkaniu championa. Komisarz Rosołowicz był aktywnym działaczem sportowym w Zagłębiu.

Powitał mnie jego drwiący i ironiczny uśmiech. Często mu towarzyszył i nadawał jego przystojnej twarzy wyraz nieco głupkowaty. Umiał też szybko zmieniać wyraz twarzy - raz był dobroduszny, to znów straszny i srogi. Był średniego wzrostu, lat około czterdziestu, chodził zawsze w cywilnym ubraniu. Nie spoglądał nawet do akt, byłem mu przecież dobrze znany, jak i moja cała rodzina.

- Widzisz, jest noc - zaczął - a ja przyszedłem tu specjalnie, bo chcę ci dać ostatnią szansę. Nie będę cię bił, ja tego nie praktykuję i nie lubię. Włodzimierski żyje - ciągnął dalej. - Jak nie wierzysz, to możemy pójść do niego do szpitala. Jeśli będziesz upierał się przy swoim, staniesz przed sądem doraźnym. Dostaniesz dożywocie i całe życie spędzisz w kryminale z bandytami, mordercami i złodziejami. Pomyśl również o swojej matce...

Milczałem, wiedząc dobrze, do czego zmierza i na czym ma polegać ta ostatnia szansa.

- Rozpoczniesz życie na nowo, jeśli dobrowolnie przejdziesz na naszą stronę. Mogę wpłynąć na Włodzimierskiego, żeby cię nie oskarżał, ale musisz dać dowody szczerości. Napiszesz dokładnie raport, jak się to wszystko odbyło i kto wydał wyrok śmierci. Ale najważniejsze, to stała współpraca z nami. Podaj punkty techniki okręgowej KPP, bo wiem, że dłuższy czas tam pracowałeś. Na razie nikogo nie ruszymy, sprawdzimy tylko, czy to odpowiada prawdzie.

A więc jednak nie myliłem się. Chciał ze mnie zrobić prowoka. Z pełną satysfakcją naplułbym mu w twarz, ale co by mi to dało! Najwyżej nową porcję batów. Powiedziałem tylko:

- Panie komisarzu, szkoda gadania. O niczym nie wiem, a konfidentem waszym nigdy nie zostanę.

- W takim razie - trudno. Sam wybrałeś i zadecydowałeś. Ja nie mam ci już nic do powiedzenia, widocznie nie można z tobą rozmawiać po ludzku. Może starszy przodownik Pędras prędzej cię przekona. On ma lepsze metody śledztwa niż ja. Żal mi cię, ale sam tak chciałeś.

Starszy przodownik Pędras był wysokim mężczyzną o atletycznej budowie. Robił wrażenie zbója, miał spojrzenie spode łba i zły grymas na twarzy. Znany był z okrucieństwa i sadyzmu. Do tortur zabrał się z namaszczeniem, bez pośpiechu. Na elektrycznej maszynce gotował jajka; myślałem, że przygotowuje sobie posiłek. Tymczasem miały one służyć zupełnie innym celom. Rozpiął mi koszulę i niespodziewanie włożył pod pachę jajko wyjęte z wrzątku. To nie pozostawia śladów, a ból jest okropny. Chwalił się, że to jego wynalazek; rzeczywiście nie słyszałem jeszcze o stosowaniu gdziekolwiek takiej metody. Wiłem się z bólu, a „bransoletki" znów mocniej wcisnęły się w zakute ręce.

- Nie byłbym Pędrasem, gdybym takich, jak ty, nie zmusił do mówienia prawdy. Miałem z większymi gagatkami do czynienia i też mi ulegli, nawet błagali na kolanach. Zdechniesz w powolnych męczarniach i nawet pan Bóg, przed którym tylko możesz się uskarżać, też ci nie pomoże.

Pędras, chcąc pospiesznie wyjąć następne jajko, zawadził rękawem o ucho garnuszka, który przechylił się - i ukrop niespodziewanie chlusnął mu na rękę. Wprawdzie chroniła ją skórzana rękawiczka, ale musiał się porządnie poparzyć. Gwałtownie ściągając rękawiczkę, klął pod nosem.

Metoda jego okazała się w tym wypadku mimo wszystko mało skuteczna, przerwał ją, by wymyślić coś nowego.

Zawołał czterech pomocników: Czarneckiego, Webera, Dudkiewicza i Majewskiego, ustawił ich wkoło w odstępach około dwóch metrów, sam zajął też jedno z miejsc i jak piłką rzucali mną sobie w ramiona. Każdy z nich zadawał przy tym błyskawicznie pytanie - chodziło im o psychiczne załamanie mnie.

Mając do czynienia z pięcioma silnymi drabami i będąc już u kresu sił, przestałem reagować na cokolwiek. Toteż przerwali tę zabawę, która trwała i tak dość długo, a nie dala im spodziewanych rezultatów.

Pędras otworzył okiennicę. Był już dzień, z ulicy dobiegał gwar miasta. W sąsiednich pokojach rozmawiali urzędnicy i policjanci, którzy przyszli już do pracy. Uchyliły się drzwi i weszła starsza maszynistka, Wanda. Przodownik polecił jej, by zamówiła mu śniadanie w pobliskiej „Cukierni Warszawskiej". Po chwili zajadał już z apetytem jajecznicę na szynce, której zapach rozchodził się po całym pokoju i drażniąco łechtał nozdrza. Delektując się posiłkiem, zaczął filozofować, spoglądając od czasu do czasu w kąt, w którym stałem.

- Co ci się podoba w tej komunie? i zapytał i po chwili sam sobie odpowiedział:

- Jeść barszcz jak chamy na wsi z wspólnej miski. A może chciałeś zostać komisarzem? Jedno, co mi się w komunie podoba, to wolna miłość. Gdyby partia wasza nie była agenturą Moskwy, to choćby z tego powodu zgłosiłbym swój akces. Chyba u was co noc można się przespać z inną towarzyszką.

Tu dodał niecenzuralne wyrażenie dla scharakteryzowania naszych dziewcząt.

Odsapnąwszy z uczuciem sytości, dokładnie i długo wycierał chusteczką usta, po czym wstał i zbliżył się do mnie.

- No i co „komisarzu"? Gdybyś mi zagwarantował, że po rewolucji będę miał co dzień inną kazetemówkę, to może stałbym się komunistą. Hę?

Chwilę milczałem. Daleki byłem teraz od polemiki z nim. Gdy jednak zaczął na ten temat dalej rozprawiać, wyrażać się wulgarnie o naszych towarzyszkach i jednocześnie domagać się odpowiedzi, odrzekłem mu:

- Nie ma pan prawa wycierać sobie gęby naszymi dziewczętami. One nawet nie spojrzałyby w pana stronę.

Dostałem kolejną porcję razów, ale nie było to takie straszne, widocznie już uodporniłem się, co sprawiało mi pewną satysfakcję.

W trakcie tej sceny drzwi otworzyły się i stanął w nich Kardasiewicz. Najwidoczniej jego pierwszą czynnością służbową po przyjściu do pracy miało być sprawdzenie, czy jestem „dostatecznie gotowy" do następnej rozmowy z nim.

Gdy tylko Pędras spostrzegł komisarza, natychmiast stanął na baczność i złożył przełożonemu meldunek:

- Podczas służby nocnej nic nie zaszło, a ten bolszewicki pachołek dotychczas nie wniósł do śledztwa nic nowego.

Kardasiewicz wściekł się. Nie skorzystał nawet z wygodnego fotela, tylko z miejsca, w którym stał, zaczął swój „wykład".

- Teraz to się już chyba przekonałeś, że bawić się z tobą nie będziemy. Jeżeli nie opowiesz wszystkiego dokładnie, to nie wyjdziesz od nas. W takich sprawach nie obowiązuje nas czterdziestoośmiogodzinny areszt policyjny; możemy cię tutaj trzymać tak długo, jak to nam będzie potrzebne. Radzę ci mówić prawdę, bo zasrany komunizm nie wart twoich cierpień. Na twojej głupocie i tobie podobnych durniach żerują bolszewicy i zbijają kapitał.

Nic się nie odzywałem. Po całonocnych „badaniach" Pędrasa, mimo tortur i upokorzeń, jakich doznałem, czułem, że mam nad nim przewagę - szczególnie po końcowej rozmówce „filozoficznej", jaką ze mną przeprowadził. Nie bałem się już nikogo i niczego. Milczałem uparcie, wpatrując się w jeden punkt na podłodze.

- Jak nie słyszysz, co do ciebie mówią, i nie odsznurujesz sobie mordy, to ja ci mogę pomóc. Zrozumiałeś?!

- Nie mam nic do powiedzenia - odrzekłem spokojnie.

- Nie chcę brudzić sobie rąk takim gnojem, jak ty, ale nie myśl, że to ci tak ujdzie.

Po tych słowach Kardasiewicz uchylił drzwi i zawezwał szpicla Gumosia. Pokazując na mnie, powiedział mu:

- Zabierz pan tego mordercę do aresztu na odwach. Tutaj w dzień jest za wielki ruch. Razem z przodownikiem Dudkiewiczem będziecie do wieczora prowadzić śledztwo; potem jeszcze raz sam go przesłucham.

Pokoik na odwachu był jakby wymarzony do tych „śledczych" celów. Gdybym nawet krzyczał z całych sił i tak nikt nie zwróciłby na to uwagi. Często bowiem przetrzymywano tam pijaków do wytrzeźwienia.

Gumoś miał szczególny powód do złości, bo stracił cennego konfidenta w osobie Włodzimierskiego; na początku jednak nie ujawnił tego, był grzeczny i opanowany.

- Poskakaj sobie trochę „żabką", rozruszasz się, przypomnisz sobie wszystko i raz dwa zakończymy dochodzenie.

Stałem w kącie, nie ruszając się z miejsca. Gumoś, chcąc lepiej wytłumaczyć mi, o co chodzi, sam przykucnął na podłodze i wykonał kilka podskoków.

Wiedziałem od towarzyszy, że w śledztwie nie wolno biernie poddawać się takim rozkazom. Były to zazwyczaj dość powszechnie znane sposoby poniżania i ośmieszania aresztowanego. Jeśli ten szybko dał się nakłonić do wykonania polecenia, stawał się automatycznie manekinem, z którym oprawcy robili potem, co chcieli, pozbawiając go całkowicie godności człowieka. Mógł stać się w ich rękach bezwolnym narzędziem. Poddanie się ich rozkazom, jeśli nawet niczego nie ujawnił, było miernikiem słabości charakteru i wówczas cierpienia badanego przeciągały się w nieskończoność.

- Jak nie chcesz pogimnastykować się dobrowolnie, poskakać trochę „żabką”, to ja z ciebie zrobię prawdziwą żabę. Zobaczysz, jak to wygląda.

Wywiadowca Dudkiewicz zakuł mi dodatkowo nogi, a Gumoś przyniósł okrągły, około dwumetrowej długości, dość gruby drążek. Silnie przygiął mi głowę w dół, jednocześnie przeciągając złączone ręce pomiędzy udami do tyłu. Szybko wsunął pomiędzy unieruchomione ręce drążek, którego oba końce oparły mi się mocno pod kolanami. W takiej pozycji byłem całkowicie bezbronny. Nawet trudno było mi krzyczeć, co czasem przynosi pewną ulgę.

Ten sposób badania był w Kielcach bardzo popularny, u nas jednak prawie niestosowany. To, że i ja stałem się obiektem tych praktyk, zawdzięczałem zapewne komendantowi z Kielc, który - jak już wspomniałem - przyjechał nadzorować śledztwo.

Męczyłem się w tej pozycji może godzinę. Czułem tępy, ciągle potęgujący się ból w krzyżach i ramionach. W pewnej chwili nie wytrzymałem i przewróciłem się na podłogę. Nowa pozycja wcale nie przyniosła mi ulgi. Nie mogłem ani na moment wyprostować skulonych pleców, gdyż wsunięty od tyłu drąg unieruchamiał mnie całkowicie.

Nie wiem, czy służba w policji, czy też głęboka nienawiść do komunizmu tak zdeprawowała Gumosia i Dudkiewicza, że dla moich cierpień i bólu nie okazali najmniejszego odruchu litości. Wręcz przeciwnie - drwili i z zadowoleniem przypatrywali się moim męczarniom. Przez cały czas popisywali się wiadomościami, jakie o nas posiadają. Miało to na celu przekonać mnie, że upór mój i tak jest niepotrzebny. Starałem się nie słuchać tego, co mówili, byłem zajęty tylko swoimi myślami.

O godzinie trzeciej po południu oprawcy zrobili sobie przerwę obiadową. Skorzystałem na tym, gdyż na ten czas uwolnili mnie od przeklętego drążka. Postawili nawet przede mną miskę zupy. Nie mogłem jednak przełknąć ani jednej łyżki, choć stojący obok policjant zmuszał mnie bez przerwy do jedzenia. Ta nadmierna troska świadczyła, że nie czeka mnie nic dobrego.

Przerwa trwała niedługo, tak mi się przynajmniej wydawało. Defensywiacy wrócili z nowym zapasem energii i dopiero teraz zabrali się do prawdziwego śledztwa, bo dotychczas prowadzili je tylko „na gębę”, bez spisywania protokołu.

Dudkiewicz usiadł za biurkiem jako protokolant, wziął formularz przesłuchania podejrzanego i pomału zaczął wypełniać go, spisując personalia. Gdy to zakończył, Gumoś zadał mi pytanie, czy przyznaję się do tego, że w dniu 7 kwietnia chciałem pozbawić życia Włodzimierskiego i gdzie znajdują się moi pomocnicy. Dudkiewicz zaprotokołował to pytanie. Odpowiedziałem, że nikogo nie chciałem zamordować i nie mam żadnych wspólników.

W tym momencie otworzyły się drzwi i zajrzał komendant z „defy” z Kielc - przyszedł widocznie sprawdzić, jakie są wyniki śledztwa. Z urywków rozmowy, jakie do mnie dochodziły z korytarza, zorientowałem się, że komendant jest niezadowolony z przebiegu badań, Gumoś zaś tłumaczył mu, że najgorzej jest z „fanatykami”, bo nie ma na nich żadnych sposobów.

Komendant wszedł do pokoju i siadając na foteliku przy biurku, powiedział:

- A teraz zobaczymy, czy nie podasz nam miejsca, gdzie ukrywają się twoi wspólnicy.

Milczałem. Komendant z Kielc nieznacznym ruchem głowy wskazał na stojący w kącie drąg. Gumoś i Dudkiewicz od razu połapali się, o co chodzi. Pierwszy poderwał się Gumoś, mocno chwycił mnie za kark i przygiął do podłogi, a Dudkiewicz przełożył od tyłu drążek.

Po chwili Gumoś z jednej, a Dudkiewicz z drugiej strony chwycili za kij i unieśli mnie do góry. Zawisłem jak jagnię niesione na targ. Szpicle podrywali kilkakrotnie drążek, starając się utrzymać go w najdogodniejszej dla siebie pozycji.

Cierpiałem strasznie, szczególnie ból rąk stawał się nie do zniesienia.

- A teraz - zaczął spokojnie komendant kielecki - powiesz nam na pewno, gdzie ukrywają się twoi wspólnicy. Mamy dokładne dane, że znasz miejsce ich pobytu.

Choć silny ból nie pozwalał mi skupić się, byłem świadomy tego, co do mnie mówił. Zamknąwszy oczy udawałem nieprzytomnego, by choć chwilkę zyskać na czasie.

Tymczasem szpicle, aby pozbyć się ciężaru, oparli jeden koniec drążka o stojące opodal biurko, drugi zaś położyli na blacie stołu. Szef wojewódzkiej defensywy nie był już teraz bezczynny. Chwycił gumową pałkę, zbliżył się do mnie i zapytał:

- Będziesz zeznawać?

Gdy od razu nie otrzymał odpowiedzi, począł gwałtownie okładać mnie gumą, gdzie popadło. Wówczas naprawdę straciłem przytomność.

Widocznie byli na to przygotowani i mieli w tej dziedzinie praktykę. Oblali mnie zimną wodą.

Pomału odzyskiwałem świadomość. Kiedy wreszcie otworzyłem oczy, okazało się, że leżę na podłodze i mogę swobodnie poruszać nogami. A więc mimo wszystko skorzystałem na tym, zdjęli mi pęta i usunęli drążek. Jedynie ręce pozostały skute, ale to wydawało mi się już teraz rzeczą zupełnie normalną.

Komendant bez słowa wskazał mi krzesło. Z trudem podniosłem się, lecz nie mogłem stanąć na nogach. Były jakoś dziwnie miękkie. Gumoś mocno chwycił mnie pod ramię i rzucił w stronę krzesła.

- Nie myśl, że to już koniec, że może zdechniesz. Nie takie rzeczy jeszcze wytrzymasz. Dziwię się tylko twojej głupocie. Przecież istnieje u was solidarność. Dlaczego masz odpowiadać za wszystkich? Dlaczego ich chronisz? - Przecież wcześniej czy później i tak ich złapiemy. Jeśli nam to ułatwisz, nie będziemy już mieli do ciebie żadnych pretensji.

W chwilach silnego zdenerwowania lub wstrząsu, kąciki ust lekko podnoszą mi się w górę jak w ironicznym uśmiechu, choć daleki jestem wtedy od wesołości. A wówczas chwila była jak najmniej odpowiednia do śmiechu. Jednak komendant, patrząc na mnie, uległ złudzeniu.

- Panie Gumoś, widzi pan, jak mu jest wesoło. Widocznie jeszcze za mało dostał. Postarajcie się jakoś wyprowadzić go z tego nastroju. Ja nie mam już teraz ani czasu, ani cierpliwości.

Mówiąc to podniósł się z krzesła i szybkim krokiem opuścił pokój.

Gumoś i Dudkiewicz „zajmowali się” mną do godziny dwudziestej pierwszej wieczór. Nie obeszło się bez bicia, kopniaków i prztyczków w nos. Nie przytaczam tu opisu innych metod śledztwa - dość już o tym napisano.

O dziewiątej przyprowadzono na odwach wszystkich zatrzymanych prewencyjnie do mojej sprawy - jak się potem okazało, było ich około dwudziestu - mnie zaś z powrotem odtransportowano do defensywy przy ul. 3 Maja. Tu na nowo miał zająć się mną Pędras. Swoje „śledztwo” rozpoczął od oświadczenia:

- Widzę, że niczego nie nauczyli cię ci nasi „politycy”. - Była to aluzja do wywiadowców z brygady politycznej. - Zobaczysz, że w ciągu dzisiejszej nocy na pewno zmuszę cię - bez politykowania - do mówienia. Będziesz śpiewał, aż hej.

Na razie jego sposoby śledcze polegały na szarpaniu mnie za uszy i włosy. W pokoju znajdował się jakiś młody policjant w cywilnym ubraniu, widocznie nowicjusz. Przypatrywał się czynnościom kolegi, jednak nie angażował się osobiście do pomocy.

W trakcie owych wstępnych przygotowań Pędras obiecał, że później poznam wiele jego nowych, radykalnych metod śledczych, z „masażem pięt” włącznie. Teraz jednak pomówi ze mną jeszcze raz komisarz Kardasiewicz.

Rzeczywiście, po chwili wszedł do pokoju. Tym razem był w cywilnym ubraniu, w ręku trzymał skórzany pejcz.

Okno pokoju, w którym prowadzono śledztwo, wychodziło na ulicę 3 Maja, gdzie o tej porze sosnowiczanie wylęgali na wieczorne spacery. Gdy w nie spojrzałem, przyszła mi do głowy myśl, aby wyprowadzić moich oprawców z równowagi. Gdy Kardasiewicz zapytał, czy mi już wystarczy - odpowiedziałem, że będę zeznawał prawdę, ale muszą mnie rozkuć i dać się czegoś napić, bo mam zaschnięte usta i nie mogę wydobyć słowa.

Na twarzy komendanta ukazał się triumfalny uśmiech. Był w siódmym niebie, że udało mu się mnie złamać. Kazał natychmiast przynieść dwie butelki lemoniady i kanapki.

Myśli moje pracowały szybko. Byłem już u kresu wytrzymałości, nie mogłem znieść powolnych tortur. Tym, co teraz zrobię, na pewno wyprowadzę ich z równowagi. Zaczną mnie bić mocno, tak że stracę przytomność i nie będę już czuł niczego.

Stopniowo odzyskiwałem władzę w zdrętwiałych rękach i w ogóle przychodziłem do siebie. Tymczasem sekretarka policji przygotowywała blankiety do pisania protokołu. Nagle błyskawicznie chwyciłem maszynę walizkową, która stała na stoliku niedaleko okna, i z całej siły rzuciłem ją w okno. Posypało się szkło rozbitych szyb, a maszyna, uderzając o kraty, rozleciała się w kawałki.

Udało się. Zaczęli mnie okładać wszystkim, co mieli pod ręką. Od jednego z pierwszych ciosów straciłem przytomność. Obudziłem się rano w szpitalu w Będzinie, dokąd zostałem przewieziony karetką pogotowia.

Gdy po całonocnych wysiłkach przywrócono mnie do przytomności, w szpitalu zjawił się sędzia śledczy Sądu Okręgowego w Sosnowcu, Nowak, i dał nakaz osadzenia mnie w więzieniu w Będzinie, nie bacząc na mój ciężki stan zdrowia. Policja przy tym oświadczyła dyrekcji szpitala, że to podczas

usiłowania zabójstwa zostałem tak pobity - i na tej podstawie uzyskała zaświadczenie lekarskie datowane wstecz, co oznaczało, że obrażeń tych doznałem przed aresztowaniem. Dodam tutaj tylko, że gdy przetransportowano mnie do więzienia, felczer więzienny kazał umieścić mnie w „trupiarni". Była to jedna z cel na drugim piętrze, przeznaczona dla symulujących obłęd. Umieszczano w niej również, w wypadku nagłej śmierci więźnia, zwłoki.

Na pytanie sanitariusza, jakie ma mi dać lekarstwo, felczer przezwany „Kotem" powiedział:

- Lekarstwa i tak mu już nic nie pomogą.

Przepowiednia felczera nie sprawdziła się, bo z czasem zacząłem przychodzić do siebie. Zaczęło się dla mnie normalne życie więzienne.

Z „trupiarni" zostałem przeniesiony do słonecznej pojedynki. Była ona jedyna w całym więzieniu. Osadzono mnie właśnie tam, abym do rozprawy nie mógł kontaktować się z innymi więźniami politycznymi. O sądzie doraźnym nie było już mowy, bo kończył się przewidziany trzymiesięczny termin, a śledztwo było jeszcze w proszku.

Pozostali moi współtowarzysze znajdowali się jeszcze na wolności. Na razie byłem aresztowany sam i mogłem w dalszym ciągu podtrzymywać tezę, że o niczym nie wiem.

Pewnego dnia, po spacerze, zostałem wywołany do kancelarii na widzenie z obrońcą. Dowiedziałem się od niego, że Alicja została aresztowana w Warszawie i od tygodnia siedzi w więzieniu w Sosnowcu. W tej sytuacji obrońcy chodziło o skorygowanie moich zeznań tak, aby odpowiadały zeznaniom Alicji, która powiedziała, że mnie zna, a na masówkę do kopalni „Klimontów" poszła z ciekawości - zobaczyć, jak przemawiam.

Przy pierwszym dodatkowym śledztwie uzupełniającym sprostowałem więc moje poprzednie zeznanie, że owszem znam Alicję i zabrałem ją na wspomnianą masówkę. Dodałem, że przedtem nie chciałem tego zeznać, przypuszczając, że Alicja może mieć z tego powodu nieprzyjemności.

A oto parę słów o tym, jak została aresztowana Alicja. Ukryła się w Warszawie, posługując się fałszywym dowodem na nazwisko Sołowiejczyk. Jak to bywa u młodych, niedoświadczonych konspiratorów, korespondowała z rodziną. Widocznie policja inwigilowała listy i od nitki do kłębka ustaliła adres dziewczyny.

W notatce służbowej, jaka znajdowała się w aktach naszej sprawy, policjant dał taką relację z przebiegu jej aresztowania: „Gdy przybyłem do wskazanego mieszkania, drzwi otworzyła mi jakaś pani i na pytanie, czy mieszka tu Rzemieniecka, odpowiedziała przecząco. Gdy okazałem jej list gończy z fotografią, przyjrzała się uważnie zdjęciu i odrzekła: «A cóż to za wstrętna morda, u nas taka nie mieszka». Wylegitymowałem ją i chciałem już odejść, bo na podstawie niewyraźnej fotografii trudno było ustalić tożsamość i w dodatku nie spodziewałem się takiego tupetu. Na wszelki wypadek poprosiłem panią Sołowiejczyk do komisariatu, w celu wyjaśnienia sprawy".

Co było dalej - wiadomo, bo szybko została odtransportowana do więzienia w Sosnowcu.

Zajdman został z rozprawy wyłączony. Po aresztowaniu Alicji wyjechał do ZSRR. W związku z tym toczyło się przeciwko niemu dochodzenie zaoczne. W 1937 roku został aresztowany wraz z innymi komunistami z Polski. Udało mu się w niewiadomy sposób posłać list do Sosnowca z tą smutną

wiadomością i prośbą, by jego najbliżsi towarzysze wierzyli mu, że nie jest zdrajcą, że jest taki sam, jak wtedy, gdy się z nami rozstawał, i może kiedyś uda mu się wyjaśnić nam tę straszną pomyłkę. Niestety, nie było mu dane dożyć rehabilitacji.

Sędzia śledczy sądu okręgowego, Nowak, okazał się całkiem sympatycznym człowiekiem. W toku rocznego uzupełniania śledztwa nie spostrzegłem, by był do mnie wrogo usposobiony. Miałem nawet wrażenie, że ze mną sympatyzuje; nigdy nie łapał mnie za słówka - jak to praktykowali inni - a raczej naprowadzał mnie na odpowiedzi, które mogły wyjść na moją korzyść.

Gdy pewnego dnia przyszedł zakończyć śledztwo i przeczytał mi najważniejsze zarzuty, zapytałem:

- Panie sędzio, przez ten rok śledztwa chyba przekonał się pan, że nie jestem pospolitym przestępcą. Czy nie mógłby pan sędzia włączyć do tej sprawy dochodzenie, które pan również prowadzi, w sprawie zeznań Cichonia. W ten sposób zmieniłaby się kwalifikacja prawna przestępstwa i mógłbym siedzieć z więźniami politycznymi.

- Już próbowałem to zrobić, choć nie powinienem o tym mówić, ale sąd na niejawnym posiedzeniu odrzucił mój wniosek. Sprawa przechodzi teraz do prokuratora Jewniewicza i nic więcej nie da się zrobić. Być może, że uda się to przeprowadzić adwokatowi na przewodzie sądowym, ale wątpię, gdyż przewidziany jest najsurowszy skład z sędzią Czaplickim na czele.

Podpisałem postanowienie o zakończeniu śledztwa. W dniu tym po raz ostatni widziałem sędziego Nowaka. Choć zdania o nim innych towarzyszy były mniej pochlebne, mnie po tej rozmowie pozostało dobre wspomnienie. Przekonał mnie, że otoczenie, z którym walczymy, nie składa się z samych złych ludzi.

XII
Przygotowanie do rozprawy i przebieg procesu

Od przeszło roku siedziałem w więzieniu w Będzinie. Zbliżał się termin rozprawy głównej. Prokurator przesłał sprawę do sądu, a ja i Alicja otrzymaliśmy akt oskarżenia. Byłem w trudnej sytuacji, nie miałem kogo poradzić się, jaką mam obrać taktykę na przewodzie sądowym i jak przygotować się do obrony.

Muszę wyjaśnić, że komuniści stosowali przed sądami burżuazyjnymi taktykę nieprzyznawania się do winy, nawet w tych wypadkach, jeśli ktoś został aresztowany „na gorącym uczynku". Przyznać się do winy mógł na ogół towarzysz, który był dobrze przygotowany teoretycznie, zresztą tylko wtedy, gdy przebieg jego rozprawy ze względu na rozgłos tak w kraju, jak i za granicą, tego wymagał. Uczynić to mógł jednak dopiero po uzyskaniu zgody od towarzyszy z wolności lub zgody organizacji partyjnej, która istniała w każdym więzieniu, gdzie siedzieli komuniści. Było to konieczne, by nie dać się sprowokować przez sędziów do polemiki, jeśli nie było się do tego przygotowanym, burżuazyjna prasa bowiem celowo wykorzystywała każde potknięcie się komunisty w sądzie, by oczerniać nas i ośmieszać.

Od momentu aresztowania zdawałem sobie sprawę, że czeka mnie duży wyrok, bo dowody rzeczowe i zeznania świadków z góry przesądzały wysoki wymiar kary. Chodziło mi tylko o to, by sprawie nadać od razu charakter polityczny i broniąc ideowych motywów naszego postępowania, nie przyznawać się do winy.

Na razie, ponieważ byłem izolowany od towarzyszy, nie mogłem dowiedzieć się, czy mogę przyjąć taką linię obrony. Postanowiłem jednak solidnie przygotować się, by na wypadek zgody partii sprostać temu zadaniu. Cel ten mogłem osiągnąć, tak mi się przynajmniej wydawało, przez uporczywą pracę nad sobą. Nie było to łatwe, jeśli weźmie się pod uwagę moje słabe przygotowanie do samodzielnej nauki.

Jeśli do aresztowania w swej działalności kierowałem się głównie instynktem klasowym i tradycją rodzinną, to po półtora roku przebywania za kratami i czytania od świtu do nocy zaczynałem już kształtować sobie wzory osobowe, wartościować czyny i postępki, i kształtować zamiary i plany postępowania na przyszłość.

Szczególnie wiele czasu poświęcałem literaturze o procesach politycznych i prowokacjach przeciwko ruchom postępowym. Parę razy przeczytałem: „Proces świętojurski", „Azefa" Burcewa, „Renegata" Sinclaire'a i wiele innych cennych dla mnie pozycji.

Książki te dostarczał mi dozorca Sztandera, który z nami sympatyzował. Były one zdeponowane na strychu i pochodziły z czasów, kiedy w tym więzieniu siedzieli komuniści. Wiele cennych pozycji otrzymałem od kryminalnych, którzy pod tym względem nie byli kontrolowani.

Z przebiegu śledztwa i na podstawie skąpych informacji od najbliższych wiedziałem, że władze dla postrachu chcą nadać naszej sprawie - pierwszej tego rodzaju w Zagłębiu i na Śląsku - charakter kryminalny.

Gorączkowo szukałem możliwości kontaktu z towarzyszami. Sprawa była bardzo trudna, gdyż organizacji partyjnej w tym więzieniu nie było, a nie mogłem z nikim z zewnątrz porozumieć się korespondencyjnie. Wreszcie wpadłem na następujący pomysł: jak już wspomniałem, rozprawa moja o zlot w Murckach została wyłączona i akta tej sprawy znajdowały się w kompetencji Sądu Apelacyjnego w Katowicach. Według przepisów „KK" oskarżony miał prawo przeglądać akta w sądzie, by mógł przygotować się do obrony na rozprawie.

Napisałem więc podanie do przewodniczącego sądu w Katowicach o umożliwienie mi przejrzenia tej sprawy, gdyż dotychczas tego nie uczyniłem. Sądownictwo na Śląsku korzystało z praw autonomicznych i będąc w stosunku do sądu w Sosnowcu instancją wyższą, nie miało obowiązku porozumiewać się z nim. Liczyłem na to, że wydadzą mi zezwolenie na przyjazd pod eskortą do Katowic.

Po kilku dniach otrzymałem radosną dla siebie nowinę. Zezwolono mi na przejrzenie akt z tym, że mam wpłacić 20 zł na koszta przejazdu. Niestety, trzydniowy termin nie pozwolił mi zawiadomić rodziny ani znajomych o dniu wyjazdu do Katowic.

Akta były oprawione w kilka tomów, gdyż do sprawy o zlot w Murckach zatrzymano około 300 osób, a wszyscy byli przesłuchiwani. Toteż przez kilka dni przebywałem w więzieniu w Katowicach i w areszcie policyjnym, a także codziennie chodziłem do sądu. Już w pierwszym dniu po moim przyjeździe do Katowic spotkałem się w areszcie z towarzyszem Stanisławem Firstenbergiem, znanym i doświadczonym działaczem z Zagłębia i Śląska. Znał dokładnie moją sprawę i udzielił mi cennych wskazówek, jak pokierować obroną.

Po przeczytaniu aktu oskarżenia, który miałem przy sobie, Firstenberg uznał, że sprawie istotnie należy od razu nadać charakter polityczny, przy tym niezbędna jest pomoc dobrego adwokata.

Nurtował mnie jeszcze problem etyki oskarżonego wobec niezbitych dowodów „winy". Zwierzyłem się z tego Firstenbergowi, a on na to odparł:

- Przed sądem burżuazyjnym każda teza obrony jest słuszna, jeśli służy ona oskarżonemu i sprawie. Kłamstwo przed sądem naszych wrogów, który jest stronniczy, nie może być poczytywane za tchórzostwo ani też nie jest niezgodne z etyką. Przecież sędziowie skazują na długoletnie więzienie tysiące niewinnych ludzi tylko dlatego, że mają inne przekonania polityczne i ideowe niż oni. A cała wasza sprawa jest wynikiem prowokacyjnej działalności policji, posuniętej tak daleko, że aż wykorzystano brata przeciwko bratu. A fakt taki nie mieści się w jakichkolwiek ramach etycznych czy moralnych. Uważam, że obrona powinna tak pokierować swoimi wystąpieniami, by wykazać moralne prawo komunistów do walki z nasłanymi do ich szeregów prowokatorami. Natomiast wy macie prawo postąpić tak, jak to jest najwygodniej dla was i dla sprawy. Nie może tu być mowy o tchórzostwie, bo swoim czynem i cierpieniami wykazaliście, że jesteście gotowi oddać życie za ideę. Sądy są klasowe. Ich niezawisłość znajduje się tylko na papierze; i tak wyrokować będą nie na podstawie dowodów, ideowych pobudek i swoich przekonań o winie - ale zgodnie z życzeniami ich mocodawców.

Była to moja ostatnia z nim rozmowa. Więcej go nie widziałem. Zginął w nieznanych mi okolicznościach po wyjściu z więzienia w 1939 roku.

Nazajutrz, gdy pod eskortą zostałem zaprowadzony do sądu w Katowicach, spotkałem drugiego towarzysza, który również dał mi cenne wskazówki. Tak oto poznałem tego towarzysza:

Pokoik przeznaczony do przeglądania akt sprawy był dość obszerny, z zakratowanymi oknami. Gdy wszedłem, przy jednym ze stolików siedział młody mężczyzna pochylony nad grubym tomem. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat. Kiedy policjant opuścił pokój, pozostaliśmy jedynie w towarzystwie młodej archiwistki, która nie zwracała na nas uwagi. Spoglądałem ukradkiem na swego sąsiada, oczy nasze często spotykały się; on też mnie obserwował. Zapewne przypuszczał, że jestem kryminalny - gdyż policjant dyżurował na korytarzu przy drzwiach, a z ubioru więziennego też mógł tak sądzić.

Ja natomiast zauważyłem, że archiwistka jest bardzo przychylnie ustosunkowana do obiektu mojego zainteresowania, myślałem więc, że jest to adwokat, względnie aplikant sądowy. A tak bardzo chciałem spotkać kogoś ze swoich, komu mógłbym przekazać wiadomość dla rodziny o mojej obecności w Katowicach!

Przypuszczenie, że on też przegląda akta swojej sprawy, nie mogło mi przyjść do głowy, gdyż był bez eskorty, po cywilnemu i ubrany elegancko.

Dzień był czerwcowy, upalny. Zapytałem archiwistkę, czy mogę zdjąć bluzę. Zezwoliła. Mój sąsiad z prawej strony spojrzał na moją rękę.

- Dlaczego pan sobie wytatuował pięcioramienną gwiazdę? - zagadnął po chwili.

- Jest to symbol solidarności wszystkich części świata, a to przypomina mi, że nawet za kratami nie jestem osamotniony.

- Kiedy pana aresztowano?

- Przeszło rok temu.

- Czy można wiedzieć za jakie przestępstwo?

- Za przestępstwo polityczne. Jestem oskarżony o usiłowanie dokonania zamachu na prowokatora, a teraz przeglądam akta sprawy dotyczącej zlotu w Murckach.

- Czy ma pan adwokata?

Myślałem, że chce ofiarować mi obronę, więc odpowiedziałem:

- Adwokata już mam, rodzina go zaangażowała.

Jednak coś w tej rozmowie mnie uderzyło, mówił z przerwami, głosem przyciszonym, tak jakby obawiał się zwrócić uwagę archiwistki. „Może zbyt pochopnie wziąłem go za adwokata" - pomyślałem. Odnosił się do mnie przyjaźnie, jak towarzysz. Po chwili milczenia wstał i zwrócił się do archiwistki ze słowami:

- Mam do pani wielką prośbę. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby mi pani umożliwiła dłuższą rozmowę z tym więźniem, gdyż jest to dla mnie niespotykana wprost okazja w mojej pracy pedagogicznej - jak pani wie, jestem nauczycielem.

Skinęła głową, mówiąc:

- Dobrze, panie redaktorze, ale jutro ten więzień przyjdzie ostatni raz przeglądać akta. Musi więc pan wziąć dla siebie pozwolenie u przewodniczącego sądu na dzień jutrzejszy.

Redaktor usiadł naprzeciwko mnie, ukradkiem zajrzał do moich akt i rzekł:

- Jestem naczelnym redaktorem śląskiej gazety lewicowej „Głos Robotniczy", czy nie zechciałby pan poświęcić mi trochę czasu?

Teraz zorientowałem się, że mam do czynienia i Janem Kawalcem, o którym wiele słyszałem. Choć wówczas nie był jeszcze prawdopodobnie członkiem partii, ale wiele już zdziałał dla naszej sprawy. Na wszelki wypadek trzeba było jednak być ostrożnym i ustalić, czy moje przypuszczenia są prawdziwe.

Pomału zapoznałem się dokładniej z towarzyszem Kawalcem. Proponował mi załatwienie dobrego obrońcy z Katowic, jego przyjaciela Trojanowskiego, który był naszym sympatykiem i podejmował się obrony bezpłatnie, jeśli oskarżony komunista nie miał środków na honorarium.

Miałem już zaangażowanego obrońcę, więc Kawalec postanowił później uzgodnić tę sprawę z moją rodziną.

Ponieważ w sądownictwie śląskim panowały stosunki nieco liberalniejsze niż w innych częściach kraju, rozmowa nasza była dość swobodna.

Kawalec zamknął ją taką radą:

- Nie jestem prawnikiem, ale jak zorientowałem się, nie unikniecie dużego wyroku, niezależnie od formy obrony. Dlatego też wydaje mi się, że należałoby tak przygotować się do rozprawy, by swoją postawą i zachowaniem wywołać sympatię, jeśli nie wszystkich sędziów, to choć części kompletu sędziowskiego, gdyż tylko to może wpłynąć na obniżenie kary. Jeśli sędziowie całkowicie nie zatracili ludzkiego poczucia sprawiedliwości - słuszność naszej walki może ich uderzyć i to da wyniki. Przecież niczego więcej od nich nie chcecie, jak zasądzenia was obojga jako zamachowców politycznych.

Smutno kończę relację o rozmowach z tymi towarzyszami, bo również i drugi mój doradca zginął. Umarł z wycieńczenia w obozie koncentracyjnym w czasie okupacji.

Do więzienia wróciłem już spokojny. I w spokoju oczekiwałem sądu. Wiedziałem, że już nikt nie będzie miał do mnie pretensji za zachowanie się podczas procesu. Wszystko uzgodniłem z rodziną i towarzyszami.

W dniu rozprawy silne oddziały policji pieszej otoczyły gmach sądu. Ulicę Schena, czyli obecną 1 Maja, patrolowała policja piesza i konna. Gromadzili się tam moi towarzysze, znajomi i sympatycy, by podczas przejazdu z więzienia do sądu pozdrowić mnie skinieniem ręki czy uśmiechem, podnieść na duchu obecnością, a masowym przybyciem zamanifestować solidarność z nami.

Nie zabrakło oczywiście i gapiów oraz przypadkowych przechodniów, którzy żądni sensacji, chcieli obejrzeć dwoje „groźnych bandytów", według relacji prasowych winnych dokonania strasznego zamachu. Potem znajomi opowiadali nam, że ci ciekawscy, którzy chcieli zobaczyć rosłego mordercę o fizjonomii zbója i jemu podobną kompankę, rozczarowali się mocno, widząc szczupłego chłopca w okularach i młodziutką, elegancką dziewczynę.

Gdy w sądzie spotkałem się z Alicją, pierwsze moje słowa były:

- Widzisz, jakie nam oddają honory. Na pewno półtora roku temu nie spodziewałaś się, że będziesz taka groźna dla panującego ustroju.

Alicja uśmiechnęła się, a komendant eskorty srogo zareagował, rycząc, byśmy nie politykowali, bo będzie zmuszony nas odizolować.

Dzwonek obwieścił początek rozprawy. Wszystkie miejsca były zajęte, choć dostać się na rozprawę było bardzo trudno.

Zaprowadzono nas pod silną eskortą na ławę podsądnych. Ponura, przyciemniona sala robiła przygnębiające wrażenie. Wszystko było tak zainscenizowane przez policję, by upozorować proces krwiożerczych przestępców.

Sądowi przewodniczył sędzia Czaplicki, który od początku prowadził rozprawę tendencyjnie i zachowywał się wrogo wobec nas. Po odczytaniu nam aktu oskarżenia, ja jako główny oskarżony otrzymałem pierwszą porcję pytań.

- Czy oskarżony zrozumiał akt oskarżenia i czy przyznaje się do winy?

- Akt oskarżenia zrozumiałem, ale do winy się nie przyznaję i nie poczuwam.

- A dlaczego oskarżony wspólnie z Alicją Woźnicą (obecnie Alicja Rzemieniecka) i innymi usiłował pozbawić życia Włodzimierskiego?

- Nazwisko to usłyszałem po raz pierwszy po aresztowaniu. Na policji katowano mnie przez 48 godzin, by wymusić ode mnie przyznanie, że usiłowałem zabić Włodzimierskiego, co nie jest prawdą.

- Po co oskarżony udał się z Sosnowca na kopalnię „Klimontów" o godzinie dwunastej w nocy.

- Jestem z przekonania komunistą, choć do partii nie należę. Dlatego też na wiadomość o chęci zatopienia kopalni przez właścicieli i pozbawienia robotników warsztatu pracy udałem się tam, by pomóc górnikom w ich walce z kapitalistami. Uważam to za obowiązek każdego proletariusza.

- Czy oskarżonemu wiadomo, że partia komunistyczna jest organizacją terrorystyczną, która dąży do obalenia istniejącego ustroju drogą terroru i morderstw, jak to było w Rosji?

- O tym nic mi nie wiadomo, natomiast wiem z przeczytanej literatury, że klasa robotnicza może wyzwolić się z ucisku przez rewolucję, która obali stary ustrój i zbuduje nowy.

Przewodniczący sądu zwrócił mi uwagę, bym odpowiadał na konkretne pytania prokuratora, a nie politykował. Po czym zapytał mnie, czy chcę dać jeszcze jakieś wyjaśnienie. Odpowiedziałem, że podtrzymuję zeznania złożone w śledztwie i protestuję przeciwko traktowaniu mnie jako przestępcę kryminalnego, gdyż nigdy nie popełniłem żadnej zbrodni pospolitej.

Adwokat zwrócił się do sądu o zezwolenie na zadawanie pytań.

- Czy jako ideowy komunista - zapytał - popełniłby oskarżony czyn, nie będąc przekonany o jego słuszności?

- Kiedy dojrzałem politycznie i zacząłem rozumieć sens walki rewolucyjnej, zawsze byłem gotowy oddać życie za słuszną sprawę. Nie tylko komunista, ale każdy człowiek, który popełnia jakieś czyny lub działa w jakimś kierunku i nie jest przekonany o słuszności swego postępowania, a robi to jedynie dla wygody lub korzyści - jest zwykłym łotrem lub łajdakiem.

Prokurator przerywając zapytał:

- A czy wasze postępowanie nie jest łajdactwem?

Pytanie było wyraźnie prowokacyjne. Bez namysłu odpowiedziałem pytaniem:

- A czy katowanie na policji i organizowanie prowokacji nie jest łajdactwem?

Przewodniczący zdenerwował się, kazał mi usiąść i z kolei Alicja znalazła się w krzyżowym ogniu pytań. Wszystkie były podchwytliwe. Dążono do tego, byśmy się zaplątali w zeznaniach.

Na pytanie, czy z polecenia partii udała się ze mną na kopalnię „Klimontów", by tam pozbawić życia Włodzimierskiego za zdradę - Alicja odpowiedziała, tak jak uzgodniliśmy przedtem, że słyszała o niesłychanej nędzy górników i naocznie chciała przekonać się, jak faktycznie wygląda organizowanie strajku. Dlatego też chętnie udała się w moim towarzystwie, by zobaczyć, jak w nocy przemawiam na masówce górników.

Ta teza obrony była odpowiedzią na wszystkie pytania.

Rozpoczęły się zeznania świadków. Jako pierwszy zeznawał Włodzimierski, który przez te półtora roku wykurował się całkowicie i oficjalnie występował jako świadek oskarżenia. Uzgodniliśmy z Alicją, że jego zeznania będziemy ignorować.

Na pytanie przewodniczącego, czy chcemy od świadka jakichś dodatkowych wyjaśnień, odpowiedziałem, że uważalibyśmy to za poniżenie naszej godności osobistej, gdybyśmy płatnemu prowokatorowi zadawali pytania dla wykorzystania ich w swojej obronie. Sędzia przywołał mnie do porządku.

W pewnym momencie jeden z obrońców zapytał Włodzimierskiego, dlaczego zostały zerwane jego zaręczyny.

- Przypuszczam, że chyba tylko dlatego, iż moja narzeczona jako komunistka nie chciała mieć męża prowokatora... - odparł.

Sala wybuchnęła śmiechem. Śmiech ten tak dalece wyprowadził Włodzimierskiego z równowagi, że poprosił sąd o zwolnienie go z dalszych zeznań, tłumacząc się, iż czuje się źle. Strony nie wyraziły sprzeciwu.

Obronie chodziło głównie o to, by tak pokierować sprawą, aby przewód sądowy, który dowody rzeczowe głównie opierał na zeznaniach świadków, był zmuszony w sentencji wyroku podać albo uzasadnić czyn nasz jako ideowy, a pobudki, jakimi się kierowaliśmy - uznać za polityczne.

Szczególnie w ostatnim słowie adwokat Pawełek, pomimo że już wówczas należał do BBWR, wygłosił piękne i porywające przemówienie - w godzinnej mowie przede wszystkim uzasadniał programowe założenia KPP. Na końcu zaapelował do sędziów, by nie zapomnieli, że oni sami lub ich bliscy w

niedawnej przeszłości, kiedy Polska była pod okupacją caratu, szczyciliby się takim czynem, o jaki są oskarżeni ci młodzi ludzie.

Było to chyba najlepsze przemówienie adwokata Pawełka w jego karierze adwokackiej i w obronie komunistów, której się rzadko podejmował.

Niewiele to pomogło, jeśli chodzi o wysokość kary. Natomiast motywy wyroku posłużyły potem towarzyszowi Duraczowi do zmiany kwalifikacji czynu i w rezultacie uzyskałem w sądzie apelacyjnym łączny wyrok - dziewięć lat za przestępstwo polityczne.

XIII
Więzienie w Będzinie

Po powrocie z Sądu Okręgowego w Sosnowcu, zarząd więzienia zniósł w stosunku do mnie izolację, która dotychczas była ściśle przestrzegana.

Ponieważ w Będzinie nie było specjalnych cel dla więźniów politycznych, przydzielono mnie do sali nr 9, gdzie siedziała „arystokracja przestępcza". Więźniowie nazywali ich szpagatowcami.

W celi tej umieszczono więźniów, którzy pracowali na wysokich stanowiskach państwowych lub gospodarczych i popełnili tam różne malwersacje, albo też ludzi zamożnych, których hulaszczy tryb życia, bójki lub morderstwo zaprowadziły do więzienia.

Jeden z moich współwięźniów był np. syndykiem kopalni „Helena", działaczem PPS-frakcji. Aresztowano go wraz z innymi za poważne nadużycia skarbowe i malwersacje. Drugi był sekretarzem gminy Łazy. Był to około sześćdziesięcioletni, wysoki i potężny mężczyzna, aresztowano go za aferę piaskową. Ciekawszą postacią w tej grupie był starszy celi, Sikora, właściciel sklepu z obrazami i zarazem członek bandy fałszerzy dwudziestozłotówek. Jednak największą atrakcję celi stanowił eksporucznik rezerwy, aktualny marynarz Polskiej Floty Handlowej, obieżyświat, który również służył we francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Aresztowany został za awanturnictwo i poranienie kogoś w bójce.

Wieczorami każdy z więźniów opowiadał swoje przeżycia, przy czym w historiach tych dominowały tragedie miłosne i przygody, często oparte bardziej na fantazji moich „współlokatorów" niż na zdarzeniach prawdziwych. Marynarz mógł np. godzinami opowiadać o swoich perypetiach w Legii Cudzoziemskiej, zarówno w Afryce jak i we Francji. Wyjątkowo celował przy tym w obrazowym przedstawianiu flirtów z uroczymi Francuzkami. Wyglądało to trochę jak scenariusz filmowy.

Sikora starał się zaimponować słuchaczom swym hulaszczym trybem życia. Opowiadał, jak kupił sobie samochód za 8 000 dolarów, z tyłu urządził izolowaną od kierowcy kabinkę i codziennie zapraszał na wycieczkę coraz to nową dziewczynę. Było w tych historiach aż za wiele erotomanii i powiedziałbym - ekshibicjonizmu.

W nagrodę za najciekawsze historie współwięźniowie sprzątali za „narratora" celę.

Niewiele mnie to wszystko interesowało. Od rana do wieczora czytałem gazety, a gdy więźniowie wracali na obiad z robót związanych z różnymi funkcjami, jakie zajmowali, głośno odczytywałem im najważniejsze wiadomości dnia.

„Szpagatowcy" bardzo ubolewali nad moją dolą. Współczuli, że w takim młodym wieku siedzę w kryminale za nic; nie mogli zrozumieć, by można było pójść za kraty bez własnych korzyści materialnych. Najwięcej litował się nade mną sekretarz gminy, który uważał, że komuniści „zdeprawowali moją duszę", a tutaj, w tej celi, słuchając ciągle sprośnych opowiadań, mogę wypaczyć swój charakter.

Któregoś popołudnia przyprowadzono do naszej celi jeszcze jednego więźnia (każdego nowicjusza nazywano „cuwaksem"). Był nim starszy wywiadowca tajnej policji z Mysłowic, Antoni

Wojciechowski, mężczyzna lat około czterdziestu, szczupły, wysoki, o kościstej twarzy i zapadniętych oczach. Był tak wystraszony, że zaledwie mruczał coś pod nosem szeptem, jąkając się przy każdym słowie.

Starał się przed wszystkimi usprawiedliwić swoją tu obecność, szukając u każdego wyrozumienia i rozgrzeszenia. Skłonny był do wypełnienia wszystkich poleceń za cenę powrotu na wolność. Wydawało mu się, że wszyscy wokół głęboko mu współczują i starają się przyczynić do złagodzenia jego cierpień i nieszczęśliwej doli.

Więźniowie natomiast czekali tylko na taką okazję, by z łatwowierności naiwniaka zrobić „teatr" i urozmaicić sobie trochę monotonny tryb życia. Nocny oddziałowy często z nudów współdziałał z więźniami, by wykiwać przybyłych „cuwaksów", zwłaszcza jeśli miał do czynienia z jakąś grubszą rybą.

Sikora postanowił nabrać w nocy naszego nowego, gdyż całe jego zachowanie wskazywało na to, że uda się go wziąć na kawał. Od momentu wejścia „cuwaksa" do celi zaczął przygotowywać odpowiedni grunt. Zwrócił się więc przy apelu do oddziałowego Molendy, by ten był uprzejmy poprosić w kancelarii, aby w nocy nikogo nie wzywano na przesłuchanie, bo po obudzeniu wszyscy do rana nie mogą zasnąć.

- Nie zawracajcie mi głowy, tu przesłuchuje się wtedy, kiedy potrzeba. Zrozumiano?!

Molenda mówił to całkiem serio, tak że nowoprzybyły, nie znając jeszcze porządku więziennego, mógł wszystkiemu dać wiarę. Po apelu, gdy strażnik zaryglował drzwi i zgrzytnął klucz w zamku, Sikora rzekł do mnie:

- Panie Leonie, zobacz no pan, czy sygnał do dyżurki oddziałowego nie jest czymś przywalony, bo znów wlepią nam jakąś karę.

- Wszystko w porządku, panie starszy - odpowiedziałem po sprawdzeniu.

Sikorą zbliżył się do Wojciechowskiego, pocieszając go, by się niczego nie obawiał, że nie spotka go tu żadna krzywda. Zapytał go też, czy był już przesłuchiwany przez prokuratora.

- Na razie jeszcze nie, ale prokurator polecił osadzić mnie w areszcie, bym nie mógł zabezpieczyć sobie alibi przy pomocy kolegów z policji.

- Zażądaj pan natychmiast prokuratora - rzekł stanowczo Sikora - w przeciwnym razie dojdą do wniosku, że jest pan winny, skoro się pan godzi bez protestu na siedzenie w kryminale. Przecież pan wie dobrze, że bez sankcji i przesłuchania prokuratora nie mają prawa posadzić funkcjonariusza policji.

- Ale jak to zrobić? - zapytał zaciekawiony Wojciechowski.

- Zawołaj pan oddziałowego, żądając, by jeszcze dziś przesłuchał pana prokurator.

Wojciechowski zbliżył się do drzwi i zastukał w szybkę judasza.

- Czego? - zapytał oddziałowy.

- Chcę, aby mnie jeszcze dziś przesłuchał prokurator.

- Kłaść się spać. Jak prokurator będzie chciał przesłuchiwać, to sam tu przyjdzie.

Wojciechowski zrezygnowany usiadł na pryczy, zaczął się powoli rozbierać, z namaszczeniem uklęknął do pacierza, a po chwili już leżał.

Sikora poczekał, aż Wojciechowski zaśnie, rozumując, że nowy, skołowaciały po pierwszym dniu w więzieniu i zmęczony przeżyciami, da się najlepiej nabrać, gdy go obudzi się nagle. Następnie wsunął pod koc but, przycisnął cholewę do ust tak, żeby szczelnie przylegała i wywołał nazwisko:

- Wojciechowski Antoni!

Głos jego na skutek poprzednich zabiegów zupełnie zmienił barwę i dochodził jakby zza drzwi. Złudzenie było tym większe, że w celi panowała bezwzględna cisza.

Śpiący zerwał się gwałtownie i zapytał:

- Czy ktoś wywołał tu moje nazwisko, czy mi się zdaje?

Głos z buta powtórzył.

- Wojciechowski Antoni, przygotować się do przesłuchania.

Nim biedak zdążył się rozbudzić, padło już drugie pytanie:

- Za co zostaliście osadzeni w więzieniu?

Wojciechowski szybko otrząsnął się ze snu i zaczął opowiadać:

- To było tak: dostałem doniesienie od konfidentki, że wieczorem z Niwki do Modrzejowa będą przejeżdżali kupcy, którzy mają przy sobie kilka tysięcy złotych w fałszywych banknotach. Spotkałem ich dokładnie w określonym miejscu. Odebrałem im pieniądze i chciałem odprowadzić na komisariat. Było ciemno i nim obejrzałem się, obaj zbiegli. Goniłem ich, ale bezskutecznie. To było powodem, że od razu nie napisałem raportu, gdyż chciałem ustalić przy pomocy konfidentki ich nazwiska; obawiałem się, że z tego powodu będę miał kłopoty. Dlatego zabrałem pieniądze do domu...

- Ile było dokładnie tych pieniędzy? - przerwał mu Sikora.

- Pięć tysięcy złotych, a nie sześć, jak mnie oskarżają, panie prokuratorze. Ta cała historia jest ukartowana przez konfidentkę, która z zemsty, że nie chciałem z nią mieszkać, oszukała mnie, złożyła do komisariatu doniesienie, że rzekomo napadłem na kupców. Okazało się, że wszystkie pieniądze były prawdziwe, ale ja przecież nie chciałem ich ukraść... Tylko miałem je przechować do czasu ustalenia tożsamości handlarzy...

- Sekcja dyscyplinarna oskarża was ponadto - mówił głos spod koca - że większość przestępców wypuszczaliście z aresztu, nie prowadząc żadnego śledztwa.

- Nic podobnego! Bóg mi świadkiem, że byłem bardzo surowy, a komunistom to wkładałem palce w drzwi i biłem pałką po piętach. Nawet z tego powodu wpływały na mnie skargi.

- Ile macie kochanek? - To widocznie najbardziej ciekawiło Sikorę.

- Tylko jedną, bo z tą drugą, co mnie teraz tak urządziła, zerwałem parę lat temu - zeznawał płaczliwie Wojciechowski.

W tym momencie marynarz nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem, co pociągnęło za sobą ogólną wesołość u pozostałych.

Wojciechowski połapał się, że padł ofiarą kawału, i dostał histerycznego ataku płaczu; długo nie mógł się uspokoić. Parę dni nie wychodził na spacer. Bał się, by kryminalni nie zemścili się na nim za szczere wyznanie o metodach śledczych, jakimi się posługiwał.

Następne dni nie przyniosły nic szczególnego. Po rocznej izolacji nawet wśród tych ludzi czułem się nieźle, zwłaszcza że wszyscy mnie szanowali.

Więzienie w Będzinie było starą ruderą o dużych celach. Nasza należała wyjątkowo do mniejszych. Większość uwięzionych stanowili chłopi z okolicznych wsi, którzy weszli w kolizję z prawem na skutek waśni rodzinnych, zatargów z obszarnikami lub drobnych kradzieży. Duży procent stanowili bezrobotni, którzy nielegalnie wydobywali węgiel z biedaszybów, bądź też nędza pchnęła ich na drogę przestępstwa. Zawodowych kryminalistów było niewielu.

Większość więźniów siedziała z powodu różnych doniesień konfidentów policji i innych denuncjatorów. Dlatego kiedy mój proces rozgłosiła prasa, stałem się w więzieniu popularny. Współwięźniowie darzyli mnie sympatią, a wyrażali ją przez przesyłanie mi papierosów i książek.

Nawet główny kalefaktor, Tyrek, notoryczny kryminalista, zawsze pierwszą chochlę z kotła nalewał do mojej miski, mówiąc:

- Najedz się tłustego, żeby ci gładziej czas upływał. Jesteś bardzo młody, a masz już przed sobą taki duży wyrok. Z pełnym żołądkiem łatwiej przetrwać, bo z samych idei komunistycznych nie wyżyjesz. Podobasz mi się za to, że chciałeś wykończyć takiego sukinsyna.

Strażnik Sztandera, osobistość posiadająca największy autorytet wśród dozorców i więźniów, nie ukrywał, że ma dla mnie szacunek. Często polecał kalefaktorowi, by dał mi czystą odzież lub gęstą strawę.

To niepokoiło naczelnika i administrację; solidarność więźniów kryminalnych ze mną traktowali jako sympatię do komunizmu. Było to powodem, że wystąpili do prokuratury z żądaniem o przetransportowanie mnie do Katowic, gdzie siedzą polityczni. Urobili mi opinię groźnego dla otoczenia i zalecali ścisłą separację, pisząc, że szerzę propagandę wywrotową wśród pospolitych. Po niedługim czasie znalazłem się więc w Katowicach i w pierwszym okresie po przybyciu do nowego więzienia miałem dużo kłopotów z tamtejszą administracją.

XIV
Więzienie w Katowicach

Po Będzinie, gdzie nastrój panował prawie familijny, więzienie w Katowicach wywierało przygnębiające wrażenie.

Wejście z ulicy do budynku administracyjnego prowadziło przez żelazne bramy i zakratowane pasaże. Dalsze przejście do pawilonów, gdzie mieściły się cele, było również zabezpieczone w ten sam sposób. Więzienie katowickie było jednym z niewielu tego rodzaju gmachów, budowanym systemem niemieckim. Ażurowe schody o konstrukcji żelaznej łączyły się z wiszącymi balkonami, za barierami których mieściły się cele o małych, ciężkich drzwiach. Gdy stało się na parterze, dokładnie widać było całe wnętrze więzienia, które wyglądało jak ogromna hala fabryczna. Od góry z tafli sufitu sączyło się słabe światło, rzucając na schody niknące, mdłe cienie. Balkony o systemie krużgankowym łączyła na całej długości i szerokości każdego z trzech pięter gęsta siatka, która chroniła ewentualnych samobójców w razie skoku przed upadkiem na beton parteru. Na wysokości drugiego piętra urządzony był punkt dyspozycyjny, gdzie stale siedział przodownik administracyjny. Zawieszony pośrodku dzwon oznajmiał pory dnia, posiłków, apeli i innych czynności.

Kiedy w 1934 roku przybyłem z Będzina do więzienia w Katowicach, trafiłem akurat na okres rozpoczynającej się akcji przeciwko wprowadzeniu nowego regulaminu więziennego. (Dotychczas, w więzieniu w Katowicach, administracja traktowała więźniów politycznych względnie łagodnie w porównaniu z innymi więzieniami). Starosta komuny więziennej, Aleksandrow, został odizolowany i nawet na spacery chodził sam pod eskortą strażnika. Większość więźniów politycznych została przemundurowana, a część z nich, przeważnie nowoprzybyli, powędrowała na różne oddziały do cel, gdzie siedzieli kryminalni. Bardziej aktywni i bojowi towarzysze zostali przeniesieni do innych więzień.

Być może, że to nagłe zaostrzenie regulaminu w stosunku do więźniów politycznych nastąpiło w związku z przyjazdem komisji z departamentu więziennictwa Ministerstwa Sprawiedliwości, która badała okoliczności ucieczki z tego więzienia kilku szpiegów niemieckich. Zdarzenie to, jak wynikało z późniejszych komentarzy, odbyło się przy pomocy więziennego felczera, Niemca z pochodzenia, a zarazem członka V kolumny, który wspólnie z jednym strażnikiem umożliwił szpiegom ucieczkę.

Obostrzenie reżimu w pierwszym rzędzie skierowane było przeciwko więźniom politycznym, choć nie mieli z ucieczką nic wspólnego. Zaczęło się od tego, że o godzinie szóstej po południu więźniowie polityczni musieli złożone w kostkę ubranie wystawiać na korytarz, gdzie leżało aż do rannego apelu. Od tej chwili pozostawali w celi w samej bieliźnie. Na spacer zamiast dwójkami trzeba było teraz chodzić gęsiego z założonymi do tyłu rękami, przestrzegając zachowania przynajmniej metrowej odległości. Niektórych towarzyszy zmuszano do wspólnego spaceru z kryminalnymi.

Był zwyczaj, że rano chór składający się z więźniów kryminalnych odśpiewywał przed śniadaniem „Kiedy ranne wstają zorze", a wieczorem po kolacji: „Wszystkie nasze dzienne sprawy". Minister Sprawiedliwości, Michałowski, chcąc widocznie przypodobać się Panu Bogu, zarządził, by wszystkich więźniów politycznych zmuszać do przyjęcia postawy „baczność" w czasie odśpiewywania modlitw.

Każdego dnia, gdy dzwon dyspozycyjny dawał sygnał do rozpoczęcia tej ceremonii, strażnicy z całego więzienia gromadzili się na oddziałach więźniów politycznych i sprawdzali, czy podporządkowują się

wydanemu zarządzeniu. Niektórych zmuszano bijąc kluczami, innych zaś karano karcerem, twardym łożem, pozbawieniem odwiedzin, korespondencji i prasy.

Na początku stawialiśmy opór czynny, co pociągało za sobą coraz to nowe kary administracyjne. Komuna postanowiła więc obecnie zmienić taktykę z oporu czynnego na opór bierny, gdyż doszła do wniosku, że administracja i tak nie reaguje na różne formy naszych protestów i nawet w części nie spełnia żądań więźniów politycznych. Wręcz przeciwnie, każda akcja komunistów pociąga za sobą dalsze represje administracji i dalsze ograniczenia naszych praw, a nie należało dostarczać jej powodu do dodatkowego wyniszczania organizmu więźniów.

Bierny opór polegał na tym, że polityczni nie uznawali nowego regulaminu więziennego, zachowywali się jednak tak, by nie dając administracji powodów do represji, nie poniżyć swej osobistej godności. Taktyka ta sprawiła, że strażnicy patrzyli teraz przez palce na obostrzone przepisy regulaminowe, z biegiem czasu zaniechali kontroli cel i szykany ustały.

Nowoprzybyłych i w mniemaniu aparatu więziennego bardzo niebezpiecznych umieszczano na oddziale pierwszym, zaraz obok wejścia. Były tam małe pojedynki zwane „ajnclokami".

Mnie przydzielono locum na drugim piętrze. W tak małej celi jeszcze nie siedziałem. O spacerze - choćby pięć kroków naprzód i pięć w tył - nie było mowy, a to jest jedyna przyjemność więźnia. Pozbawiony tego, położyłem się więc do łóżka, gdyż po chwili siedzenia zmarzłem - nie miałem ciepłego ubrania. Leżąc, wsłuchiwałem się w ciszę więzienną. Sąsiad z prawej strony zaczął nucić półgłosem:

> Cela więzienna ma trzy kroki wzdłuż,
> Na ścianach się mieści i wilgoć i kurz,
> Rychło przewróci się stary ten świat,
> Powstanie w Polsce komunistyczny ład.

A więc, ku mojej radości, jestem wśród komunistów. Słyszę śpiew towarzysza:

> My na łańcuchach wiązani jak psy,
> W domu robocza nędza i łzy,
> Rychło przewróci się stary ten świat,
> Powstanie w Polsce komunistyczny ład.

Nagle piosenka urwała się. Na korytarzu wyraźnie słychać było zbliżające się kroki. To oddziałowy robił obchód na naszym piętrze. Czynność tę powtarzał co dwie godziny. Zaglądał przez judasza i sprawdzał, czy wszystko jest w porządku.

Wytężyłem słuch. Wiedziałem, że muszę dobrze poznać zwyczaje i regulamin służby wewnętrznej dozorców. Potrzebne to jest każdemu więźniowi, gdyż dzięki znajomości zwyczajów więziennych może uniknąć wielu kar, załatwiając różne sprawy w czasie nieobecności dozorców.

Kroki powoli oddaliły się i rozpłynęły w ciszy. Zastukałem do rozśpiewanego sąsiada. Alfabetem Morse'a podałem moje nazwisko i więzienie, skąd przybyłem. Zaraz otrzymałem tą samą drogą odpowiedź:

„Znam cię dobrze. Jutro na spacerze o wszystkim pomówimy. Nazywam się Benno Krebs. Jestem z Katowic".

„Ja o tobie też słyszałem. Zdaje mi się, że dostałeś dwa lata?"

„Zgadza się. Jestem teraz na izolacji. Jak długo to jeszcze potrwa - nie wiem".

„Kto siedzi po mojej lewej stronie?"

„KZM-owiec ze Śląska. Przyprowadzili go dzisiaj, parę godzin przed tobą. Próbuj do niego zastukać".

Po moim dyskretnie wystukanym zapytaniu przykładam ucho do ściany i w ciszy oczekuję odpowiedzi. Okazuje się, że nowy towarzysz nie zna jeszcze systemu porozumiewania się i wali butem czy czymś ciężkim w ścianę, aż dudni w całej celi. Z uderzeń tych nie dowiedziałem się o nim niczego, gdyż walił mechanicznie, co oznaczało, że nie zna alfabetu. Trzeba odłożyć zapoznanie do rana, kiedy wyjdziemy na wspólną przechadzkę.

Następnego dnia poznałem swych obu sąsiadów. Kiedy tylko ustawiliśmy się do spaceru, Benno stanął za mną, by podczas godzinnej przechadzki poinformować mnie, co nowego w komunie.

Chociaż rozmowy na spacerze były zabronione, prowadziliśmy je jednak, wprawdzie ostrożnie, ale dozorcy i tak patrzyli na to przez palce. Toteż gdy oddziałowy stanął na swoim miejscu, zapytałem :

- Co słychać nowego, jakie są instrukcje? Przybyłem z więzienia, gdzie nie było więźniów politycznych, i nic nie wiem.

Nie oglądając się, słucham odpowiedzi towarzysza, który kroczy tuż za moimi plecami.

- Jest w tej chwili akcja ogólnokrajowa. We wszystkich więzieniach wprowadzają siłą hitlerowskie porządki. W Mysłowicach połowa towarzyszy choruje na skutek bicia i innych szykan. Dwóch KZM-owców - jeden z nich to Mietek Wojas - zostało tak pobitych, że po kilku dniach zmarli.

Jest to pierwsza wiadomość o śmierci mojego serdecznego przyjaciela, aresztowanego parę tygodni po mnie. Pytam o szczegóły, ale Benno nic więcej nie wie. Wiadomość tę zna tylko z komunikatu.

- A jak tu wygląda sytuacja?

- Dotychczas więzienie to było reprezentacyjne. Oprowadzano po nim zagranicznych turystów i dziennikarzy, by pokazać, jak w Polsce rząd traktuje swoich przeciwników politycznych. Teraz i to jest już im niepotrzebne, toteż przypuścili atak na całego i chcą nas zrównać z pospolitymi.

- Czy wszyscy towarzysze są już przemundurowani w więzienne łachy? - zapytałem.

- Około 70% zostało siłą przebranych w katorżnicze mundury. Wszyscy, którzy stawiali opór, zostali rozebrani do bielizny i wtrąceni na trzy dni do ciemnego karceru. Jest instrukcja z MOPR-u, by nie stawiać dalej oporu.

- Kto jest starostą komuny?

- Towarzysz Aleksandrow z Warszawy, ale przez administrację nie został uznany. Cała komuna jest rozrzucona po wszystkich oddziałach, gdzie siedzą pospolici. Aktyw jest ściśle odizolowany.

- Czy jest stały kontakt z MOPR-em, bo chciałbym zawiadomić rodzinę, gdzie jestem.

- Jeszcze dzisiaj dam znać, by zawiadomić twoich, że zostałeś tu przetransportowany. Kontakt jest.

- Jakie jest nastawienie z wolności?

- Nie dać się sprowokować do głodówki, gdyż to pociąga za sobą surowe kary, a nie osiąga się żadnych rezultatów. W całym kraju jest taki kurs, by głodować tylko w ostateczności.

- Koniec spaceru! - zakomenderował dozorca. Gęsiego, tak jak dotychczas chodziliśmy, udajemy się do swoich klatek. Mam teraz parę minut do momentu przekroczenia progu celi. Korzystam z tego, by pomówić z drugim sąsiadem, Karolem Tkoczem, młodziutkim działaczem ze Śląska. Jest jeszcze pod wrażeniem śledztwa, bo mu porządnie złoili skórę, ale trzyma się dzielnie. Dogadujemy się szybko, że po obiedzie, kiedy będzie cisza, przyłożymy garnuszki do otworów wentylatorów i zbliżając do nich ucho jak do słuchawki telefonicznej, będziemy się porozumiewać.

- Kapujesz - pytam go - jak to robić?

- No, taki „zielony" to nie jestem, choć w więzieniu znalazłem się po raz pierwszy.

Po chwili jesteśmy wszyscy w swoich separatkach.

Lekarstwem na tęsknotę, cierpienie i samotność była książka i piosenka. Nikt nie tracił nadziei, gdyż czuł się członkiem wielkiej rodziny towarzyszy przebywających tak w więzieniu, jak i na wolności. Dlatego też przyjaźń zawarta w więzieniu wiązała nas braterskim uczuciem.

Ciszę i samotność moją przerwał wkrótce Karol, dając znak, że gotowy jest do prowadzenia rozmowy. Trwała ona krótko. Zdążyłem mu tylko przekazać informacje uzyskane od Krebsa i dogadaliśmy się, że wywiercimy dziurkę w otworze wentylacyjnym, aby w ten sposób łatwiej nam było rozmawiać.

Otwory wywietrzników umieszczone były w naszych celach na jednym poziomie, na wysokości kilkunastu centymetrów od podłogi. Przedzielała je wprawdzie wewnątrz cienka ścianka, ale przewiercenie otworu nie nastręczało specjalnych trudności tym bardziej, że był on niewidoczny dla niewtajemniczonego.

Zamiar nasz szybko zrealizowaliśmy i w wolnych chwilach mogliśmy sobie swobodnie prowadzić pogaduszki, które uprzyjemniały nam długie godziny samotności.

Po paru dniach Karol poczuł się w swoim żywiole, szybko dogadał się z kalefaktorami Ślązakami i przez nich mogliśmy kontaktować się z towarzyszami z innych oddziałów.

Okna nasze wychodziły na plac Andrzeja i często w niedzielę lub przed wieczorem przychodziły tam znajome Krebsa, i choć z daleka można było popatrzeć na miłe, przyjazne nam twarze.

Po paru dniach bliżej poznałem Benna i zostaliśmy przyjaciółmi aż do momentu jego śmierci. Zginął w obronie Lwowa w 1941 roku.

Krebs był działaczem KZMP ze Śląska, z zawodu elektromonterem, średniego wzrostu, zawsze uśmiechnięty, o żywych, gorejących oczach. Był wesoły i bardzo koleżeński. Ale przede wszystkim -

śpiewał. Miał niski, metaliczny głos i bardzo bogaty repertuar. Znał wiele piosenek polskich, ukraińskich i niemieckich. Często za głośny śpiew karany był karcerem, twardym łożem, pozbawieniem widzeń lub gazet. Nie mógł jednak zrezygnować z tej jedynej dla niego przyjemności. Jeszcze na wolności jego piękny głos był powszechnie znany, a znajomość wielu pieśni rewolucyjnych zaskarbiła mu u towarzyszy i przyjaciół podziw i sympatię.

Każdy człowiek ma jakieś dziwactwa. Jeden zbiera znaczki, inny fotosy artystów. Krebs natomiast skrupulatnie kolekcjonował rękopisy odezw, wiersze pisane w więzieniach przez towarzyszy i nigdzie nie publikowane, a przede wszystkim piosenki znanych i nieznanych kompozytorów rewolucyjnych. Zbierał również spisy więźniów politycznych, wyroki sądowe, różne wycinki z codziennej prasy, opisujące działalność komunistów. Gromadził to przez wiele lat, nawet podczas pobytu w więzieniu, i całość przechowywał pod płytą jakiegoś starego grobowca na cmentarzu przy ulicy Kozielskiej, gdzie krewny jego był grabarzem.

Niestety miejsce ukrycia tych materiałów zostało jego tajemnicą. Zabrał ją do grobu. Mnie pozostał po nim w pamięci urywek może nieudolnego tekstu ułożonego przez nieznanego autora, który Krebs na melodię „O mój rozmarynie" śpiewał często towarzyszom, gdy szli na rozprawy sądowe:

...pójdziesz do Sosnowca
jak zbłąkana owca
spowiadać się.
Tam cię zapytają, jaki twój grzech.
Na duchu nie upadaj,
śmiało do nich gadaj,
odpowiadaj za trzech.
A jak ci powiedzą: masz latek sześć.
Powiedz im - niech wiedzą,
oni to odsiedzą,
sędzia, szpicel, kat.

Po paru tygodniach wspólnego sąsiedztwa, trójka nasza rozpadła się. Mnie z Karolem przeniesiono o piętro niżej, a Benno powędrował do karceru. Kara ta spotkała nas za to, że porozumiewaliśmy się z dziewczętami z wolności, co nie uszło uwagi dozorcy więziennego.

Choć nowe miejsce było pod każdym względem takie samo, jak poprzednie, czułem się w nim obco i minęło parę dni, zanim przyzwyczaiłem się do nowej celi. Zaraz spróbowałem „telegrafować" do sąsiada z lewej strony, ale nie dostałem odpowiedzi, choć wyraźnie słyszałem, że tam ktoś siedzi. Trzeba było poczekać do rana, by zobaczyć, co to za jeden.

Nazajutrz, gdy tylko dozorca otworzył drzwi, wywołując nas na ranny spacer, z sąsiedniej celi wyszedł przystojny, dystyngowany mężczyzna, lat około trzydziestu pięciu, ubrany bardzo elegancko. Przy czarnym garniturze wyraźnie kontrastowała śnieżna biel koszuli, krawat zastępowała oryginalna w kształcie muszka, a na nogach połyskiwały wytworne lakierki. Gdy dozorca odwrócił się, zapytałem go:

- Polityczny?

- Nie.

- Skąd?

- Z Rosji.

- Nie rozmawiać! - ryknął oddziałowy i zaraz odizolował od nas nowego sąsiada.

- Wiesz co? - mówię do Karola - Może to jest jakiś dyplomata radziecki i dlatego nie chce się do nas przyznać; i może szykują jakąś nową prowokację?

- Może, ale w takim razie powinni go wziąć do Warszawy.

Podczas spaceru głowiliśmy się, kim jest nasz nowy sąsiad i zadecydowaliśmy dać znać do zarządu komuny; może oni coś więcej o nim wiedzą.

Po południu otrzymałem od trójki gryps na bibułce. Okazało się, że zarząd komuny nic nie wiedział o Rosjaninie i z kolei nam dał zadanie, aby dowiedzieć się o nim coś konkretnego i w razie potrzeby udzielić mu pomocy.

Przy kolacji podałem mu przez kalefaktora gazety i książki. Rano spróbowałem ponowić rozmowę, ale jakoś się nie kleiła.

- Czy pan ze służby dyplomatycznej?

- Nie, jestem na emigracji. A panowie za co siedzą?

- Jesteśmy polityczni, ja już po wyroku, a Karol jeszcze w śledztwie. Może pan potrzebuje czegoś: jedzenia albo papierosów?

- Nie - odpowiedział. - Codziennie otrzymuję obiad z restauracji i jeszcze ja mogę panom pomóc.

Oddziałowy znów zauważył, że rozmawiamy. Zagroził napisaniem raportu karnego.

Tymczasem sprawa ta coraz bardziej nas intrygowała. Że nasz sąsiad jest Rosjaninem, nie mieliśmy wątpliwości, bo mówił charakterystycznym akcentem i mocno kaleczył język polski. Ale coś nam tu nie pasowało - biały emigrant z Rosji i więzienie.

Zauważyliśmy, że władza więzienna odnosi się do niego z całym szacunkiem.

- Mądry - mówię do Karola. - Umie zachować się w każdej sytuacji.

- A coś ty myślał? W ZSRR wszyscy mogą się kształcić. Byliśmy na tyle naiwni, że nie wpadło nam do głowy, by skojarzyć nazwisko więźnia z rodziną carską. Po paru dniach historia się wyjaśniła. „Tempo Dnia" na tytułowej stronie umieściło fotografię naszego sąsiada pod szumnym tytułem: „Potomek rodziny carskiej, książę Romanow, aresztowany za oszustwo i aferę". Gazeta ta wpadła w ręce Karola. Okazało się, że książę, którym opiekowała się jedna polska rodzina arystokratyczna, wyłudził od niej czy ukradł cenną kolekcję klejnotów rodzinnych. Za to został aresztowany.

Była to sobota i udaliśmy się do łaźni partiami po 20 osób. Pod prysznicem nikt nie mógł już przeszkadzać w rozmowach. Karol stanął przy Romanowie i prosto z mostu zagadnął go:

- Ty, Romanow, ja wcale nie wiedziałem, żeś ty książę. Dostałem wczoraj gazetę. Ale cię tam obmalowali na całej stronie! Zaraz cię poznałem na fotografii.

Romanow milczał. Wcale nie czuł się obrażony, że Karol go „tyka", ale nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Jak wyjdziemy z łaźni, to dam ci tę gazetę, żebyś sobie mógł przeczytać, co o tobie piszą.

Ode mnie dostał na dodatek kilka zwrotek piosenki o białym emigrancie:

Biedny ja emigrant biały
W obcym kraju żyję gdzieś,
Bolszewiki mi zabrały
Dwie fabryki, sporą wieś.
Dawniej chłop mi buty czyścił,
Dziś w warunkach żyję złych,
Czekam, aż się sen mój ziści,
Aż wypędzim znowu ich.
Chciałbym pędzić życie słodkie,
Grać wieczorem w wista,
Rano czaj, w południe wódkę,
Rzecz to oczywista...

„Książę" wcale się o to nie obraził.

Tak zakończyła się ta śmieszna historia z naszym domniemanym dyplomatą radzieckim.

Nie dałbym pełnego obrazu życia więźniów katowickich bez scharakteryzowania jeszcze jednej postaci. Szczekociński wprawdzie niedługo siedział na Mikołowskiej, ale przez wiele lat był nierozerwalnie związany z komuną więźniów politycznych. Znał na pamięć nazwiska wszystkich, wiedział, o co kto jest oskarżony i jaki dostał wyrok. Mury więzienne przyciągały go jak magnes. Od rana do wieczora kręcił się wokół nich i kiedy tylko spojrzało się przez kratę na plac Andrzeja, „Kusok" Szczekociński stał i wpatrywał się w okna celi.

Są ludzie, których natura stworzyła do tego, by pomagać innym, a Szczekocińskiego ponadto głęboka wiara w słuszność idei cierpiących doprowadziła do poświęcenia temu całego życia.

Zresztą prawie każde więzienie miało takiego „etatowego" opiekuna. W Sosnowcu był nim starszy towarzysz, z zawodu piekarz - Froim, w Cieszynie cała rodzina Liefschytz. W Katowicach funkcję tę pełnił Szczekociński i choć często organizacja MOPR-owska była rozbita czy ogniwa partyjne chwilowo zlikwidowane - on zawsze stał na posterunku. Znali go w policji i w więzieniu, ale za samo podawanie paczek nie można było sądzić, toteż Ryczkowski, naczelnik do spraw bezpieczeństwa przy wojewodzie w Katowicach, dwukrotnie wystąpił z wnioskiem o osadzenie go w Berezie. Pierwszym razem autonomiczny sejmik śląski odmówił swojej zgody, za drugim razem sejmik był już rozwiązany i w rezultacie w 1937 roku Szczekociński powędrował do Berezy.

Opieka nad więźniami nie była rzeczą łatwą. Należało znaleźć dla zamiejscowych towarzyszy niby narzeczoną, kuzynkę lub przyszywaną ciocię, by w ten sposób upozorować więzy rodzinne, gdyż

inaczej nie można było ani podawać wałówki, ani otrzymać widzenia dla podtrzymania łączności z komuną.

Podczas takich czynności można było szybko znaleźć się za kratkami. Mógł to spowodować przypadek lub lekkomyślność. A oto jedna historyjka, która na szczęście zakończyła się niegroźnie.

Kierowniczka biblioteki publicznej, Niemka z pochodzenia, była naszą sympatyczką. Od niej to Szczekociński pożyczał zawsze książki, które później rozdzielał wśród wyszukanych przez siebie „krewniaków", a ci z kolei podawali je więźniom.

Jedna z tych książek znalazła się we wspólnej celi, gdzie siedziało trzech towarzyszy, w tym Krebs. Właśnie w wolnej chwili zabawiali się oni wymyślaniem własnych tez do programu i statutu partii i wypociny te chowali do książki. Zbiegło się to akurat z karą pozbawienia politycznych literatury i prasy i dozorca zabrał książkę, z której nie zdążyli wyjąć napisanego elaboratu. W piątek, podczas podawania wałówek, administracja zwróciła rodzinom książki i inne rzeczy. I tak wspomniany tom odebrany został przez Szczekocińskiego zaraz przed bramą więzienia i zwrócony wraz z innymi do biblioteki. Traf chciał, że po paru dniach tę samą książkę wypożyczył prokurator sądu katowickiego. Niespodzianką było dla bibliotekarki, kiedy została wezwana do sędziego śledczego w celu wyjaśnienia tej sprawy.

Książek wydawanych Szczekocińskiemu nie zapisywała oczywiście do kartoteki i rejestru czytelników. Toteż po sprawdzeniu okazało się, że jako ostatnia książkę tę czytała żona Ryczkowskiego, naczelnika do spraw bezpieczeństwa przy wojewodzie w Katowicach. Wyniknął z tego więc paradoksalny fakt, że tylko ona mogła zostawić takie notatki. Oczywiście nie sposób było jej podejrzewać o komunizm, nie wszczęto więc żadnego dochodzenia, ale komuna więzienna straciła niestety dostęp do tej biblioteki.

A oto spis więźniów politycznych z tego okresu, przebywających w więzieniu w Katowicach, którymi Szczekociński opiekował się z ramienia Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom, zestawiony z pamięci przez niego samego:

1. Aleksandrów Włodzimierz (Zawadzki)
2. Aleksandrowicz Karola
3. Ankier Felicja
4. Balla Józef
5. Bery Halina (Kozakowa)
6. Birencwajg Józef
7. Birkenfeld Józef
8. Burgin Juliusz
9. Deparasiński Ryszard
10. Drobiarz Hanna
11. Działachowa
12. Działowska Maria
13. Dziedzic Jerzy
14. Dziekan-Lorkowa Janina
15. Dziekan Edwarda

16. Dziekan Maria
17. Figuła Franciszek
18. Firstenberg Stanisław
19. Fischer Sonia
20. Fojcik Franciszek
21. Gerlich Roman
22. Giler Barbara
23. Golenia Franciszek
24. Gomułka Władysław
25. Górecki Jan
26. Gordon Julian
27. Gribel Ernest
28. Grinbal Natek
29. Gruszka Józef
30. GutermanHenryk
31. Gutman Róża
32. Gwiazdowski Ernest
33. Izydorczyk Jan
34. Jaszuński Salomon
35. Kantor Józef
36. Kalinowski Mieczysław
37. Kawalec Jan
38. Klajnberger Tosia
39. Kniewski Mieczysław
40. Kolski Witold
41. Kozioł Kazimierz
42. Korzeniowski Rafał
43. Kowalska
44. Krebs Benno
45. Krotman A.
46. Kubicki
47. Kubiczek Acik
48. Lamuzga Jerzy
49. Laudon Bluma
50. Lapter Karol
51. Ludwikowski Paweł
52. Machoński Paweł
53. Manela Lola
54. Margules Róża
55. Markiewka Paweł
56. Maroń Józef
57. Merc Bronisława
58. Naum Ludwik
59. Nierychło Wincenty
60. Niestrój Jerzy

61. Nieszporek Ryszard
62. Oderberg Dora
63. Palus Józef
64. Paszta Tadeusz
65. Październierski Jan
66. Piecha Alfred
67. Pieczko Franciszek
68. Pludra Franciszek
69. Prywes Seweryn
70. Przybyszewski Stanisław
71. Radkiewicz Stanisław
72. Restel Kurt
73. Ritau Fryderyk
74. Rolnik Gerhard
75. Rolnik (brat)
76. Romkowski Roman
77. Schabowa Józefa
78. Solik
79. Staszewski Stefan
80. Stysz Florian
81. Szternlicht Anna
82. Swierczyna
83. Tkocz Karol
84. Torka Józef
85. Trom-Gordon Elfryda
86. Winiawski Leon
87. Wojaczek Emil
88. Woźniak Wiktor
89. Woźniak Maria
90. Zawadzka Stanisława
91. Zielonka Maria
92. Żymła Franciszek

Spis ten oczywiście jako materiał odtworzony z pamięci nie zawiera wszystkich nazwisk. Razem w tym okresie siedziało bowiem przeszło 100 osób.

XV
Komuna więźniów politycznych w Cieszynie

Szybko minął mi rok pobytu na Mikołowskiej w Katowicach, mimo że przez cały ten czas byłem izolowany na oddziale separatek. W pierwszej połowie 1935 roku wszystkich siedzących z wyroku przerzucono do innych więzień, by w ten sposób łatwiej poradzić sobie z wprowadzeniem faszystowskiego regulaminu. Mnie wysłano do Cieszyna. Przyjechałem tam w nocy, wraz z dwoma towarzyszami: Naumem i Ludwikowskim.

O Cieszynie słyszałem od najmłodszych lat jako o malowniczym miasteczku położonym nad Olzą i otoczonym łańcuchem gór. W domu mówiono, że tamtejsze powietrze jest ostre, zdrowe i dlatego miejscowość ta nadaje się do klimatycznego leczenia. Będąc jeszcze dzieckiem, chciałem zobaczyć słynną Bracką Studnię stojącą w miejscu legendarnego spotkania Lecha, Czecha i Rusa, ale warunki materialne nie pozwoliły matce spełnić mojego, nawet tak skromnego życzenia.

Gdy wysiedliśmy z pociągu, pomyślałem o tym i zwróciłem się do eskortującego policjanta:

- Parę lat temu bardzo chciałem zwiedzić to miasto, ale z braku pieniędzy na przejazd musiałem czekać do dnia dzisiejszego, aż rząd sfinansuje mi koszta podróży.

- Zwiedzi pan miasto, ale dopiero za... sześć lat. Na razie obejrzy pan sobie „zabytkowe" więzienie, które jest podobno urządzone bardzo nowocześnie - odparł.

Poprowadził nas przez ciemne ulice, wzdłuż których przysiadły domki w ogródkach, poprzedzielane niewysokimi starymi kamieniczkami.

Ciekaw byłem tego więzienia, gdyż wśród towarzyszy krążyły opowieści o tym, że kiedyś było ono swoistym curiosum, wysepką w morzu surowego regulaminu innych sanacyjnych więzień. Jakieś połączenie sanatorium z uczelnią dla więźniów politycznych, gdzie w specjalnej auli prowadzono wykłady z zakresu wiedzy marksistowskiej i urządzano przedstawienia teatralne w sali świetlicowej z udziałem aktorów-więźniów obu płci. Tym, którzy odsiadywali kary w innych więzieniach, trudno było w to uwierzyć. Załączam jednak wspólne zdjęcie komuny więziennej z tego okresu, co w jakiś sposób świadczy, że istotnie warunki tam były lepsze niż gdzie indziej. Niestety, ta właśnie fotografia stała się powodem rozbicia komuny i rozrzucenia jej członków po innych więzieniach w całym kraju. Przez parę lat następnych nie osadzano tam żadnych więźniów politycznych. Jedynie w wyjątkowych wypadkach, jeśli władze chciały kogoś tak ściśle izolować, by odciąć go nawet od cienia możliwości kontaktu z towarzyszami - robiono wyjątek od tej reguły. Teraz jednak byliśmy we trzech, toteż nie mogłem oprzeć się nadziei, że zastanę tu choć ślad atmosfery z tamtych dobrych czasów.

Ale oto już więzienie. Spodziewałem się, że ujrzę tradycyjną żelazną bramę z zakratowanym wejściem do budynku administracyjnego. Tymczasem weszliśmy do przedsionka przypominającego hall wielkiego urzędu lub banku. Strażnik otworzył szklane, zakratowane drzwi i znaleźliśmy się w więziennym korytarzu, gdzie uderzała szpitalna wprost czystość.

Szybko jednak opuściło mnie pierwsze przyjemne wrażenie, bo przodownik Góralik powitał nas dość ordynarnie, obiecując, że tu dopiero poznamy prawdziwy smak więzienia i na zawsze odechce nam

się komuny. Nie bardzo nas przestraszył, bo cóż mogło być gorszego od „ajncloków”? Siedziałem już w tak małej celi, że mniejsze chyba nie istnieją.

Istotnie już po chwili zostałem wprowadzony do pojedynczej celi. Po dotychczasowych doświadczeniach uznałem ją na razie nawet za bardzo ładną. Metrażem przekraczała chyba czterokrotnie katowickie „ajncloki”. Urządzona skromnie, ale czysto, miała szafkę, stolik i krzesło; żelazne łóżko przymocowane było do ściany. W pierwszej chwili wydało mi się, że w oknie nie ma krat. Złudzenie to dawały malutkie tafelki szyb, bezpośrednio wprawione do zakratowanej ramy pomalowanej na biało. Widocznie przodownik Góralik nie znał innych więzień i nie wyobrażał sobie, by mogło być gdzieś gorzej niż tu.

Jednak mimo tych na pozór korzystniejszych warunków myśli moje nie były wesołe. Siedziałem znów sam. Czy zamierzają trzymać mnie tak w izolacji przez ponad sześć lat? - bo tyle pozostało mi do końca wyroku. Na razie odsiedziałem dwa i pół, i to przeważnie w pojedynce. Nie ma rady, trzeba zacisnąć zęby i trwać w nadziei, że może los odmieni się na lepsze.

Po paru dniach dowiedziałem się, że stopniowo przybywają tu komuniści z innych więzień, szczególnie z Bielska, Lwowa, Wadowic i Piotrkowa. Były to przeważnie małe grupki liczące do trzech towarzyszy. Zastosowano wobec nich taką samą izolację, jak w stosunku do mnie. A więc jest to taktyka ogólna.

Na razie nie było mowy o porozumiewaniu się z towarzyszami. Nie znałem dozorców i kalefaktorów ani też planu rozmieszczenia oddziałów. W przeciwieństwie do Katowic czy Mysłowic więźniowie byli tak odseparowani, że siedzącego w sąsiedniej celi towarzysza można było nie widzieć nawet przez kilka miesięcy, jeśli administracji na tym zależało. Sprzyjała temu struktura i urządzenie wnętrza, pomyślane tak, by więzień pozbawiony był kontaktu z otoczeniem. Otwieranie cel ograniczone było do minimum, posiłki roznoszono na tacach w aluminiowych naczyniach zwanych kandlami, specjalnie dopasowanych do otworów w drzwiach, przez które je podawano.

Okna naszych cel wychodziły na podwórze, po którym tylko od czasu do czasu przesuwała się sylwetka strażnika lub pracownika administracji. Z lewej strony widoczny był róg skrzydła ogólnych cel więźniów kryminalnych. Plac spacerów znajdował się pośrodku zamkniętego czworoboku bloków więziennych i można go było obserwować jedynie z okien korytarzy. Przez pierwsze trzy miesiące nie udało mi się nawiązać kontaktu z wolnością ani też z rodziną. Widocznie listy były konfiskowane. Moje kilkakrotne usiłowania, żeby dostać się do raportu do naczelnika, spełzły na niczym. Wszystkie moje żądania przodownik kazał przekazywać sobie, po czym uznawał je za bezpodstawne i kwitował odmową.

Przyczyną takiego stanu rzeczy była słabość naczelnika Bełtowskiego do więźniów politycznych, o czym strażnicy wiedzieli doskonale. Nie dopuszczali więc do tego, by naczelnik szedł nawet na najmniejsze ustępstwa wobec politycznych. Bełtowski za tego rodzaju tolerancję miał już kilkakrotnie wiele nieprzyjemności, czy więc była to u nich troska o zwierzchnika, czy jakieś nastawienie dane strażnikom od jego władz nadrzędnych - fakt jednak pozostawał faktem. Toteż przy pierwszej już wizytacji prokuratora, do którego rzadko zwracaliśmy się z żądaniami, gdyż i tak ich nie aprobował, wniosłem zażalenie na przodownika o to, że pomimo mojego nienagannego zachowania się jako więźnia nie chce dopuścić mnie do naczelnika, przekraczając tym samym przepisy regulaminu.

Zostałem więc nareszcie zapisany do raportu. Przygotowałem się do niego solidnie. Wiedziałem od towarzysza Bando, starosty komuny tego więzienia jeszcze za dobrych czasów, że naczelnik Bełtowski jest emerytowanym oficerem rezerwy, człowiekiem starej daty i że ma swój własny pogląd na tzw. „wychowywanie więźniów". Mając poparcie w sferach arystokratycznych, szczególnie u hrabstwa Tohn, nie obawiał się zbytnio pewnych posunięć, które często nie znajdowały zrozumienia w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Uważał, że komunistów, a zwłaszcza młodzież o poglądach rewolucyjnych, przebywającą w więzieniu, można wychować na „porządnych obywateli" nie przez stosowanie kar, ale drogą łagodnej perswazji i doborem odpowiedniej lektury. Toteż po rzeczowej dyskusji zawsze można było u niego coś uzyskać.

W drodze do jego gabinetu dozorca kilkakrotnie pouczał mnie, bym stanął na baczność i zameldował swoje wejście. Wszedłem jednak swobodnie i ukłoniłem się mówiąc:

- Dzień dobry. Nazywam się Leon Winiawski. Nie była to konwencjonalna forma meldowania i nie poniżała mojej godności więźnia politycznego, a naczelnikowi wystarczała do uznania, że regulaminowi stało się zadość.

- O co wam chodzi? Macie jakieś prośby czy zażalenia? - zapytał.

- Panie naczelniku - zacząłem, stojąc w przyzwoitej odległości od biurka - nowego regulaminu nie uznajemy, ale przestrzegamy wszystkich zarządzeń administracji. Nie ma do nas żadnych pretensji, a tymczasem zarząd więzienia stosuje tu taki rygor, jakiego nigdzie dotychczas nie spotkałem. Tak ścisłej separacji wyrok owych nie przewiduje nawet nowy regulamin. Jeśli ten stan rzeczy nie ulegnie zmianie, będziemy musieli rozpocząć strajk głodowy, bo nie mamy nic do stracenia.

Była to tylko demonstracyjna groźba, bo nie miałem z towarzyszami żadnego kontaktu, ale naczelnik o tym nie wiedział, a zawsze podejrzewano nas o więcej niż robiliśmy.

- Komuny nie uznaję. Regulamin tego zabrania. Możecie mówić tylko w swoim własnym imieniu. Starostów teraz nie ma.

Zerknąłem na blat biurka i zobaczyłem, że leży na nim moja teczka personalna. Widocznie przeglądał ją przed chwilą.

- Mówię w swoim własnym imieniu. Ale jeśli te drakońskie praktyki nie zostaną zniesione, to nie będzie dla nas innego wyjścia, jak śmierć głodowa.

- Niech pan się tak nie gorączkuje. Proszę siadać, pomówimy spokojnie. Ile pan ma lat?

- Dwadzieścia dwa.

- Za wcześnie zabrał się pan do polityki. Więzienie to nie dom wypoczynkowy. Chyba pan zdaje sobie z tego sprawę?

Bełtowski mówił do mnie spokojnie i już samo to, że przeszedł na „pan" i zaproponował, bym usiadł, świadczyło, że przełamałem pierwsze lody i na pewno nie odejdę z niczym. Orientowałem się, że chce mieć spokój i nie lubi zatargów, gdyż siedzi tu jak u pana Boga za piecem. Toteż nie dałem się zbić z tropu.

- Samo pozbawienie człowieka wolności za jego przekonania polityczne i umiłowanie idei jest karą wystarczającą, nie musi się stosować dodatkowych represji. Nawet zaborcy nie robili tego w stosunku do patriotów walczących o niepodległość - mówiłem

Trafiłem w jego słaby punkt. Zrazu nie odpowiedział, wreszcie bez przekonania rzekł:

- Przepisy nowego regulaminu są szczególnie surowe dla komunistów. Muszę je przestrzegać, bo po to tu jestem.

- Traktuje się nas jak pospolitych, ale jednocześnie pozbawia się nas wszystkiego, co im jest dozwolone. Konstytucja mówi, że wszyscy obywatele są równi wobec prawa. Pan naczelnik nie powinien inaczej interpretować ustawy zasadniczej - nie dawałem się.

- A o co właściwie panu chodzi? - spytał mnie konkretnie dopiero teraz, mimo już kilkunastominutowej rozmowy.

- Przede wszystkim prosiłbym pana naczelnika o zniesienie izolacji i o wspólną celę z więźniami politycznymi.

- Zobaczę, czy da się coś zrobić. Jeśli będą wyrokowi, to prośbę uwzględnię. Jakie żale jeszcze macie?

- Mam jeszcze jedną prośbę o zezwolenie na otrzymywanie książek i gazet. W Katowicach pani Sempołowska prenumerowała mi „Gazetę Polską" i dziennik ten mam opłacony. Chciałbym więc dalej korzystać z prasy.

- Tego nie zabroniłem. Dzisiaj jeszcze dostanie pan wszystkie zaległe numery.

Rozmowa nasza dobiegała końca. Bełtowski, uśmiechając się, zadał mi jeszcze jedno pytanie:

- Ciekaw jestem, jak by pan lub jego towarzysze postąpili ze mną w odmiennych warunkach. Czy też byście tak samo poszli na ustępstwa? Chyba komuniści nie są do tego zdolni?

- Komuniści walczą otwarcie ze swoimi wrogami i nie są mściwi - odparłem.

Po dziesięciu latach moje słowa sprawdziły się. Gdy prokurator Peche, ten sam, który przed wojną wizytował więzienie, ponownie objął urząd prokuratorski w Cieszynie w 1945 roku, chciał aresztować Bełtowskiego pod jakimś pretekstem, by w ten sposób pozbyć się ewentualnego świadka swoich przestępstw, za które zresztą został później ukarany. Stanąłem wtedy w obronie Bełtowskiego. W późniejszych latach, kiedy pracowałem w Cieszynie, były naczelnik więzienia odwiedził mnie kilkakrotnie i nigdy nie odmawiałem mu pomocy w załatwieniu jego spraw. W 1955 roku wystąpiłem z wnioskiem do Wojewódzkiej Rady Narodowej o przyznanie mu renty starczej, która mu się należała i którą otrzymał.

Po tej małej dygresji wróćmy jednak do dalszych losów więźniów komuny cieszyńskiej.

Po paru dniach przyprowadzono do mojej celi dwóch nowych towarzyszy. Tak więc Bełtowski spełnił moją prośbę. Współmieszkańcami mojej celi stali się: Artur Neuman i Mieczysław Radziuk. Ten ostatni pochodził z Ukrainy i miał czteroletni wyrok. Przyjechał ze Lwowa.

Artek Neuman pochodził z Andrychowa. Przed aresztowaniem był sekretarzem podokręgu KPP Bielsko-Cieszyn. Miał pięcioletni wyrok. Neuman był jedną z najpiękniejszych postaci komuny cieszyńskiej. Syn rodziny mieszczańskiej z Andrychowa, student Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, od najmłodszych lat związał się z ruchem robotniczym. Po śmierci rodziców sprzedał pozostawioną mu dość dużą schedę, połowę przekazał swojej siostrze Irmie, a swoją część ofiarował na cele organizacyjne, szczególnie na pomoc dla więźniów politycznych. Gdy go poznałem, miał około dwudziestu ośmiu lat. Był człowiekiem o głębokiej wiedzy marksistowskiej, któremu obcy był dogmatyzm i sekciarstwo. Przez dwa lata dzięki swoim zdolnościom potrafił postawić organizację okręgu bielsko-cieszyńskiego na wysokim poziomie, a nie było to łatwe w warunkach nielegalnych. Już od pierwszych dni swego pobytu w celi zabrał się do opracowania planu łączności między wszystkimi więźniami politycznymi. Chciał wznowić działalność komuny więziennej.

Miał już wówczas kontakt z MOPR-em przez swojego adwokata, dr Sandhausa, i przez jego aplikanta, mgr Hoffmana.

Nareszcie więc znalazłem się w gronie ludzi mi bliskich, towarzyszy. Artek pokochał mnie jak własnego brata. Żona jego, Nusia, przed paroma tygodniami wyszła z naszego więzienia, gdzie siedziała w śledztwie, a na rozprawie została uniewinniona. Teraz regularnie co tydzień otrzymywaliśmy od niej paczki żywnościowe, książki i inne niezbędne rzeczy.

Rzeczą najtrudniejszą do zniesienia dla więźnia jest osamotnienie. Gdy nas izolowano, każdy musiał liczyć tylko na siebie i na własną orientację. Bez udziału towarzyszy niewiele można było zrobić; jedynie w zespołowym działaniu tkwi siła, z którą trzeba się liczyć.

Choć byliśmy oddzieleni od swoich najbliższych żelaznymi kratami, to jednak tu, w więzieniu, chcieliśmy uważać się za członków wielkiej rodziny partyjnej. Jednak bez możliwości porozumiewania się z innymi towarzyszami i stałego z nimi kontaktu nie moglibyśmy utworzyć ciała organizacyjnego. Nic dziwnego więc, że głównie ten problem zaprzątał nasze myśli. Artek wkrótce doszedł do wniosku, że najlepiej będzie posługiwać się atramentem sympatycznym, spreparowanym z lekarstw, jakie znajdują się w apteczce więziennej. Wystarczyło zaopatrzyć się w tabletki piramidonu lub aspiryny i najprostszy lek przeciw bólowi gardła - nadmanganian potasu. Sposób przyrządzania takiego atramentu jest bardzo prosty. A oto recepta: do łyżki ciepłej wody wrzuca się ćwiartkę roztartej tabletki piramidonu. Otrzymujemy z tego białawą ciecz. Mocząc w niej pióro lub cienko zastruganą zapałkę, piszemy tak, jak zwykłym atramentem, tyle że po wyschnięciu na kartce nie ma żadnych widocznych śladów. Gdy jednak zwilży się papier watką umoczoną w słabym roztworze nadmanganianu potasu - występują wyraźne brązowe litery. Jest przy tym dodatkowe udogodnienie, gdyż po paru godzinach kartka pokrywa się plamami, litery giną i dowód rzeczowy przestaje istnieć. Myśmy jednak na wszelki wypadek od razu niszczyli odczytany list. Posługując się tą metodą nie obawialiśmy się wpadki równoznacznej z dekonspiracją naszych planów i zamiarów. Kalefaktorzy bowiem, którzy byli naszą pocztą, przekazywali adresatowi kartkę z na pozór błahą treścią. Na przykład: „Przyślij nam 134 papierosy. Oddawcy kartki daj paczkę za uprzejmość", lub: „Poślijcie na karne pojedynki przeczytane gazety". Pod tekstami kryły się właściwe grypsy. Adresaci wiedzieli, jak wywołać pismo, i z kolei instruowali innych. Metoda ta doskonale zdawała egzamin w tym ciężkim okresie i po paru tygodniach towarzysze rozrzuceni po całym więzieniu wiedzieli już, jak się zachować, aby dostać się do wspólnej celi, i w jaki sposób skorzystać z ulg przyznawanych przez

naczelnika. Porozumiewając się tak, już w krótkim czasie mieliśmy na naszym oddziale większość więźniów politycznych i mogliśmy wyłonić „trójkę", która na razie była reprezentacją partii i komuny.

Liczba więźniów politycznych wynosiła w 1936 i 1937 roku 50 mężczyzn i 10 kobiet. Dlatego też uważaliśmy, że jedna reprezentacja jest wystarczająca. Należało następnie wystarać się o systematyczną łączność ze światem zewnętrznym. Artek załatwił to w ten sposób, że przy pierwszym widzeniu z Nuśką polecił jej, by porozumiała się z dr Sandhausem i mgr Hoffmanem w sprawie utrzymywania stałej, systematycznej łączności komuny z MOPR-em. Akurat złożyło się tak szczęśliwie, że Izio Liefschytz, który wpadł w Bielsku jako młodociany działacz KZMP, trafił do naszej celi. Jak już wspomniałem, jego dwaj bracia i siostra od wielu lat zajmowali się opieką nad więźniami politycznymi i stanowili trzon tego podokręgu.

Czytelnikom nie znającym życia więźniów politycznych może zdawać się dziwne, po co nam potrzebne były aż dwie instancje: organizacja partyjna i komuna więzienna.

Otóż w więzieniach sanacyjnych przebywali za przestępstwa polityczne nie tylko członkowie KPP i KZMP, ale też postępowi działacze lewicowi, nasi sympatycy, działacze związków zawodowych, którzy pracowali w komitetach strajkowych, i inni. Wszyscy oni, jeśli wyrazili swoją zgodę, należeli do komuny więźniów politycznych.

W latach 1936-1937 50% aresztowanych w więzieniu w Cieszynie było tylko naszymi sympatykami lub zwolennikami. Organizacja partyjna składała się wyłącznie z członków KPP i KZMP.

Do zadań jej należało.

1) Utrzymanie zewnętrznej łączności z MOPR-em i partią;
2) opracowanie informacji politycznej dla całej komuny;
3) przyjmowanie do partii członków komuny;
4) kierowanie akcjami więźniów politycznych;
5) systematyczna nauka i pilnowanie dyscypliny członków partii.

Komuna natomiast była organizacją ogólną wszystkich więźniów politycznych i głównym jej zadaniem było podtrzymanie wspólnoty żywnościowej i wychowanie towarzyszy w duchu kolektywnym. Mając taką organizację, każdy z nas czuł się cząstką wielkiej rodziny proletariackiej i lżej znosił izolację od partii i swoich najbliższych.

Rok 1936 źle się dla nas zapowiadał. Naczelnik Bełtowski został zawieszony w czynnościach, a następnie zemerytowany m. in. za liberalny stosunek do więźniów politycznych i brak nadzoru nad administracją więzienną. Komisarz Wolica - jego zastępca - w obawie przed takim samym losem pozbawił się życia w swoim gabinecie wystrzałem z rewolweru.

Do Cieszyna przybył jako nowy naczelnik znany kat, inspektor Majewski, który słynął z okrucieństwa w uśmierzaniu buntów więźniów politycznych w Piotrkowie, Zamościu, Wronkach i innych więzieniach. Od razu przystąpił energicznie do generalnego ataku i za jednym zamachem zlikwidował więźniom, tak politycznym jak i kryminalnym, wszystkie dotychczas uzyskane ulgi regulaminowe. Więźniów politycznych pozbawiono dodatkowego, dwudziestopięciominutowego popołudniowego

spaceru, widzeń bez siatki i materiałów piśmiennych. Towarzyszki, które siedziały na trzecim piętrze, zostały umieszczone w celach z prostytutkami i złodziejkami, bo nie pozwoliły przemundurować się w więzienne łachy. Wszystkim więźniom zmniejszono racje żywnościowe o 50%. Zamiast dwóch dań na obiad, Majewski zarządził „eintopf", i to złożony z wodnistej zupki.

Tak więc nadciągała burza. Nasza organizacja partyjna nie nastawiała się jednak na otwartą walkę. Głodówka jest przecież ostatecznością, idzie wtedy już o śmierć lub życie. Nastawialiśmy się raczej na bierny opór, by nie stracić tego, co pozostało nam po Bełtowskim. A jednak postawiono nas w takiej sytuacji, że zmuszeni byliśmy przystąpić do strajku głodowego.

Przez kilka dni z rzędu posiłki nie nadawały się do jedzenia, bo albo były ze stęchłych produktów lub też ze śmierdzącego mięsa. To wyprowadziło pospolitych z równowagi i proklamowali tzw. czarny strajk głodowy. Polegał on na tym, że nawet obsługa składająca się z więźniów została zatrzymana w celach i administracja zmuszona była sama palić w piecach, sprzątać i gotować. Głodówka przyjęła od razu ostry charakter. Wszyscy więźniowie przez cały dzień i noc krzyczeli przez okna: „Morzą nas głodem i chłodem! Precz z katem Majewskim!"

W pierwszym dniu akcji zachowaliśmy bierność i nie przystąpiliśmy do strajku solidarnościowego. Na drugi dzień rano nasze towarzyszki, które siedziały z kryminalistkami, zgłosiły swój akces do strajku głodowego i wysunęły żądania. Towarzyszka Piasecka po ogłoszeniu żądań więźniarek politycznych, stojąc przy oknie, odśpiewała piosenkę ułożoną przez Rytę Hay w więzieniu w Sosnowcu w 1932 roku:

Bo jak się mówi wstać to wstać,
Trza władzy słuchać, psia ich mać,
Naczalstwu trzeba oddać cześć,
Ja wszelki bunt potrafię zgnieść.
Bo jam jest pan naczelnik, naczelnik, naczelnik,
Bo jam jest pan naczelnik
Naczelnik, no i już...
Niech drży przede mną każdy z was.
Wyście zależni od mych łask,
Każdemu mogę sprawić sąd,
Więc baczność, równaj, stawaj w rząd!
Bo jam jest pan naczelnik itd.
My czerwonego frontu część,
Niczyja nas nie zgniecie pięść,
I choćby przyszło diabła zjeść,
Wszystko będziem gotowi znieść.
Bo myśmy są komuna, komuna, komuna,
Bo myśmy są komuna,
Komuna, no i już!

Więźniowie przyjęli piosenkę oklaskami i Piasecka zmuszona była bisować. Następnie posypały się okrzyki: „Niech żyją panowie komuniści!", „Żądamy uznania praw więźniów politycznych!"

Ponieważ hasła te ciągle się powtarzały, a towarzyszki już głodowały, zostaliśmy postawieni przed faktem dokonanym i zdecydowaliśmy się przystąpić do akcji. Musieliśmy bowiem solidaryzować się z kryminalnymi, gdyż uwzględnione przez nich nasze żądania nadały głodówce charakter polityczny.

Artek Neuman został wybrany przewodniczącym ogólnego komitetu strajkowego. Procedura wyborcza odbyła się przez uchylone lufciki okien cel. Pospolici pomimo naszych protestów jednomyślnie okrzyknęli go przedstawicielem wszystkich więźniów do pertraktacji z prokuraturą. Oświadczyliśmy im, że mamy własny komitet strajkowy i przystąpiliśmy do akcji tylko na znak solidarności. Oni jednak zawiadomili zarząd więzienia, że Artek jest przewodniczącym komitetu strajkowego tak więźniów kryminalnych, jak i politycznych. Zostaliśmy w ten sposób po raz drugi postawieni przed faktem dokonanym.

Tymczasem nasz kontakt z wolnością był zerwany. Ministerstwo Sprawiedliwości mogło polecić wytoczenie rozprawy więźniom politycznym, a szczególnie Artkowi, za zorganizowanie buntu przestępców pospolitych. Ale sytuacja była wyjątkowa i nie mieliśmy innego wyjścia.

Dozorca Drozd powiedział nam w tajemnicy, że przysłano do Cieszyna batalion policjantów z Golędzionowa, którzy objęli ochronę i nadzór nad więzieniem. Wiedzieliśmy, co to oznacza. Władze chciały siłą zdławić akcję strajkową. Na dziedzińcu więziennym ustawiono wzmocnione posterunki z karabinami maszynowymi, które potęgowały atmosferę grozy. Wprawdzie później okazało się, że Ministerstwo Sprawiedliwości nie godziło się na rozpoczęcie akcji policyjnej ze względu na rozgłos, jaki wywołała nasza głodówka w sąsiedniej Czechosłowacji. Czeska prasa liberalna bowiem obszernie opisywała wydarzenia w więzieniu, gdyż krzyki nasze słychać było w całym mieście i ludność szeroko komentowała te wypadki. Komuniści z czeskiego Cieszyna kilkakrotnie organizowali demonstracje protestacyjne na naszej granicy. Zmusiło to nadzór prokuratorsko-sądowy do przeprowadzenia wizytacji więzienia i wysłuchania naszych żądań.

Artek ustnie przedstawił prokuratorowi, a następnie wręczył mu na piśmie nasze postulaty. Tak je zredagowaliśmy, by władze nie miały podstaw do oskarżenia nas o zorganizowanie buntu. A oto one:

1) Solidaryzujemy się z więźniami pospolitymi w sprawie przywrócenia racji żywnościowych kategorii I, z jakich korzystali przedtem.
2) Żądamy uznania więźniów politycznych za „przestępców" ideowych, a przede wszystkim domagamy się, by nasze towarzyszki z trzeciego piętra nie siedziały razem z prostytutkami i złodziejkami.
3) Domagamy się przywrócenia praw korzystania z materiałów piśmiennych, książek i prasy, które regulaminowo nie są zabronione.
4) Żądamy natychmiastowego zaniechania przetrzymywania w karcerach więźniów, osadzonych tam w pierwszym dniu głodówki.

Prokurator Peche notował sobie wszystko, a potem tak nam odpowiedział:

- Kryminalni już zrozumieli swoją głupotę i najdalej jutro przerwą głodówkę. Wam radzę to samo. W przeciwnym wypadku zaczniemy was odżywiać sztucznie.

Pierwsze 48 godzin głodówki - był to dla nas najgorszy okres, gdyż nie tylko nie dostarczaliśmy organizmowi niezbędnych kalorii, ale i dodatkowo wyczerpywaliśmy się bezustannymi okrzykami

protestacyjnymi. Toteż pod koniec drugiego dnia wystąpiły gwałtowne skurcze żołądka, połączone z mdłościami i okropnym uczuciem pragnienia. Towarzyszył temu uporczywy, tępy ból głowy.

Administracja umyślnie drażniła nas wyjątkowo smakowitymi zapachami, wożąc po korytarzach tam i z powrotem kotły z dymiącą, wonną zupą.

Następne dwa dni nie były już takie straszne. Uczucie głodu pomału zanikało, ogarniała nas senność. W piątym dniu wystąpiła temperatura i całkowita obojętność na wszystko. W południe tegoż dnia połowa kryminalnych przerwała głodówkę, my natomiast trzymaliśmy się uparcie i dopiero w ósmym dniu przyjęliśmy pożywienie. Ostatnie 48 godzin karmiono nas sztucznie. Wyglądało to tak, że codziennie służba sanitarna przy pomocy dozorców siłą wlewała rurką przez usta lub odbytnicę litr płynnego pokarmu. Jeśli głodujący więzień stawiał wyjątkowy opór, karmiono go w złośliwie wyszukany sposób. Wpychano mianowicie dwie rurki gumowe do otworów nosowych i przez nie wlewano płyn. Zakosztowałem obu sposobów i do dnia dzisiejszego pozostał mi uraz na wszelkie badania przy pomocy sondy tak silny, że nie poddałem się koniecznej analizie treści żołądkowej.

W tym czasie poufnie dowiedzieliśmy się, że Ministerstwo Sprawiedliwości poleciło, by zarząd więzienia nie szedł na żadne ustępstwa. Sztuczne odżywianie świadczyło zresztą o tym, że nasi oprawcy zdecydowani są prowadzić z nami walkę do ostatecznego wyczerpania.

Formalnie strajk przegraliśmy, ale zyskaliśmy moralne zadowolenie, zwłaszcza że wszystkich politycznych przeniesiono na jeden oddział, w każdej celi po trzech razem. Kubatura pomieszczeń w zupełności na to pozwalała.

Było to zresztą nieumyślne ustępstwo administracji w stosunku do nas, gdyż doszła ona do wniosku, że tylko polityczni, rozrzuceni po różnych oddziałach, mogli szerzyć bunt wśród kryminalnych, czego rezultatem było doprowadzenie do ogólnego strajku głodowego.

Lata 1936-1937 były podwójnie ciężkie dla więźniów politycznych. Doszły nas wiadomości o okrutnych prześladowaniach komunistów w Berezie Kartuskiej. W całej Polsce zrównano więźniów politycznych z kryminalnymi. Wszystko to znosiliśmy z zaciśniętymi zębami. Wiedzieliśmy, że koniec końców nasza idea zwycięży.

Gorzej przedstawiały się wieści z wolności. Związek Radziecki i jego przywódcy byli zawsze dla nas ostoją walki ludów uciskanych. Tymczasem prasa burżuazyjna szeroko opisywała procesy w Moskwie, a administracja więzienna skrzętnie zbierała wszystkie wiadomości o nich i informowała nas jak nigdy dotąd. Nic dziwnego, iż początkowo sądziliśmy, że to zwykłe oszczerstwo; do tego byliśmy przecież przyzwyczajeni. Zarząd więzienia za pomocą zorganizowanych pogadanek starał się załamać nas duchowo i zachwiać wiarę w naszą ideę. Nie słuchaliśmy i nie wierzyliśmy, ale brakło nam argumentów przeciwnych.

Prawda jest jednak nieubłagana. Dostaliśmy instrukcję, by nie korzystać więcej przy nauce materializmu dialektycznego z podręcznika Bucharina. Książka ta pomimo swych błędów była dla całego przedwojennego pokolenia komunistów elementarzem myślenia dialektycznego. Po raz pierwszy udostępniała prostemu czytelnikowi terminologię marksistowską, bez której trudno zrozumieć sens materializmu naukowego. Szczególnie mocno przeżywał proces Bucharina Artek. Był

humanistą o głębokiej wiedzy. Już w więzieniu przygotowywał się do pracy doktorskiej. Uważał, że książka Bucharina jako podręcznik jest na razie niezastąpiona i mimo zarzutów stawianych jej autorowi nie należy z niej rezygnować przy nauce marksizmu. Przez Nuśkę przekazał partii swój pogląd na tę sprawę. Nie znalazł jednak zrozumienia nawet u żony. Otrzymana przez nią odpowiedź odebrała mu na wiele lat chęci do polemizowania na ten temat.

Trudne były warunki naszej walki i pracy, nic też dziwnego, że nawet pewne wątpliwości były przyjmowane przez wielu towarzyszy jak herezja. Wiem na podstawie własnego doświadczenia, że każdy z nas bronił się wobec samego siebie przed choćby cieniem powątpiewania. Znajdowaliśmy zresztą wytłumaczenie, że wobec otoczenia ZSRR przez państwa imperialistyczne trzeba nieraz stosować mocne środki dla ratowania zdobyczy rewolucji.

Życie szło dalej. Wydarzenia na arenie międzynarodowej całkowicie nas pochłaniały, tak że chwilami zapominaliśmy, że przebywamy w więzieniu. Siedzieliśmy teraz wszyscy na jednym oddziale i mogliśmy codziennie wymieniać między sobą informacje. Ze szczególną troską śledziliśmy wojnę domową w Hiszpanii.

Co parę dni przyprowadzano nowych towarzyszy, którzy wpadali na granicy polsko-czeskiej, chcąc tędy przedostać się via Wiedeń do Hiszpanii. Otrzymywaliśmy od nich świeże wiadomości, gdyż byli bardzo blisko tych spraw. Po kilku dniach większość z nich została odesłana etapem do swoich sądów terytorialnych.

Towarzysze, którzy nie dostawali gazet, nie mogli doczekać się rannego spaceru, by uzyskać informacje, co słychać na poszczególnych frontach. Niedaleko naszej celi siedział towarzysz Albin, który gdy tylko oddziałowy otworzył drzwi, pytał pospiesznie:

- Co słychać pod Madrytem?

Tymi sprawami pasjonowali się zresztą również i nasi wrogowie. „Ilustrowany Kurier Codzienny” na kilku stronicach dziennie opisywał rzekome okrucieństwa komunistów na Półwyspie Pirenejskim.

W tym czasie, było to w pierwszej połowie 1937 roku, prokurator Peche w towarzystwie przedstawiciela Ministerstwa Sprawiedliwości i innych dostojników wizytował więzienie w Cieszynie. Procedura wizytacji przedstawiała się następująco. Oddziałowy Drozd przy udziale przodowników, Góralika i Chaby, otwierał na całym oddziale wszystkie cele, dawał komendę: „Oddział, baczność!” i meldował, że wszystko jest gotowe do obchodu; następnie przy każdej celi powtarzał komendę, oznajmiając wizytację.

Prokurator żądał, by każdy więzień podawał paragraf, z jakiego został osądzony lub podejrzany. My natomiast odpowiadaliśmy:

- Oskarżony o działalność polityczną.

Za takie sformułowanie odpowiedzi nie uniknęliśmy nigdy dodatkowej kary.

Raz Peche przyszedł wyjątkowo zdenerwowany. Trzymał w lewej ręce gazetę z tytułem nagłówkowym: „Okrucieństwa komunistów w Hiszpanii”, w prawej zaś dzierżył nieodstępną laskę z rączką inkrustowaną masą perłową. Gdy doszedł do naszej celi nie zapytał: „za co?”, tylko od razu zaatakował Artka, dlaczego stoi przygarbiony i nie na baczność.

- Stoję przepisowo, a garb dostałem w więzieniu - odpowiedział Artek.

Peche wszedł do celi i wymachując gazetą krzyknął:

- Tutaj nie Hiszpania! Dla agentów Moskwy będziemy mieli akurat tyle szacunku, ile mają oni tam w stosunku do księży!

- Panie prokuratorze, nie jesteśmy niczyją agenturą. Jesteśmy komunistami i szczycimy się tym. Proszę uszanować nasze przekonania, za które siedzimy w więzieniu. Nie komuniści wywołali w Hiszpanii wojnę domową, a rozpętali ją agenci Hitlera i Mussoliniego przeciwko prawowitemu rządowi republikańskiemu.

Peche nie wysłuchał do końca słów Artka. Przyjrzał się jego stopom, a następnie, zbliżywszy się do niego, usiłował butem rozsunąć je od strony palców, by przylegając piętami utworzyły kąt. Jednocześnie przeszedł od razu na „ty":

- Nie po to my i nasi ojcowie walczyli o niepodległą Polskę, żebyś ty ją sprzedawał. Już niedługo kończy ci się wyrok, ale jak nie nauczysz się dyscypliny, to jeszcze przed wyjściem tu zgnijesz!

- Proszę zwracać się do nas per „pan" lub „wy", bo tak przewiduje regulamin - wtrąciłem.

Artek podchwycił i dodał:

- Komuniści zawsze są gotowi oddać życie na niepodległą Polskę - i dlatego tu siedzimy. Świadczyliśmy o tym naszą krwią częściej niż ci, którzy nas uwięzili.

Prokurator, nie próbując panować nad wściekłością, uderzył Artka laską i kopnął go jednocześnie w nogę. Zaprotestowaliśmy jednogłośnie.

- Zamknąć w ciemnym karcerze na 48 godzin! - zarządził Peche.

Naczelnik mógł zastosować taką karę jedynie na przeciąg 24 godzin. Toteż rozkaz prokuratora bardzo podobał się Majewskiemu. Polecił dodatkowo przodownikowi, by rozebrał nas do bielizny i ubrał w kaftany bezpieczeństwa „dla uspokojenia nerwów". Ten sam los spotkał jeszcze sąsiednią celę i na tym wizytacja została przerwana.

Wiedziałem, co znaczy kaftan bezpieczeństwa, choć miałem go ubrać po raz pierwszy, mimo że już parę lat przesiedziałem w więzieniu. Sam karcer był już wystarczającą karą, gdyż mieścił się w specjalnej piwnicy, całkiem ciemnej, zimnej i wilgotnej. Dla uniemożliwienia spaceru przegrodzony był kratą. Pryczę zastępowała cementowa ława, pośrodku której leżała tylko cienka, wąska deska. Racje żywnościowe zmniejszano tam o 50%, a rano zamiast ciepłej kawy otrzymywało się zimną wodę.

Kaftan bezpieczeństwa był to rodzaj bluzy z juty, wiązanej z tyłu sznurkowymi trokami. Po włożeniu rąk w wąskie, długie rękawy oprawcy wykręcali nam je do tyłu i mocno krępowali. Otwór na szyję był mały i ściśle do niej przylegał. By utrudnić poruszanie się, związywano rękawy razem z tasiemką przy szyi. W rezultacie przy najmniejszym poruszeniu rąk trok mocno się zaciskał, wpijał w krtań i dusił.

Tajemnica uwolnienia się z tego ubioru polegała na tym, by przy wkładaniu rękawów silnie zacisnąć pięści w kułak, gdyż po związaniu nie można było nawet ruszyć palcem. Kiedy pozostało się już samemu w celi karceru, można było przetrzeć płótno w miejscach grzbietów zgiętych palców.

Ponieważ znałem ten sekret, silnie tarłem związane pięści o betonową płytę łoża. Juta była wprawdzie bardzo mocna, jednak powoli przetarła się i przez dziury mogłem wysunąć obolałe, zakrwawione palce. Po długim mocowaniu się z wiązaniami udało mi się rozluźnić najpierw sznurek zaciskający szyję i stopniowo rozwiązać dalsze. Wreszcie z ulgą zrzuciłem z siebie ten worek tortur.

Przyjemność ta kosztowała mnie później 30 złotych, na tyle bowiem szacowała administracja wartość kaftana bezpieczeństwa, a nie trudno domyślić się, że po zastosowaniu takiego sposobu rozbierania, nie nadawał się on więcej do użytku.

Po opuszczeniu karceru nie wróciliśmy już do swojej celi. Zostaliśmy ukarani trwającą 3 miesiące izolacją w pojedynkach. Po tym okresie Artek wyszedł na wolność, gdyż właśnie skończył mu się wyrok.

Zobaczyłem się z nim dopiero w 1939 roku, we Lwowie, już po wkroczeniu hitlerowców do Polski. Był studentem ostatniego roku filozofii na uniwersytecie im. Iwana Franko. Przyjął mnie wyjątkowo serdecznie i odstąpił swoje mieszkanie w Grzymałowie u rodziny jego żony. Ostatni raz widziałem go w maju 1941 roku. Kończył właśnie pracę doktorską na temat: „Marksistowska analiza ruchów społecznych na Śląsku". Nie było mu dane uzyskać tytułu, choć praca była skończona. Dwudziestego pierwszego czerwca Niemcy ruszyli na Związek Radziecki, a w parę dni potem zajęli Lwów. Zamiast ewakuować się w głąb ZSRR, Artek przyjechał z Nuśką do Grzymałowa, specjalnie po mnie, w obawie, bym nie pozostał sam na zagrożonym terenie. Ja jednak wyjechałem przed dwoma dniami z ostatnim transportem w głąb Rosji. Po przyjeździe Neumanowie zastali już w Grzymałowie bojówki nacjonalistów ukraińskich, którzy aresztowali ich i powiesili na środku rynku. Ostatnimi słowami Artka był okrzyk: „Nas możecie stracić w tak haniebny sposób, ale idea nasza pozostanie żywa!" Wróćmy jednak do momentu zwolnienia Artka z więzienia.

Po trzymiesięcznej izolacji wróciłem na oddział więźniów politycznych. W celi prócz mnie znajdowali się: Izydor Liefschytz i Jan Piecha.

Piecha był prawdziwym trybunem ludowym, popularnym wśród robotników, szczególnie drogowych, okręgu bielsko-cieszyńskiego. Można by go najlepiej określić przez porównanie z Czapajewem. Bojowy, z inicjatywą, umiał porywać masy. Gdy został aresztowany w 1936 roku, robotnicy zatrudnieni przy regulacji Wisły odbili go z rąk policji. Nie uznawał żadnej dyscypliny tak ze strony komuny, jak i władzy więziennej. Mieliśmy z nim z tego powodu dużo kłopotów. Jak długo był na izolacji, nie wychodził prawie z karceru, zawsze miał jakieś zatargi z oddziałowym. Liefschytz mówił wówczas, że z takimi dobrze jest robić rewolucję, ale gorzej budować nowy ustrój. Wiele wysiłków kosztowało nas zmuszenie go do nauki. Ale kiedy posmakował wartość książek, trudno go było od nich oderwać. Nad ekonomią polityczną siedział całymi dniami. Śmialiśmy się, kiedy Janek po przerobionej lekcji od razu praktycznie wypróbowywał zdobyte wiadomości, inscenizując przemówienia do robotników. Potrafił wstać w nocy i łóżka i jak na trybunie, tylko przyciszonym głosem, mówić gestykulując jak na wiecu. Zdobyta przez niego wiedza nie poszła na marne. W czasie okupacji stał się aktywnym działaczem PPR, a potem dowódcą Gwardii Ludowej. Zginął w walce z niemieckimi okupantami.

Liefschytz był młodym chłopcem, tylko okulary dodawały jego twarzy nieco powagi. Stanowiliśmy „trójkę" komuny, a funkcję Artka przejąłem teraz ja.

Wypadki rozwijały się szybko. Zbliżała się agresja hitlerowska na Czechosłowację. Zdawaliśmy sobie sprawę, że następną ofiarą będzie Polska. Ale ci, co nas więzili, nie chcieli o tym wiedzieć. Wręcz przeciwnie, próbowali nas i kryminalnych wciągnąć do kampanii antyczeskiej. Postanowiliśmy, że na pogadance propagandowej kapelana, która miała odbyć się w niedzielę po spacerze, Izio Liefschytz wystąpi z deklaracją więźniów politycznych w tej sprawie. Tymczasem pogadankę miał nie kapelan, ale jakiś polityk ze starostwa, który mówił o zbliżającym się „historycznie sprawiedliwym" fakcie przyłączenia Zaolzia do Polski. Gdy skończył, na schodkach ganku stanął Izio i powiedział:

- My, komuniści, nie solidaryzujemy się z rozbiorem Czechosłowacji. Widzimy w tym wielkie niebezpieczeństwo dla niepodległej naszej ojczyzny. Wyrażamy nasz protest przeciwko współdziałaniu w rozbiorze tego kraju...

Nie dokończył, bo na podwórko spacerowe zbiegła się cała władza więzienna i został natychmiast w kaftanie bezpieczeństwa osadzony w karcerze.

Wówczas widziałem go po raz ostatni. Został bowiem odesłany do więzienia w Tarnowie, a po wojnie dowiedziałem się, że zginął pod Lenino jako oficer odrodzonego Wojska Polskiego.

O godzinie dwunastej w nocy zrobiono pobudkę wszystkich więźniów politycznych. Było to zjawisko nienormalne, administracja nigdy tego nie praktykowała. Pobudka w nocy, bez uprzedzenia, odbywała się tylko wówczas, gdy miało miejsce jakieś bardzo ważne wydarzenie, jak wyprowadzenie skazanego na śmierć celem wykonania wyroku lub wielkie niebezpieczeństwo dla więzienia, jak wojna czy pożar.

Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć. Czyżby wybuchła wojna między Polską a Czechosłowacją? Czyżby sanacja wspólnie z Hitlerem spowodowała agresję na Czechosłowację i chciała rozprawić się z nami, więźniami politycznymi, jako z przeciwnikami rozbioru tego kraju?

Przez wizyterki zauważyliśmy, że po korytarzach kręci się pełno policjantów, co miało miejsce tylko podczas głodówki lub innej akcji.

W końcu otworzono po kolei cele, w których przebywali komuniści, administracja dostarczyła nam nasze cywilne ubrania, zabierając więzienne umundurowanie, a policjanci zakuli nas dwójkami w kajdany. Pod silną eskortą policji wywieziono nas do różnych więzień w Polsce, do Tarnowa, Koronowa i Rawicza. Ja znalazłem się w tym ostatnim. Po raz drugi została w Cieszynie zlikwidowana komuna i do momentu agresji hitlerowskiej - nie osadzano tam komunistów.

Gdy doszedłem do tego miejsca w opisie naszych losów i walki, nasunęły mi się takie oto refleksje.

Wspomnienia moje mogą wytworzyć u młodych czytelników pogląd, że w Polsce sanacyjnej tylko policja lub straż więzienna nadużywała władzy i że ona głównie prowadziła walkę z komunistami i postępowym ruchem lewicowym w całym kraju. Mniemanie takie byłoby niesłuszne.

Winni byli przede wszystkim ci, którzy tworzyli prawne, moralne i etyczne podstawy takiej polityki represyjnej. Typy zwyrodniałe, lizusowskie, które nic więcej nie potrafiły, jak znęcać się - nietrudno było znaleźć w tym okresie nędzy i bezrobocia.

Ale gdy z jednej strony ciężkie warunki wypaczały słabe charaktery, z drugiej - hartowały mocniejsze, a i pośród ludzi służących reżymowi trafiały się jednostki, które choć wcale nie sympatyzowały z komunizmem, ale mając pewne tradycje walk niepodległościowych i pamiętając cierpienia więźniów politycznych z okresu zaborów - zachowały humanitarny stosunek do swych przeciwników ideowych. Jeśli ludzie ci jednak chcieli traktować więźniów bardziej liberalnie, musieli szybko pożegnać się ze służbą państwową.

Wystarczy porównać dwie sylwetki: naczelnika Bełtowskiego i prokuratora Peche, ludzi wykształconych, niezależnych ekonomicznie od pensji. Bełtowski, ponieważ dążył do tego, by myśleć samodzielnie, ponieważ starał się na sposób ludzki i humanitarny interpretować przepisy - musiał ustąpić, gdyż jego własna osobowość nie mieściła się w ramach ustaw, praktyk i zwyczajów panującej kliki. Peche natomiast za chamstwo i brutalność windował się w górę, bo jego metody działania odpowiadały polityce sanacji.

XVI
Więzienie w Rawiczu, sylwetki, wydarzenia

Więzienie w Rawiczu było jednym z największych w Polsce. Na cały kompleks jego bloków składało się pięć oddzielnych pawilonów. Na tle małego osiedla zabudowania i mur, który okalał jego ogromny obszar, sprawiały monstrualne wrażenie, nadając miasteczku ponury charakter twierdzy.

Pierwszy pawilon składał się z samych pojedynek. Parter przeznaczony był na kwarantannę dla przyjeżdżających i kilkumiesięczną izolację dla przywódców partii. Celki na parterze były ciemne, zimne i dłuższy pobyt w nich powodował występowanie różnych chorób, jak reumatyzm, gruźlica i inne. Drugi pawilon był budynkiem nowym. Nazywano go czerwonym, ale nie dlatego, że siedzieli tam sami komuniści, tylko dlatego, że zbudowany był z czerwonej cegły. Kubatura jego przewidziana była dla około 500 osób, jednak zawsze siedziało tam w granicach od 600 do 1000 więźniów. W trzecim pawilonie ogólnym mieściły się wspólne, czterdziestoosobowe cele dla kryminalnych. Tam też znajdowało się pomieszczenie dla więziennego szpitala.

Czwarty pawilon oddalony był od centralnego więzienia o cały kilometr i choć podlegał naczelnikowi, to jednak stanowił do pewnego stopnia samodzielne więzienie. Siedziały tam na razie tylko kobiety, około dwadzieścia więźniarek politycznych. Prowadziły one od kilku miesięcy akcję przeciwko przemundurowaniu i prawie nie wychodziły z karcerów. Przez trzy miesiące, od marca do maja 1938 roku, chodziły w samej bieliźnie, bo zabrano im cywilne ubrania, a nie chciały włożyć mundurów więziennych. Większość z nich ciężko zachorowała i zarząd zmuszony był wystąpić z wnioskiem o przetransportowanie ich do innego więzienia, gdzie był szpital kobiecy. Po ich odejściu na pawilonie tym umieszczono grupę więźniów politycznych, kończących już wyroki, było ich 150 osób. W tej grupie znalazłem się również i ja.

Piąty pawilon był pomieszczeniem administracyjnym, gdzie jednocześnie znajdowały się prywatne mieszkania naczelnika i wyższych urzędników straży więziennej.

Każde więzienie miało swoje osobliwości, choć na pozór nie różniło się od innych. Tutaj oryginalną postacią był naczelnik Junczysz, człowiek bardzo skrajny. Całymi tygodniami był choć do rany przyłóż, po czym nagle coś się zmieniało i na więźniów miesiącami sypały się kary i prześladowania. Naczelnika tego oddelegowano do kierowania więzieniem z wojska, gdzie był rotmistrzem ułanów. Wysoki, przystojny, nosił zawsze wojskowy mundur z dystynkcjami kawaleryjskimi, a jedynie czapka zdradzała jego miejsce pracy. To zestawienie było dosyć szokujące, coś jak krzyżówka rasowego psa z kundlem. Każdy człowiek lubi po trosze fantazjować, toteż i Junczyszowi ten rodzaj myślenia nie był obcy. Po latach wyobraził sobie, że był w Rawiczu dyrektorem jakiegoś zakładu wychowawczego dla więźniów politycznych, ojcem i pedagogiem dla komunistów. Może i miał czasem przebłyski świadomości, ale chyba szybko je odrzucał, skoro uwierzył ostatecznie w wyimaginowany raj, którym niby otaczał „pensjonariuszy" tak dalece, że zapominając o realnej rzeczywistości, zaraz po wyzwoleniu Wrocławia w 1945 roku wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej. Został jednak szybko zdemaskowany przez byłych „wychowanków", którym na długo dał się we znaki i którzy bynajmniej nie pałali do niego synowskimi uczuciami.

A teraz wróćmy do rzeczywistości i przedstawmy ją tak, jak faktycznie wyglądała w „zakładzie" Junczysza.

Każdy przybyły do Rawicza więzień musiał przejść obserwację. Normalnie trwała ona dwa tygodnie. Faktycznie zaś trzymano na niej tak długo, jak podobało się administracji więziennej. W tym okresie administracja dokładnie zapoznawała się z aktami i zachowaniem nowoprzybyłego, by zorientować się, do jakiej grupy należało go przydzielić. Junczysz bowiem prowadził dokładną segregację politycznych. Polecał, by rozsadzać ich na drugim pawilonie według narodowości, wykształcenia, wieku; ponadto oddzielnie miasto i wieś. Przypuszczał, że w ten sposób uda mu się nie dopuścić do tego, by mniej wykształceni towarzysze, a szczególnie chłopi, mogli korzystać z pomocy w nauce bardziej zaawansowanych i wykształconych.

Oczywiście plany te z góry skazane były na niepowodzenie przez fakt, że większość więźniów politycznych, aresztowanych i osadzonych w więzieniach, często już od młodego wieku miała pewne wykształcenie i wiedzę ogólną, nabytą na „więziennych uniwersytetach", co nie figurowało w ich aktach personalnych, ale wcale nie przeszkadzało przekazywać swych wiadomości z kolei nowo przybyłym towarzyszom.

Jak wyglądał nasz dzień w celi na kwarantannie? Więzień poza łyżką i miską nie posiadał nic więcej. Nawet palaczom zabronione było palenie papierosów. Nie mogli również korzystać z gazet, książek i spaceru.

O godzinie szóstej rano była pobudka, a o siódmej śniadanie. Do godziny dwunastej, tj. do obiadu, więzień nie wiedział, co z sobą zrobić. Zimą czy latem w celi panował przejmujący chłód, wzmagała go dodatkowo posadzka betonowa. Najgorsze były te pięć godzin od śniadania do obiadu, które dłużyły się potwornie. Gdy po obiedniej strawie człowiek trochę się rozgrzał, mógł ze dwie godziny spokojnie pomyśleć i pomarzyć, bo zimno mniej dawało się we znaki. Noce były znów straszne. Pod jednym kocem dygotało się z zimna i po pierwszym krótkim śnie człowiek budził się na skutek chłodu i musiał spacerować, by w ten sposób rozgrzać się nieco. O dalszym śnie nie było mowy.

Po dwóch tygodniach takiej kwarantanny zostałem przeniesiony na drugi pawilon do grupy z procesu o „wojskówkę", gdzie głównym oskarżonym był Aleksander Zawadzki. Towarzysze z tej grupy przyjechali z Warszawy w tym samym czasie, co ja.

W mojej celi, która mieściła się na parterze, oprócz mnie siedzieli: Reiss i Dylner.

Pierwszy był studentem trzeciego roku Uniwersytetu Lwowskiego, bezpartyjny, syn właściciela ziemskiego, sympatyzował z naszym ruchem, ponieważ nie mógł zgodzić się z wyzyskiem i uciskiem narodowościowym na Zachodniej Ukrainie. Odstąpił partii swoją kawalerkę na „przyjazdówkę" i punkt kontaktowy. Został za to skazany na 12 lat więzienia. Reiss był wyjątkowo inteligentny i czuły na ludzką krzywdę. Zginął w czasie okupacji z rąk hitlerowców.

Drugi mój współtowarzysz niedoli, Józef Dylner, był tkaczem z Łodzi. Pochodził ze znanej rodziny komunistycznej, pochodzenia niemieckiego. Ubolewał zarówno z powodu hańby, jaka spotkała naród niemiecki, który otumaniła banda Hitlera, jak i dlatego, że przewidywał przyszły los Polski, jaki mogli zgotować jej faszystowscy barbarzyńcy.

Później, gdy więźniowie polityczni, zostawieni przez Junczysza na pastwę hitlerowców w zamkniętych celach, uwolnili się, Dylner wrócił do Łodzi. Niebawem wszczęło za nim poszukiwania Gestapo. W tym czasie Józef wraz z grupą towarzyszy udał się na wschód, na tereny radzieckie - do Białegostoku. Dochodziły go wieści o straszliwych mordach dokonywanych przez niemieckich siepaczy na narodzie

polskim, o egzekucjach, a w końcu o aresztowaniu jego brata, Wilhelma, na początku 1941 roku. Jego natura, wrażliwa na niesprawiedliwość i krzywdę, umiłowanie partii i głęboka nienawiść do wroga spowodowały, że zwrócił się do władz partyjnych, by skierowano go na tyły wroga, do kraju. Działając z jednostką wojskową Armii Radzieckiej, w 1942 roku wrócił do okupowanej Polski. Początkowo był w Warszawie, a następnie w Łodzi, gdzie w listopadzie 1944 roku został aresztowany.

Poddano go bezlitosnym torturom, a następnie skazano na karę śmierci. Niemcy nie spieszyli się jednak z wykonaniem wyroku. Oświadczyli jego siostrze, również aresztowanej, że ten „Volksverräter" (zdrajca narodu) musi ginąć powoli, bo szkoda dla niego kuli. Do ostatnich dni ich panowania w Łodzi pastwili się nad nim. Szesnastego stycznia 1945 roku wyprowadzili wszystkich więźniów na szosę pabianicką. Gdy eskorta znacznie zmalała, bo gestapowcy uciekali, gdzie który mógł, dwaj towarzysze, współwięźniowie, ująwszy Dylnera pod ręce, wyprowadzili go z szeregów, kryjąc się wraz z nim w pobliskim rowie. W ten sposób ocaleli. Dylner jednak nie wrócił już do zdrowia: zmarł we wrześniu 1945 roku.

Nad Polskę nadciągała burza. Hitler zaczynał otwarcie domagać się przyłączenia Gdańska do Rzeszy i oddania mu do dyspozycji „korytarza" z naszym dostępem do morza. Roszczenia szły coraz dalej.

W tej sytuacji komuna postanowiła przeznaczyć wszystkie swoje oszczędności, jakie posiadała w depozycie więziennym, na Fundusz Obrony Narodowej, odmawiając sobie nawet kupna papierosów, masła czy innych produktów.

Do tego czasu byliśmy przeciwnikami zbiórek na FON, dlatego że cały budżet wojskowy łącznie z darami ludności szedł na budowę baz i umocnień na granicy wschodniej i na przygotowania do wojny z ZSRR, natomiast granica zachodnia była prawie że otwarta. Teraz sytuacja się zmieniła. Toteż nie poprzestaliśmy na tym, ale nadto zadeklarowaliśmy zbiorowo i indywidualnie chęć ochotniczego wstąpienia do Wojska Polskiego.

W tej sprawie towarzysz Buczek wysłał do rządu polskiego memoriał, który jednak pozostał bez odpowiedzi.

Trzeba w tym miejscu przypomnieć, jak mściwa była władza sanacyjna. Nadciągała przecież wojna z odwiecznym wrogiem Polski. Sanacja wiedziała, że komuniści są największymi przeciwnikami hitleryzmu. A jednak w dalszym ciągu trzymano nas za kratami. Przecież dokładnie zdawano sobie sprawę z tego, że nie możemy im w niczym zagrozić; bez partii nie stanowiliśmy siły, która mogłaby obalić ich władzę. Mimo to przygotowano plan pozostawienia nas na pastwę hitlerowców na wypadek wybuchu wojny i w tym celu zwożono codziennie z całej Polski coraz nowe transporty do Rawicza.

W więzieniu wciąż robiło się ciaśniej. Toteż administracja, przeglądnąwszy wszystkie wyroki więźniów politycznych, tych, którym pozostało już niewiele do odsiedzenia, przeniosła do czwartego pawilonu.

W dniu, kiedy szykowaliśmy się do przeniesienia na nowe locum, spadła na nas straszna wiadomość. Towarzysz Proliński, który z grupą więźniów politycznych robił wiosenne porządki na korytarzach drugiego pawilonu, dał znać, że jest bardzo ważny komunikat z Kominternu.

Oczekując wyprowadzenia na spacer, usiłowaliśmy się domyślić, co to może być. Tymczasem rzeczy nasze były już spakowane i przygotowane do transportu na nowe miejsce.

Do zarządu komuny więziennej należeli wówczas: Alfred Lampe, Marian Buczek, Józef Lewartowski, Szymon Zachariasz i Stefan Wierbłowski. W skład samodzielnego zarządu komuny czwartego pawilonu wchodzili: Chmielnik, Magóra, Kozłowski. Imion niestety nie pamiętam. Komunikat mojej grupie przekazał towarzysz Lewartowski, członek zarządu komuny. Podaję komunikat tak, jak mi pozostał w pamięci, przekazany łącznie z komentarzem. Nie wiem natomiast, jak to wyglądało na pawilonie głównym, gdzie siedziała większość towarzyszy.

A oto komunikat oraz informacja komuny:

Komintern z żalem zawiadamia polskich komunistów, że KPP i wszystkie jej przybudówki zostały rozwiązane, gdyż do najwyższych władz przeniknęła agentura piłsudczykowska. Krok ten był nieodzowny dla oczyszczenia szeregów KPP i uchronienia jej członków przed masowymi aresztowaniami.

Wiadomość przyjęliśmy w grobowym milczeniu. Po chwili Lewartowski zwrócił się do nas z tymi słowami:

- Szczęściem dla naszego ruchu jest to, że zawsze staliśmy na stanowisku, iż historię tworzy cała partia, a nie tylko jej przywódcy. W historii były mniejsze czy większe zdrady, ale idee zawsze pozostają żywe.

W tym rozpaczliwym dla nas momencie taki komentarz niewiele nam wyjaśnił. Ale czegóż mogliśmy oczekiwać?

W dalszym ciągu Lewartowski poinformował nas, że komitet więzienny podaje do wiadomości wszystkim członkom partii iż uznając decyzję Kominternu, tym samym rozwiązuje wszystkie trójki partyjne na oddziałach, łącznie z komitetem ogólnowięziennym. Prosi się przy tym, by na razie na te tematy nie dyskutować, bo oprócz komunikatu nie dysponujemy żadnymi innymi materiałami źródłowymi.

Jednocześnie wobec rozwiązania KPP dotychczasowy zarząd komuny proponuje przeprowadzenie ponownych wyborów delegatów do nowego zarządu.

- Tak ustępujący zarząd jak i rozwiązany komitet partyjny uważają, że do nowych instancji nie może wejść żaden towarzysz, który kiedykolwiek piastował funkcję członka Komitetu Centralnego partii lub Sekretariatu - dodał Lewartowski.

Dotychczasowe władze, tak partyjne jak i komuny, składały się głównie z członków Komitetu Centralnego z Alfredem Lampe na czele. Widocznie poczuli się oni winnymi „przedostania się zdrajców" do najwyższych instancji partyjnych i dlatego uznali, że nie powinni piastować żadnych funkcji organizacyjnych.

Co my wszyscy myśleliśmy o tym? Każdy z nas przeżywał na swój sposób tę wielką tragedię dla całego ruchu i dla każdego jego członka. Siedzieliśmy w więzieniu tylko dlatego, że dążyliśmy do wytkniętego sobie celu. Czy można dojść do niego bez partii? A jednak ani przez chwilę nie mogłem wątpić w prawdziwość zarzutów. Przecież w stosunku do takiego pionka, jakim był prowokator Włodzimierski,

robiło się całe rozpracowanie, sądy, narady i próby. Dopiero gdy się uzyskało całkowitą, niczym nie zakwestionowaną pewność, wyciągnęło się konsekwencje.

Rozumowałem logicznie, że Komintern, który dysponuje niezbędnymi środkami i aparatem o obsadzie międzynarodowej, jeśli już wydal decyzję - musiał mieć bezsporne dane.

Dopiero po wielu latach okazało się, że te „dane" były nieprawdziwe, a decyzja fałszywa.

I wtedy przeżyliśmy po raz drugi ten okropny dla nas cios. Jak - nie da się wprost opisać.

W porównaniu z więzieniem centralnym czwarty pawilon wyglądał z zewnątrz jak pałacyk. Otoczony był gajem drzew morwowych, gdyż w więzieniu mieściła się eksperymentalna hodowla jedwabników. Budynek był jednopiętrowy i składał się z dwóch oddziałów po 10 cel w każdym. Większość z nich miała dużą kubaturę, wystarczającą dla dziesięciu do piętnastu osób.

Segregacja była tu bardzo pobieżna, gdyż komendant, który był zarazem oddziałowym, patrzył na wszystko przez palce, tak że nawet akceptował skład cel według naszego doboru. Uwzględniwszy moją prośbę, umieścił nas w małej, trzyosobowej celce i znalazłem się razem z Rubinowiczem oraz z Wieczorkiem.

Najlepiej poznaje się współtowarzysza wówczas, kiedy przebywa się z nim razem. Jego najskrytsze myśli, marzenia - nawet te intymne - stają się wspólną własnością.

O Wieczorku napisano już wiele. Ja chcę tylko dorzucić parę słów określających jego sylwetkę.

Jego ciepłe spojrzenie i miły sposób bycia wytwarzał zawsze pogodny nastrój. Swoją śląską gwarą łatwo trafiał do serc towarzyszy. Zaciętość i upór, jakie go cechowały, nie miały jednak nic wspólnego ze sztywniactwem. Umiał być bardzo poważny i jednocześnie bawić się jak chłopiec. Był ode mnie starszy o dwadzieścia jeden lat, ale często, siadając na podłodze, chętnie grał ze mną w „kamyczki".

Godzinami mógł opowiadać kawały. Niektóre z nich dotyczyły jego samego. Kiedy po raz pierwszy został wybrany komunistycznym posłem do Autonomicznego Sejmu Śląskiego, miał wielką tremę. Peszyło go nie to, że miał wygłosić programowe przemówienie komunistycznej frakcji poselskiej, bo na trybunie czul się bardzo swobodnie i przeważnie mówił bez żadnych notatek - obawiał się tylko tego, czy nie popełni jakiejś gafy uwłaczającej godności posła. Czy nie onieśmieli go przepych rzęsiście oświetlonej sali marmurowej w gmachu Urzędu Wojewódzkiego? Nie mógł jakoś wyobrazić sobie siebie wśród takiego luksusu. Porównywał go z ciemnymi, wilgotnymi korytarzami kopalni, jego codziennym miejscem pracy. Bał się, by podobnie jak Witos, kiedy po raz pierwszy znalazł się w Sejmie, nie stał się teraz on wśród braci Ślązaków tematem różnych kawałów.

Ale jego obawy i trema przed pierwszym wystąpieniem poselskim okazały się bezpodstawne. Kiedy po wojnie w 1945 roku rozmawiałem z byłym redaktorem „Polonii", Smotryckim, i stenotypistą Sejmu Śląskiego, Jungiem, opowiadali, jak ogromne wrażenie zrobiło na zebranych pierwsze programowe przemówienie Wieczorka. Smotrycki był świadkiem rozmowy, w której m. in. Wojciech Korfanty powiedział: „Gdybym nie był jego przeciwnikiem politycznym, uścisnąłbym mu rękę".

Wieczorek opowiadał nam raz dość oryginalną przygodę, jaka wydarzyła mu się w okolicach Nierodzimia podczas nie zapowiedzianego wiecu poselskiego wśród robotników sezonowo zatrudnionych przy regulacji Wisły. Przybył tam akurat w czasie, kiedy między tamtejszymi władzami i kierownictwem robót a ich wykonawcami doszło do zatargu. W rezultacie kilku najbardziej bojowych robotników zostało aresztowanych. Teren wiecu patrolowała policja. Do wysiadającego z taksówki Wieczorka podszedł jeden z policjantów. Widząc legitymację poselską, zasalutował z szacunkiem i wyprężony jak struna zrelacjonował: „Panie pośle, wszystko w najlepszym porządku. Wodzirejów strajkowych aresztowano. Spokój został przywrócony". Jakież było jego zdziwienie, kiedy poseł kazał natychmiast wszystkich zwolnić. Policjant był tak olśniony godnością poselską, że nie próbował wcale sprzeciwiać się Wieczorkowi. Wiec odbył się więc z udziałem wszystkich robotników tam zatrudnionych.

Następnego dnia zawezwano policjanta do raportu. Za niedopełnienie obowiązków służbowych został odpowiednio ukarany, co umotywowano tym, iż powinien zorientować się, że ma przed sobą posła z ramienia partii komunistycznej.

Drugi współtowarzysz celi, Rubinowicz, był jakiś czas członkiem KC Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, został w 1929 roku skazany na 12 lat. Kiedy go spotkałem, miał już za sobą 10 lat przebytych w różnych więzieniach, z czego 5 w pojedynczych celach. Około czterdziestoletni, był średniego wzrostu, łysawy, z resztkami siwiejących włosów.

W przeciwieństwie do Wieczorka, który był z natury wesoły, pogodny i towarzyski - Rubinowicz chodził po celi ciągle zamyślony i nie brał nigdy udziału w żadnych grach czy zabawach prowadzonych przez nas dla zabicia czasu. Bardzo dużo czytał. Przeważnie były to artykuły z gazet, gdyż wszystkie książki, jakie znajdowały się w bibliotece więziennej czy w prywatnych zbiorach towarzyszy, miał już przeczytane. Niektóre dwukrotnie. Po przeczytaniu jakiegoś artykułu mógł później prowadzić szeroki wykład na ten temat, snując własne horoskopy sytuacji politycznej.

Godzinami rozprawiał z Wieczorkiem o rozwiązaniu KPP. Sprawa ta na ogół nie była tematem szerszych dyskusji towarzyszy, gdyż każdy przeżywał ją po swojemu i po prostu nie chciał rozjątrzać i tak bolącej rany. Rubinowicz zresztą też nawet na chwilę nie sądził, że komunikat Kominternu o zdradzie niektórych działaczy KPP mógłby być nieprawdziwy. Ale początkowo trudno mu było pogodzić się z tym faktem, gdyż pomimo że siedział tyle lat w więzieniu, znał osobiście wielu przywódców. Z niektórymi zapoznał się przebywając w jednej celi, a innych znał jeszcze z pracy partyjnej przed aresztowaniem. Uwierzywszy ostatecznie jednak, że zarzuty stawiane przywódcom oparte są na bezspornych danych, miał wątpliwości co do słuszności rozwiązania KPP. Tego samego zdania był zresztą Wieczorek.

Ostatnią smutną wiadomość o Rubinowiczu otrzymałem w 1939 roku we Lwowie. Przechodząc linię demarkacyjną, został zatrzymany przez straż graniczną, a ponieważ nie posiadał żadnych dokumentów, został ponownie aresztowany i po jakimś czasie zmarł.

Wciąż żywo mi stoi w pamięci krótki okres pobytu w jednej celi z tymi dwoma towarzyszami. Tak Wieczorek jak i Rubinowicz otaczali mnie troską i sympatią. Wieczorek nazywał mnie synkiem, być może dlatego, że na czwartym pawilonie byłem jedynym jego krajanem.

Kiedy po miesiącu przeniesiono mnie do wspólnej celi, gdzie siedziała sama młodzież, początkowo odczuwałem rozstanie jako brak jakby ojcowskiej opieki. Gdy zostałem wyznaczony przez zarząd komuny dyżurnym porządkowym, codziennie zaglądałem do moich byłych współwięźniów, co sprawiało mnie i im niekłamaną przyjemność.

Na czwartym pawilonie przebywali wówczas prawie sami mężczyźni. Wyjątek stanowiły trzy więźniarki polityczne, które zajmowały dwie małe celki.

Zarząd komuny zgodził się, by obsługa składała się z naszych towarzyszy. W ten sposób uniezależnialiśmy się od kryminalnych, których administracja musiałaby sprowadzić z „centralniaka".

Początkowo planowaliśmy, że dyżur będzie miała codziennie inną grupa. Komendant pawilonu nie zgodził się jednak na to. Zażądał dwóch towarzyszy do stałej obsługi. Wyznaczono więc członka zarządu komuny, Ukraińca Magurę, i mnie. Nie nazywaliśmy się oficjalnie kalefaktorami, tylko samoobsługą. Uznaliśmy, że ta druga nazwa lepiej do nas pasuje.

Korzyści z takiej decyzji komuny były ogromne. Komendant, starszy już człowiek i leniwy, dla własnej wygody zostawiał nam podczas sprzątania cele tylko zaryglowane, tak że z biegiem czasu mogliśmy swobodnie przepuszczać towarzyszy z jednej celi do drugiej, gdyż pełniliśmy funkcje na korytarzu przez parę godzin.

Wkrótce komendant nabrał do nas takiego zaufania, że załatwiając w tym czasie swoje sprawy, często zostawiał mnie samego w dyżurce.

Raz korzystając z okazji zabrałem mu z żelaznej szafy 30 formularzyków używanych przy cenzurowaniu książek. Blankiety podpisywał zwykle kapelan więzienny. Z podpisem nie mieliśmy trudności, gdyż jeden z towarzyszy, Planer, wspaniale go podrabiał.

W ten sposób książki zabronione, które leżały w depozycie poszczególnych więźniów, z chwilą ich wyjścia na wolność mogły pozostać u towarzyszy odsiadujących jeszcze wyroki. Zamienialiśmy jedynie kartę tytułową, np. „Kapitał" Marksa opatrzyliśmy tytułem wyrwanym z książki prof. Stanisława Grabskiego: „Ekonomia społeczna", załączając jednocześnie karteczkę cenzury z podrobionym podpisem.

Dzięki naszej funkcji otrzymywaliśmy również regularnie niedozwolone gazety i czasopisma. Zorganizowaliśmy to następująco: towarzysz Planer poprosił na widzeniu swoją żonę, by zawsze posyłała mu w paczce parę niedozwolonych artykułów spożywczych, takich jak wino lub czekolada, owijając je w „Dziennik Popularny" albo inne interesujące nas pisma. Asystując przy przeglądzie paczek, szybko odwijałem gazetę z butelki wina i mnąc ją niedbale, wsuwałem do paczki. Flaszkę natomiast stawiałem przed komendantem, mówiąc:

- Znowu coś niedozwolonego.

Widok koniaku czy wina bardziej przyciągał wzrok komendanta niż zmięty kłąb gazety. Rzucał tylko okiem na rozpakowaną paczkę, czasem, ale rzadko, pobieżnie ją przeglądał - i tak nielegalna prasa przedostawała się do naszych cel, zwłaszcza, że towarzysze, którzy wychodzili na wolność, znali już tę procedurę i w ten sam sposób posyłali nam paczki.

Lata szły naprzód, czasy się zmieniały. Do normalnych naszych zajęć doszła w końcu... rytmika i tańce. Niektórzy starsi towarzysze też chcieli nauczyć się tańczyć. Mieliśmy w naszej grupie paru poważnych działaczy, którzy kończyli wyroki, a żaden z nich nie posiadał tej umiejętności, chcieli więc nadrobić utracony czas.

Należeli do nich: Lewartowski - ówczesny działacz KC KPP, późniejszy przywódca powstania w getcie, Rubinowicz - członek Centralnego Komitetu KPZU, Wieczorek - poseł na sejm, działacz KPP, Kozłowski z Zachodniej Ukrainy i wielu innych. Najwięcej kłopotu z tańcem miał chromy towarzysz Lewartowski. Stawiał on pierwsze taneczne kroki razem z Wieczorkiem. Z prawej strony celi stal towarzysz Czuj - technik budowlany z Kowla, a z lewej jeden towarzysz z Warszawy tancerz-amator. Obaj ćwiczyli „rekrutów", którym zachciało się nauki pląsów. Wieczorkowi szło to nieźle - często przecież bywał na festynach górniczych - natomiast Lewartowski pocił się, ale nie rezygnował i w końcu też mu wychodziło. Wypuszczaliśmy pojedynczo towarzyszy z innych cel, aby zaglądając przez „judasza" do tańczących stanowili „publiczność" przy tych popisach. Było to przyjemne urozmaicenie w naszym monotonnym życiu.

Po skończonej lekcji tańca, Lewartowski przechodził do innej celi, gdzie z kolei zamieniał się w nauczyciela już nie tańca, ale ekonomii politycznej.

Dziś kiedy bohaterowie powyższego opisu przeszli już do historii ruchu robotniczego, zapisawszy własną krwią piękne karty walk komunistów o sprawiedliwość społeczną i wolność Polski, wspominam ich takimi, jakich znałem na co dzień, i sądzę, że opisy moje w niczym nie umniejszą ich wielkości. Chcę tylko pokazać, że na bohaterstwo składa się nie tylko porywająca wyobraźnię walka, ale i codzienne, szare życie, postawa dodająca otuchy współtowarzyszom niedoli, humor, który udziela się innym, pozwalając łatwiej znosić trudne koleje losu. A trzeba pamiętać, że oni na pewno bardziej przeżywali wydarzenia, które miały wówczas miejsce, niż inni - choć wszyscy cierpieli.

Pisałem już, że warunki na czwartym pawilonie były wyspą w katowni rawickiej, dlatego też mogliśmy zorganizować znośne życie dla tych, którzy już kończyli wyroki. A na czwartym pawilonie byli tylko tacy.

Toteż działo nam się względnie dobrze. Mieliśmy dłuższe spacery i więcej swobody. Codziennie ktoś od nas wychodził na wolność. W końcu maja 1939 roku wyszedł towarzysz Wieczorek.

Przyrzekł, że gdy tylko odpocznie i nawiąże kontakt z towarzyszami, to opisze nam szczegółowo, jak wygląda sytuacja na wolności i czy są jakieś nadzieje na szybką rekonstrukcję partii.

Umówiliśmy się, że w porozumieniu z moją matką wyśle mi paczkę i w pudełku z podwójnym dnem przekaże szczegółowe dane. Byliśmy pewni, że jeśli dozorca nie kontroluje innych paczek, to tym bardziej mojej nie będzie tak szczegółowo przeglądał.

Mijały tygodnie. Paczkę wprawdzie otrzymałem, ale listu nie było.

Przyszedł nareszcie oczekiwany dzień 22 lipca 1939 roku, kiedy opuściłem mury więzienne.

Lewartowski z kolei prosił mnie bardzo, bym przypomniał Wieczorkowi o jego obietnicy i nie pozostawił ich tu bez żadnych wiadomości.

Po sześciu latach i kilku miesiącach pobytu w więzieniu - przyjechałem do matki do Sosnowca.

XVII
Sylwetki naszych matek

Na matkę wspomnij swą.
Na miłość co bez plam.
Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę
Wierz w piękność ducha słoneczną
I w miłość, która jest wieczna –
Na matkę wspomnij swą.
(A. Asnyk: „Echo kołyski")

Pisząc wspomnienia z działalności rewolucyjnej, nie można pominąć najdroższych nam istot: matek i żon, które zawsze i wszędzie towarzyszyły nam w ciężkiej walce. Ich trud i poświęcenie złożone w ofierze dla naszej idei nie powinny nigdy pójść w zapomnienie.

Wiele już napisano i wyjdzie jeszcze dużo publikacji o działaczach KPP i KZMP. Natomiast niewiele wiadomo jest ogółowi o tych bezimiennych bohaterkach, które często wiele więcej cierpiały niż my, pomimo że nie siedziały w więzieniach. Formalnie do partii nie należały. Ale miłość do własnych dzieci, do idei, o którą dzieci te walczyły - stała się treścią ich życia. Nie skarżyły się na los, który je tak gorzko doświadczył; wierzyły, że ich najbliżsi mają rację. O tym nie możemy nigdy zapomnieć, tym bardziej, że wiele z tych ofiarnych, pełnych poświęcenia kobiet odeszło od nas na zawsze.

Wiele z nich, choć do ruchu robotniczego zbliżyła je przede wszystkim miłość do najbliższych, z biegiem lat zrozumiało ideę socjalistyczną i stało się świadomymi uczestniczkami tego ruchu.

Gdyby na podstawie dzisiejszych ankiet zebrać dane o ich działalności w ruchu robotniczym, przedstawiałyby się one nader ubogo. Wszystkie rubryki: przynależności partyjnej, związkowej i pracy konspiracyjnej wypełniałoby słowo: nie. Jedynie paragraf, który zapytuje: „Czy ktoś z waszych bliskich i krewnych był prześladowany przez rządy burżuazyjne?" - zapełniłyby rzędy nierównych liter, napisanych niewprawną, drżącą już dziś ręką: „mąż, syn, córka, zięć..."

Chciałbym, by moje krótkie wspomnienia o ich skromnym, a zarazem tak wspaniałym życiu choć w części uzupełniły rubryki symbolicznej ankiety. Chciałbym, by oddały choć w części ogrom ich poświęcenia, miłości i ofiar poniesionych dla sprawy ich dzieci.

Sylwetki, które nakreślę, będą może niepełne, ale przedstawiam je tak, jak zapamiętałem z okresu tamtych lat. O mojej matce już pisałem. Mieszkanie nasze, które leżało na szlaku prowadzącym z całego Zagłębia do Mysłowic, było zawsze miejscem spotkań wielu matek i żon aresztowanych towarzyszy. Dziś, po upływie tylu lat, mam w pamięci ich smutne, zatroskane twarze i oczy pełne łez, szczególnie w czasie głodówek ich mężów czy synów lub w okresie wzmożonego terroru w więzieniach sanacyjnych. Pomimo to z godnością znosiły te ciosy i zawsze gotowe były do dalszych poświęceń; a jeśli wymagały tego warunki - zastępowały mężów czy synów w pracy organizacyjnej.

Nigdy nie zapomnę słów mojej matki, wypowiedzianych do „nowicjuszek" wybierających się razem z nią na widzenie do więzienia: „Nie płaczcie tylko w obecności naszych wrogów, bo widok łez sprawia

im przyjemność. Oni powinni czytać w naszych oczach tylko nienawiść i pogardę". Sama trzymała się dzielnie, ale często nocami długo płakała w ukryciu... Matka moja nie była odosobniona ze swoimi troskami. Podzielało je wiele podobnych jej kobiet. Wydawałoby się, że sylwetki wszystkich matek są jednakowe, że wszystkie jednakowo cierpiały, a przecież każda miała odrębne cechy i w odrębny sposób reagowała na wydarzenia i na klęski, które były udziałem ich całego życia.

Należy tu podkreślić, że były to kobiety od nas wówczas już starsze o blisko pół wieku i większość z nich urodziła się w środowisku robotniczym czy też wiejskim, gdzie w zasadzie nie posyłano dziewcząt do szkoły. Wychowane były w duchu posłuszeństwa, zgodnie z panującą tradycją i zwyczajami religijnymi. Wiele z nich od wczesnej młodości pracowało zarobkowo, niekiedy ponad siły.

Dlatego też ich postawa, szybka emancypacja w starszym wieku i dotrzymywanie kroku swoim dorosłym dzieciom zasługują dzisiaj na szczególne podkreślenie, zwłaszcza wobec młodzieży, której może wydawać się to całkiem naturalne. No bo cóż w tym pozornie dziwnego, że rodzice mają te same przekonania, co ich dzieci. Żyją przecież pod jednym dachem, w tej samej epoce i warunkach. Ale właśnie fakt, że nasi rodzice byli to ludzie wychowani w innym duchu, cofnięci o kilkadziesiąt lat, a pomimo to idący z postępem i rewolucją - godny jest podziwu i uznania.

Przyjrzyjmy się im bliżej.

Katarzyna Kozioł - była matką znanej rodziny komunistycznej z Sosnowca. Owdowiała przedwcześnie. Cały ciężar wychowania pięciorga dorastających dzieci spadł na jej barki. Przyjaźniła się z moją mamą, gdyż łączyła je wspólna niedola i wspólna troska o byt. Zaraz po I wojnie światowej, po której Polska odzyskała przecież niepodległość, zaczęła się dla Kozłowej nowa niewola, trwająca aż do końca życia. Sądy, bramy więzień, areszty policyjne czy odwachy - oto miejsca jej stałych wędrówek.

Tygodnie mijały - jedne podobne do drugich. Każdy dzień wypełniała jej praca i troska. Niekiedy całymi godzinami załatwiała różne formalności w urzędach, prokuraturze czy u adwokatów, gdyż były okresy, że cała jej piątka naraz siedziała w więzieniu. Toteż Kozłowa prawie każdego dnia jechała lub szła do innego więzienia na widzenie lub z „wałówką".

Gdy nawet dzieci były na wolności, też nie za wiele mogła się nimi nacieszyć. Jaśka po powrocie ze szkoły partyjnej w ZSRR pracowała w sekretariacie w Warszawie. Kazik był funkcjonariuszem OK KZMP w Krakowie lub na innym terenie. Roman zaś ciągle zajęty był pracą organizacyjną w Zagłębiu i na Śląsku, a najmłodszego Zenka, mimo że uważał się za wielkiego działacza, musiała zawsze dopilnować, by nie zrobił jakiegoś głupstwa. Jedynie najstarszy syn, Edmund, zawsze był przy niej, gdyż ktoś musiał pomagać w utrzymaniu domu i opiece nad resztą rodzeństwa. Funkcja jego nie ograniczała się zresztą wyłącznie do tego, gdyż często razem z matką załatwiał różne sprawy organizacyjne i techniczne, w których był niezastąpiony.

Choć Kozłowa miała tyle własnych kłopotów, nie zapominała o innych matkach, które były w podobnym położeniu jak ona. Często, w wolnych chwilach wpadała do mojej matki, przynosząc różne jarzyny ze swego ogrodu, który w czasie, kiedy dzieci siedziały w więzieniach, był głównym źródłem jej utrzymania. Dla nas, zwłaszcza latem, ogród ten był wymarzonym miejscem na krótkoterminowe magazynowanie literatury przed kolportażem czy transparentów w przeddzień zawieszenia, gdyż położony był w bardzo dogodnym miejscu. Kozłowa o wszystkim wiedziała, a często nawet sama pośredniczyła w dostarczaniu przechowanego, nielegalnego „towaru".

Było czymś zupełnie naturalnym, że jeśli jakiś towarzysz wyszedł z więzienia i na razie nie miał gdzie mieszkać - przychodził do jej domu, gdzie znajdował prawdziwie macierzyńską opiekę. Był to duży wysiłek z jej strony, biorąc pod uwagę jej warunki materialne. Często odbywało się to z uszczerbkiem dla niej samej. Ale taką ją znałem i zapamiętałem.

W latach trzydziestych w naszym sąsiedztwie, przy ul. Małachowskiego, mieszkała „Babcia" Cedlerowa. Przyjaźniliśmy się z nią. Bywaliśmy często u niej, a ona u nas. „Babcia" znała dobrze prawie wszystkie więzienia, jakie znajdowały się na terenie Polski. Jej mąż, Edmund, jeden z najpopularniejszych działaczy KPP w Zagłębiu, rozpoczął działalność konspiracyjną jeszcze w 1905 roku. Prześladowany przez carską ochranę za działalność niepodległościową, zmuszony był przenosić się z miejsca na miejsce.

Gdy w Rosji wybuchła Rewolucja Październikowa, a Polska stała się niepodległa, Edmund Cedler - „Dziadek" - wraca do Zagłębia, by tu w praktyce realizować hasła wolnościowe, o które walczył. Już pierwsze dni przynoszą mu rozczarowanie. Zamiast wymarzonej wolności spotyka wszędzie terror i ustawiczny wyzysk robotnika. Czerwona Gwardia Zagłębia - zalążek milicji obywatelskiej zostaje krwawo rozgromiona. Gdy zostaje powołana partia komunistyczna, „Dziadek" od pierwszych dni staje się jednym z jej organizatorów w Zagłębiu i aktywnym działaczem. Od tej chwili „Babcia" wstępuje na ciernistą drogę. Nazwano ją tak nie z powodu podeszłego wieku, ale pseudonim męża po prostu przeszedł na nią i tak już pozostało. Właściwego jej imienia nikt z nas nie znał.

Już w 1920 roku mąż jej zostaje osadzony w więzieniu w Będzinie. Wtedy rozpoczęły się jej „pielgrzymki" od jednego do drugiego więzienia, które trwały aż do bohaterskiej śmierci „Dziadka", zamordowanego przez Gestapo w 1941 roku. Nie ominęła ją nawet „wizyta" w ciężkim Więzieniu Świętokrzyskim, gdzie w zasadzie siedzieli tylko niebezpieczni przestępcy kryminalni. „Dziadka" umieszczono tam za organizowanie strajku przeciwko złemu traktowaniu więźniów politycznych w więzieniu w Będzinie.

„Babcia" nie załamywała rąk, choć została z małymi dziećmi. Zaczęła pracować, by zarobić na utrzymanie rodziny i zdobyć środki na zakup „wałówek" dla męża. Gdy w 1929 roku zostaje aresztowany jej najstarszy syn Edward, członek KZMP, musi teraz na przemian jeździć raz do męża do Wronek, gdzie wtedy odsiadywał już drugi wyrok, a raz do syna do Mysłowic. Obowiązków przybywa. Choć młodszy syn, Zbigniew, już pomagał w utrzymaniu domu, kłopoty i wydatki wzrosły w związku z chorobą najmłodszej córki Honoratki, która była bardzo wątłym dzieckiem.

„Babcię" znała większość rodzin aresztowanych towarzyszy. Ona najlepiej wiedziała, co można podawać do więzienia, co jest niezbędne więzionemu i do kogo należy się udać, by otrzymać zezwolenie na widzenie ż bliskim lub na podanie „wałówki". Ona też często załatwiała w MOPR-ze opiekę nad towarzyszami nie mającymi krewnych, którzy mogliby im pomagać.

Kiedy w latach trzydziestych „Dziadek" otrzymał związany z rentą order za walkę z caratem (widocznie komisja przyznająca odznaczenia opierała się na spisach i charakterystykach pochodzących jeszcze z okresu podziemnego ruchu niepodległościowego i nie wiedziała, że „Dziadek" jest obecnie komunistą), „Babcia" pomimo ciężkich warunków materialnych pierwsza postanowiła, by odesłać odznaczenie tym, którzy zdradzili hasła walki o wolność i więzili jej bojowników.

W 1936 roku spada na „Babcię” nowy cios. „Dziadek” zostaje osadzony w Berezie Kartuskiej, pomimo że jest ciężko chory na płuca. I znów troska: jak wyrwać z tej katowni chorego, blisko sześćdziesięcioletniego człowieka.

Nadszedł tragiczny wrzesień 1939 roku. Ziemie Polski depcze okrutny okupant. W 1940 roku z kolei Gestapo zaaresztowało Cedlera. „Babcia” znowu pozostała bez męża. Rozpoczyna nowe wędrówki, tym razem do więzień hitlerowskich; taka była logika walki i treść życia komunistów. Nadwątlone zdrowie „Dziadka” nie wytrzymuje już hitlerowskich katuszy. W czerwcu 1941 roku, ciężko chory, zostaje przez nich bestialsko zamordowany.

Ale na tym nie koniec tragedii. Dopełnia się kielich goryczy, kiedy syn Edward ginie bez śladu i nie wiadomo nawet, gdzie jest jego grób. Pozostały przy niej, młodszy syn pragnął poświęcić się matce i chorej siostrze. Ale nie było jej dane zaznać w życiu nawet odrobiny szczęścia. Kiedy nastąpił zwrot w wypadkach wojny światowej, a Armia Radziecka i Wojsko Polskie wyzwalało już nasze ziemie - zabłąkany ułamek pocisku odebrał jej tego ostatniego syna.

Nigdy nie skarżyła się na swój los, jakby uważała go za normalny, przeznaczony jej jak wielu matkom i żonom rewolucjonistów. Taką pozostała do dnia dzisiejszego.

Wśród rodzin zaangażowanych w rewolucyjnym ruchu robotniczym na terenie Zagłębia Dąbrowskiego przydomek „Babci” nadawany był nie ze względu na wiek, lecz przede wszystkim nadawano go matkom, których całe rodziny związane były z działalnością Komunistycznej Partii Polski i uczestnictwem w prowadzonych przez tę partię walkach ekonomicznych i politycznych. Wokół tych rodzin skupiali się miejscowi towarzysze partyjni i bezpartyjni, niosący materialną pomoc więźniom politycznym. Z czasem ich mieszkania stały się ośrodkami spotkań i dyskusji politycznych, ponieważ wśród członków tych rodzin znajdowali się działacze o dużym wyrobieniu politycznym i cieszący się zaufaniem, którzy przeszli szkołę więzień sanacyjnych.

Miano „Babci” uzyskała również Katarzyna Wrońska z robotniczej dzielnicy Środula, matka siedmiu synów i trzech córek. Do KPP należeli synowie: Jan, Józef, Władysław - do KZMP: Bolesław i Zofia, do dziecięcej organizacji „Pionier”: Stanisław i Piotr.

Działalność dzieci narażała dom „Babci” Wrońskiej na częste rewizje. W czasie akcji strajkowych bądź przygotowania do obchodów pierwszomajowych, gdy aresztowania się wzmagały, „Babcia” Wrońska wykazywała szczególną czujność, chowając literaturę nielegalną do niedostępnych i tylko jej wiadomych kryjówek. Umiała też w czasie przeprowadzanej rewizji odpowiednio „zagadać” tajniaków w celu umożliwienia rodzinie czy towarzyszom ucieczki przed aresztowaniem, co się też kilkakrotnie udawało. Znała tajniaków i poznawała ich na odległość. W czasie odbywających się w jej mieszkaniu zebrań nielegalnych i legalnych (PPS-Lewicy) organizacji z własnej inicjatywy czuwała na ulicy, czy ktoś nie szpicluje.

Przez wieloletni okres chodziła pieszo do więzienia w Mysłowicach niosąc „wałówki” dla syna i innych towarzyszy. Brała udział w masówkach organizowanych przed więzieniem mysłowickim razem z innymi matkami i członkami rodzin więźniów politycznych.

Miała serce matczyne nie tylko dla swoich dzieci, lecz okazywała je innym towarzyszom znajdującym się w ciężkich warunkach. Józef Popielec, człowiek samotny i prześladowany przez policję, były więzień Berezy Kartuskiej znalazł w jej mieszkaniu stałe schronienie i opiekę.

W okresie okupacji cudem uniknęła śmierci, gdy w czasie obławy na PPR-owców w lutym 1943 r. Gestapo w sposób bestialski zamordowało w jej mieszkaniu jej zięcia, Józefa Kowalewskiego. Boleśnie też przeżyła śmierć syna, Józefa Wrońskiego, który będąc komendantem radziecko-ukraińskiej grupy partyzanckiej, zginął w 1944 r. w potyczce z hitlerowcami w okolicach Szczawnicy.

Po wyzwoleniu, aż do śmierci w 1960 r., zawsze wykazywała bojową postawę, pełną optymizmu i wiary w zwycięstwo klasy robotniczej.

W żeńskim gronie matek zawsze można było spotkać starszego, szczupłego mężczyznę z siwą, krótko przystrzyżoną bródką. Był to Henryk Warszawski (Hercki). Mimo starszego wieku był bardzo ruchliwy. Okulary, które nosił, nadawały mu wygląd profesora i często kobiety, bez cienia złośliwości, tak go tytułowały.

Był ojcem ośmiorga dzieci: sześciu córek i dwóch synów. Wszyscy w różnych okresach byli członkami KPP i KZMP. Najstarsza Teresa (Cerla - zginęła jako członek francuskiego Ruchu Oporu w czasie okupacji) rozpoczęła działalność rewolucyjną jeszcze w 1920 roku. W ślad za nią poszły: Różka i Helena. W 1924 roku spadają na ich dom pierwsze ciosy. Stan zdrowia matki pogarsza się z dnia na dzień. Będąc raz sama w domu, niespodziewanie otrzymała wiadomość, że najstarsza córka została aresztowana i w każdej chwili policja może przyjść na rewizję. Zaledwie zdążyła ukryć nielegalną literaturę, gdy wpadli policjanci z nakazem aresztowania Różki i Heleny. Nie mogła ich już uprzedzić. Wszystkie trzy zostały osadzone w więzieniu. Cios był tak wielki, że Warszawska, poważnie chora na serce kobieta, umiera, nie mogąc przetrzymać tylu zmartwień.

Po śmierci matki ojciec zajął się wychowaniem pozostałego w domu rodzeństwa, a jednocześnie pomagał trzem więzionym córkom. Gdy po jakimś czasie wypuścili Teresę i Różkę, policja rozesłała znowu listy gończe za starszym synem, który mimo że był filarem rodziny - zmuszony był wyemigrować za granicę do Francji. Co rok przybywało kłopotów. Oprócz własnych dzieci Warszawski miał teraz jeszcze pod opieką dwie córki zmarłego brata: Zofię i Salomeę, które również przebywały w więzieniu. Na domiar tego aresztowano zięcia, który pozostawił jedną z jego córek z parą niemowląt-bliźniaków.

Mimo tylu kłopotów Warszawski był pogodny i jeszcze pocieszał innych. Znany był wszystkim z tego, że każde nawet mało znaczące wydarzenie interpretował w sposób ciekawy i barwny. W latach 1931-1932 był zwyczaj, że KZMP-owcy urządzali lotne masówki. Polegały one na tym, że jedna lub dwie komórki organizacyjne, bez angażowania tzw. większej samoobrony, wybierały jakiś ludny punkt w mieście w godzinach największego nasilenia ruchu. Towarzysz, który miał przemawiać, siadał okrakiem na ramionach kolegi i z tak zaimprowizowanej trybuny wygłaszał krótkie, najwyżej dwie minuty trwające przemówienie, związane zazwyczaj z aktualną sytuacją czy świętem robotniczym. Przemówienie kończył mówca bojowym okrzykiem, poczem wszyscy szybko się rozchodzili.

Warszawskiemu ten rodzaj akcji bardzo się nie podobał. Otwarcie krytykował je, uważając za nieprzemyślane i niecelowe.

- Co kto ma z tego - mówił - że wy krzyczycie do rękawa (była to aluzja do tego, że czasem w obawie przed policją przemawiający sciszał głos). Kłopoty rodziców są większe niż efekty tych masówek, które w większości kończą się wpadkami, jak to było z moim synem Salomonem.

Natomiast z łezką wspominał „stare czasy", jak to kiedyś jego starsze córki, a szczególnie Helena Reis, kierowały pracą partyjną w Zagłębiu Dąbrowskim. Opowiadał, jak to często w jego mieszkaniu odbywały się posiedzenia tak partyjne, jak i młodzieżowe. Podczas jednej wielkiej akcji strajkowej przyszło do niego do mieszkania kilku poważnych działaczy z Zagłębia. Tak o tym opowiadał:

- Przyszli w nocy. Byłem o tym uprzedzony. Na wszelki wypadek przygotowałem strych, który nadawał się na „salę konferencyjną". Myślałem, że będą to młodzi ludzie, rówieśnicy mojej córki. Tymczasem byli bardzo poważni, z wielkimi, podkręconymi wąsami - tu wymownym gestem pokazywał kształt tych wąsów, co miało ich właścicielom dodać jeszcze powagi i ważności. - Całą noc - mówił dalej - obradowali, pisali, darli, znów pisali, a ja w tym czasie załatwiałem im różne sprawy; nawet pojechałem do Katowic po jakiegoś działacza z Warszawy. To była robota.

Nie omieszkał przy tym pochwalić się, że takimi „osobistościami" kierowała jego młoda córka, przewodnicząca na tym zebraniu.

Warszawskiego widziałem po raz ostatni przed moim aresztowaniem w 1933 roku. Umarł śmiercią naturalną.

Z tej tak licznej rodziny pozostały tylko dwie córki: Helena i Różka. Siostry ich i dwaj bracia zginęli w czasie okupacji jako uczestnicy francuskiego Ruchu Oporu.

Do Balbiny Misiaszek w Czeladzi można było trafić, choć nie miało się dokładnego adresu. Wystarczyło którąkolwiek z kobiet zapytać, gdzie mieszka matka Misiaszkowa, a każda wiedziała już, o kogo chodzi. W ten sposób i ja po raz pierwszy trafiłem do jej domu. Przyszedłem tam, by odwiedzić chorą towarzyszkę Felicję Rożek, która wówczas tam mieszkała. Gdy poznałem mamę Misiaszkową, miała już przeszło pięćdziesiąt lat. Choć twarz jej nosiła ślady wielu trosk, cierpień i ciężkich lat, wyglądała pogodnie. Sprawiały to piękne, aksamitne, czarne oczy, które dodawały blasku całej twarzy. Po kilku wizytach nie odczuwało się prawie różnicy dzielących nas lat. Jej młodzieńcze usposobienie i wspólne z nami zainteresowania wytwarzały atmosferę zaufania i przyjaźni.

Młodość miała trudną, podobnie jak wszystkie nasze matki. Z ruchem robotniczym zetknęła się bardzo wcześnie, w przeciwieństwie do większości naszych matek, które dopiero za pośrednictwem swych dorosłych dzieci poznały bliżej idee socjalistyczne.

Zawsze towarzyszyła mężowi, a potem synowi w ich pracy organizacyjnej. Pamiętała zaczątki powstawania SDKPiL w Zagłębiu, kiedy to jeszcze Feliks Dzierżyński przyjeżdżał, by tworzyć pierwsze koła robotnicze na Hucie Bankowej. Już wówczas wypełniała różne polecenia męża i towarzyszy. Często dostarczała na wyznaczone punkty literaturę i materiały dla kółek samokształceniowych.

W niepodległej Polsce nadal pomagała partii. Kiedy mąż i syn Znaleźli się za kratami więzień: w Mysłowicach, Wronkach, Piotrkowie czy Będzinie, otaczała ich nadal swą opieką i troską. Pamiętała także i o innych.

Na szczególną uwagę zasługuje może ten moment, że choć organizacyjnie nie była związana z partią i bezpośrednio nie brała udziału w dyskusjach ideologicznych, to miała swój własny pogląd na zjawiska zachodzące wówczas w naszym środowisku. Dam przykład.

Przyjął się u nas wtedy taki pogląd, że działacz KZMP czy KPP powinien być kadrowym rewolucjonistą i całe swoje życie osobiste podporządkować bez reszty sprawie. Ale w tych latach partia była masowa i trudno było wymagać, by wszyscy, którzy do nas przychodzili, do końca trwali na posterunku, niezależnie od warunków rodzinnych czy osobistych. Bywało, że młody towarzysz, bardzo bojowy i oddany, mający niekiedy za sobą kilka lat więzienia, po założeniu rodziny wycofywał się z aktywnej pracy organizacyjnej, nie chcąc narażać żony i dzieci. My, młodzi działacze, szczególnie surowo osądzaliśmy takiego towarzysza, uważając go za drobnomieszczucha i tchórza.

Pamiętam dość długą rozmowę, jaka toczyła się na ten temat między Misiaszkową, Zofią Pater - późniejszą jej synową, Felą Rożek i mną. Balbina tłumaczyła nam, że życia człowieka nie można ująć w sztywne ramy. Trzeba widzieć je ze wszystkich stron. Nie można zbyt pochopnie potępiać tego, kto przekonany jest wewnętrznie o swojej racji; a na pewno, jeśli ktoś chce wyłącznie poświęcić się rodzinie, jakąś rację ma. Również nie bardzo zgadzała się z nami, jeśli chodziło o nasz pogląd, teoretycznie wówczas przez nas uzasadniany, że kto nie idzie z nami, ten jest przeciwko nam. Wykazywała na przykładzie Czeladzi, że wiele kobiet ze środowiska górniczego i urzędniczego, choć miało niekiedy poglądy niezgodne z naszymi przekonaniami, nigdy nie występowało przeciwko nam. Patrzyła na te sprawy z punktu widzenia praktyki życiowej. My natomiast trzymaliśmy się ustalonych, teoretycznych założeń, których często nie rozumieliśmy należycie.

Nie jestem w stanie nakreślić pełnej sylwetki tej pięknej postaci, gdyż za mało ją znałem. Podkreśliłem tylko te momenty, które sam dostrzegłem i które moim zdaniem zasługują na uwagę.

W latach trzydziestych syn jej, Stefan, dostał duży wyrok. Mąż figurował na czarnej liście i nigdzie nie mógł dostać pracy; dodatkowo stan zdrowia starszych pogarszał się. Partia zadecydowała, by wyjechała razem z mężem do ZSRR przede wszystkim na leczenie i przetrwanie ciężkiego dla nich okresu. Niechętnie godziła się na ten projekt, gdyż trudno jej było opuścić dom i pozostawić bez opieki syna przebywającego w więzieniu. Matki nasze, choć niekiedy mieliśmy już własne rodziny, jak większość matek uważały nas zawsze za dzieci, które bez nich nie dadzą sobie rady w życiu. Dopiero na kategoryczne żądanie Stefana wyjechała.

Pierwszy okres pobytu na ziemi radzieckiej przeszedł szczęśliwie. Misiaszkowie znaleźli starych znajomych z okresu wspólnych walk rewolucyjnych. Balbina podziwiała rozmach socjalistycznego budownictwa. Trwało to jednak krótko. Po rozwiązaniu KPP Misiaszków również spotkał ciężki los, jak wielu innych komunistów. Balbina wierzyła jednak, że pomyłka się wyjaśni. Nastąpiło to dopiero po wojnie, kiedy syn jej, Stefan, po wyjściu z obozu, gdzie przebywał cały okres okupacji, dowiedziawszy się o ich tragedii, przez starania partii przyspieszył rehabilitację. Misiaszkowie wrócili do kraju. Zamieszkali z powrotem w Czeladzi i tu dokonały się lata ich już spokojnej starości.

Katarzyna Segdowa jak wszystkie matki pragnęła, by syn jej, Stasiek, nie zaznał w swoim życiu poniżenia i nędzy, jaką ona musiała znosić, pomimo że całe życie ciężko pracowała.

Gdy ją poznałem w 1931 roku, wydawało mi się, że jest już bardzo starą kobietą. Twarz miała zniszczoną, a liczne zmarszczki wyżłobiły na niej głębokie koleiny przeżyć. Ilekroć na nas patrzyła, uśmiechała się dobrotliwie. Wtedy wyglądała młodo. Siwe włosy więc i zniszczona twarz nie były wynikiem podeszłego wieku; postarzył ją przedwcześnie ciężki trud, niedostatek i troska o dzieci.

Gdy w 1931 roku syn jej został po raz pierwszy aresztowany, bez reszty poświęciła się walce z wprowadzanym przez sanację, nowym regulaminem więziennym, który pozbawiał komunistów wszelkich praw więźniów politycznych. Nie było tygodnia, by nie wystawała pod bramami więzienia. W niespełna miesiąc po aresztowaniu Staśka udałem się do nich do domu, by dowiedzieć się, jak przebiega śledztwo i czy Segdowie nie potrzebują naszej pomocy. Jakież było moje zdziwienie, kiedy matka Staśka zamiast żalić się i biadać zaczęła wypytywać, co słychać w organizacji i jak dajemy sobie radę bez jej syna. Przy tej okazji zwróciła się do mnie ze słowami: „Teraz, jak Stasiek siedzi, moje mieszkanie jest poza podejrzeniami policji, bo chyba nie sądzą, że ja, starsza kobieta, należę do KZMP. Jest więc do waszej dyspozycji".

Każda nasza matka sądziła, że jej syn czy córka są najważniejsi w organizacji i wraz z ich aresztowaniem nie ma komu kierować nielegalną pracą. Dlatego też z miłości do swoich dzieci same chciały je zastąpić.

Szczególną inicjatywę wśród naszych matek przejawiała Segdowa przez organizowanie delegacji rodzin więźniów politycznych, których zadaniem było osobiste doręczanie w prokuraturze memoriałów o prześladowaniu i znęcaniu się nad więźniami politycznymi w Mysłowicach. Pisma te musiały być podpisane imiennie, gdyż w przeciwnym wypadku prokuratura nie przyjęłaby ich. Złożenie podpisu wymagało jednak wielkiej odwagi, gdyż znane były wypadki prześladowania autorów i ludzi doręczających pisma. Segdowa jednak, nie bacząc na konsekwencje, sama dobijała się do prokuratora jako matka prześladowanego więźnia.

Memoriały dostarczane przez rodziny musiały być tak zredagowane, by nie dawały prawnych podstaw do wytoczenia rozprawy o oszczerstwo lub podawanie „nieprawdziwych" faktów. Toteż opracowaniem ich zajmował się zawsze Dorenter, sekretarz Związku Rzemieślników i Kupców, który z racji zajmowanego stanowiska i znajomości przepisów prawnych najlepiej się w tych sprawach orientował. Prokuratura w zasadzie pozostawiała memoriały bez rozpatrzenia, gdyż dobrze wiedziała, co dzieje się w Mysłowicach. Doręczane pisma stanowiły więc jedynie formalny protest rodzin przeciwko bezprawiu.

Pamiętam, jak matki raz zadecydowały, by wysłać odpis takiego memoriału do pisarza i felietonisty „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", Zygmunta Nowakowskiego, który ze szczególną troską pisał o braku opieki nad zwierzętami. Sądziły, że jak bliżej zapozna się z treścią pisma i uświadomi sobie, jakie męki przechodzą ich więzione dzieci - w jakiś sposób zaprotestuje. Niestety. Ten „wielki humanista" i „demokrata" zamiast felietonu niedzielnego wystosował pismo do urzędu śledczego w Sosnowcu, załączając memoriał matek celem wyjaśnienia. A jak urząd śledczy wyjaśniał, dobrze wiadome było Nowakowskiemu.

Gdy Stasiek Segda wyszedł z więzienia i aktywnie pracował w KZMP w Zagłębiu Dąbrowskim, matka stała się jego nieodłączną towarzyszką walki i pomocnicą w pracy konspiracyjnej. Niestety często składało się, że matki nasze, tak bardzo nas kochające, wiele lat pozostawały same. Tak też stało się i z Segdową. Gdy został utworzony w Berezie Kartuskiej obóz gdzie osadzenie komunistów nie

wymagało specjalnych dowodów winy, Stasiek tam powędrował. Ja już wówczas siedziałem w więzieniu, ale towarzysze opowiadali mi, że podczas jego nieobecności mieszkanie Segdowej służyło na różne konferencje KZMP i posiedzenia komitetu dzielnicowego. Segdowa w tym okresie bardzo aktywnie pomagała w pracy partyjnej, a nie było demonstracji czy masówki, w której by osobiście nie brała udziału. Zawsze stawała w szeregach młodocianych komunistów, by sobą zapełnić lukę po więzionym synu.

Hannę Wajntraub z Grzymałowa poznałem w więzieniu w Cieszynie, dokąd co miesiąc przyjeżdżała na widzenie z córką Nusią i zięciem Arturem Neumanem, z którym siedziałem w jednej celi. Mimo podeszłego wieku, każdego miesiąca przejeżdżała blisko tysiąc kilometrów, by z „wałówką" nabytą nakładem dużych kosztów stawić się u córki.

Pochodziła z małomiasteczkowej, żydowskiej rodziny rzemieślniczej. Sama przez trzydzieści lat pracowała w zakładzie wód gazowych. Była niepiśmienna, ale za to wyjątkowo doświadczona życiowo różnorodnymi przejściami. Miała dwie córki: Nusię i Klarę. Pragnęła, by poświęciły się pedagogice i uczyły dzieci w małych miasteczkach, aby nie były analfabetkami jak ona. Nie należało to do łatwych spraw, bo w Grzymałowie znajdowała się tylko szkoła podstawowa; najbliższe gimnazjum mieściło się w Tarnopolu, a wyższe uczelnie we Lwowie lub innych oddalonych miastach. Kształcenie córek więc wiązało się z ogromnymi kosztami. Wobec tego Wajntraubowa zdecydowała się pracować po zamążpójściu, co w jej środowisku nie było dobrze widziane. Za wszelką cenę jednak chciała zdobyć środki na przyszłe kształcenie dzieci.

Jakże wielka była jej tragedia, kiedy w 1931 roku Nuśka została aresztowana i wydalona z instytutu pedagogicznego. Ten sam los spotkał wkrótce Klarę, która chodziła do gimnazjum w Tarnopolu.

Zięcia swego Hanna Wajntraub poznała dopiero w więzieniu, gdyż będąc nielegalnym, nie mógł zadośćuczynić tradycji i pojechać do niej z wizytą prezentacyjną. Mimo to kochała go jak własnego syna. Początkowo przeżywała bardzo fakt, że córka jej żyje „na wiarę" z mężem, potem jednak zrozumiała, że działacz tak prawego charakteru, jakim był Artek, nie mógł brać religijnego ślubu, skoro był przekonań ateistycznych. A inne śluby przecież nie istniały.

Jak już pisałem, w tym okresie w Cieszynie łączność z MOPR-em była prawie całkowicie zerwana. Kontaktowano się tylko za pośrednictwem Bielska lub Katowic, co było bardzo skomplikowane. Gdy Nuśka wyszła z więzienia, wpadła na pomysł, by za pośrednictwem matki zaopatrywać nas w aktualną literaturę partyjną. Wajntraubowa chętnie podjęła się tej misji, choć była ona związana z niebezpieczeństwem mogącym skończyć się aresztowaniem.

W szerokiej, blaszanej puszce po cukierkach czy kawie zrobiła podwójne dno. W schowku tym dostarczała nam egzemplarze „Nowego Przeglądu", teoretycznego organu partii, lub też informacje partyjne o aktualnej sytuacji w kraju i na świecie. Resztę zawartości puszki stanowił dżem lub smalec. Przodownikowi Gruszce, który przyjmował „wałówki" i udzielał widzenia, nawet przez myśl nie przeszło, że stara, sześćdziesięcioletnia kobieta waży się na tak ryzykowny krok. Dla nas zaś było to bezcenne, gdyż bez tych materiałów zdani byliśmy na jednostronne, kłamliwe informacje IKC-a czy „Gazety Polskiej", gdyż jedynie na te dzienniki mieliśmy zezwolenie. A w świecie zachodziły przecież

ważne wydarzenia: wojna domowa w Hiszpanii, w ZSRR procesy Bucharina, Radka, Tuchaczewskiego i innych, Front Ludowy itd.

Po rocznej praktyce musieliśmy jednak zaniechać tego systemu łączności, gdyż w Katowicach wpadła dostarczana w podobny sposób literatura, w związku z czym aresztowano wówczas Helenę Kozak.

W miarę upływu lat nie tylko córka i zięć, ale i inni więźniowie polityczni stali się bliscy Wajntraubowej, a kiedy Artek i Nuśka wyszli na wolność - pasją jej stało się niesienie pomocy tym, którzy podobnie jak jej dzieci walczyli z dyskryminacją narodowościową wśród Ukraińców i o to, by nie było pogromów antyżydowskich, które niejeden raz przeżywała na własnej skórze.

Była szczęśliwa, kiedy w 1939 roku po przyłączeniu Zachodniej Ukrainy do ZSRR Artek od razu po wyborze nowych władz w Grzymałowie pojechał do Lwowa, by dokończyć studia. Nuśka również, zgodnie z przyrzeczeniem danym matce jeszcze w więzieniu, że ukończy instytut pedagogiczny, wstąpiła na trzeci rok zaocznych studiów, jednocześnie pracując. Stan taki trwał jednak krótko. W czerwcu 1941 roku hitlerowcy napadli na ZSRR. W trakcie wycofywania się Armii Radzieckiej z terenu województwa tarnopolskiego, a przed wkroczeniem Niemców, ukraińscy nacjonaliści - banderowcy - obejmowali władzę, ustanawiając swoje faszystowskie porządki. Krwawo rozprawiali się ze zwolennikami władzy radzieckiej i zamieszkałą tam ludnością polską. Pisałem już jak Nuśka i Artek jako jedni z pierwszych stali się ich ofiarami. Banderowcy zmusili starą matkę, by przyglądała się publicznej egzekucji swych dzieci, które zostały powieszone tylko za to, że całe życie walczyły z zezwierzęceniem, jakie przynosi faszyzm.

Matkę Wajntraub widziałem ostatnio w 1945 roku. Przetrzymała okupację dzięki jakiemuś towarzyszowi ukraińskiemu, który ją ukrywał u siebie. Po uzyskaniu wolności była już u kresu sił, ale w powstałym, młodym państwie polskim widziała odbicie idei, której poświęciły się jej dzieci.

Gwizd syreny kopalni „Milowice" oznajmiał Marii Suchojadowej nastanie nowego dnia, podobnego do wszystkich poprzednich. Przynosił dalsze kłopoty i niepokoje. A było ich co niemiara. Czy Andrzej wróci zdrowy i cały z kopalni, bo często przecież zdarzały się tąpnięcia czy inne awarie? Na domiar złego nękało ją widmo bezrobocia, gdyż mąż jej mógł każdego dnia spodziewać się redukcji.

Gdy w latach dwudziestych Andrzej wstąpił do KPP, Maria stała się jego nieodłączną towarzyszką i doradczynią. Często przychodziłem do nich na ul. Daleką z poleceniami od moich braci. Suchojadowa pod nieobecność męża niejednokrotnie natychmiast wykonywała zlecone zadania. Wówczas zabawiałem jej dwóch małych synków, aż do chwili powrotu matki. Ciężar wychowania dzieci i utrzymania domu spadał głównie na jej barki, gdyż przez niemalże cały okres dwudziestolecia międzywojennego nie ominęła Suchojadów żadna represja stosowana przez sanację przeciwko komunistom. Andrzej był zawsze profilaktycznie zatrzymywany przed wszystkimi świętami rewolucyjnymi lub większymi akcjami strajkowymi. Więzienie w Mysłowicach było jakby jego drugim mieszkaniem. Kiedy znajdował się na wolności, zawsze przed odejściem do pracy zostawiał organizacyjne polecenia dla „bezpartyjnej" żony. Np. „Zawiadom Połecia, że posiedzenie komórki hutniczej należy przełożyć do niedzieli, bo cały tydzień jestem zarżnięty i nie ma mowy, bym znalazł wolny wieczór". Lub innym razem: „Zawiadom Zygmunta (mowa o moim bracie), że magazyn w

Milowicach jest spalony. Idź również do piekarza «Froima» i powiedz mu, że trzeba pomóc więzionym towarzyszom (tu następowała lista nazwisk), którzy nie mają tu nikogo z rodziny".

Suchojadowa często przychodziła również i do nas. Za pośrednictwem mojej matki załatwiała niektóre sprawy, gdyż nie mogła na długo pozostawiać w domu malutkich dzieci. Szczególnie w okresie wielkich akcji strajkowych, kiedy trudno było o utrzymanie łączności z ośrodkami górniczymi i hutniczymi, żony towarzyszy - a w tej liczbie i Suchojadowa - były pośredniczkami między instancjami partyjnymi a komitetami strajkowymi.

W czasie okupacji los również Marii nie oszczędził. Andrzej został osadzony w obozie koncentracyjnym, skąd wrócił dopiero w maju 1945 roku.

Szczupła i drobna kobieta, Konstancja Walkowicz z Sielc, miała w sobie wiele siły i energii. Patrząc na nią, trudno było uzmysłowić sobie, że zdolna jest załatwiać ważne sprawy organizacyjne. A jednak jeśli potrzebowano jakiegoś lokalu dla techniki - nikt tak dobrze nie umiał tego zorganizować, jak właśnie ona. Będąc jeszcze chłopcem, w towarzystwie braci lub matki często przychodziłem do domu do Walkowiczów. Przypominam sobie jak raz, rozmawiając z moim bratem w sprawie mającej się odbyć akcji wieszania sztandarów na przedmieściach Sosnowca, proponowała, że sama załatwi zakup czerwonego płótna i farb. Hasła może wypisać jakaś towarzyszka u niej w mieszkaniu w nocy, tak by rano dostarczyć gotowe transparenty technikowi, bez potrzeby przenoszenia ich z centrum, co zawsze było utrudnione przez wzmożoną obserwację defensywiaków.

Pamiętam, jak w 1928 roku wpadł ktoś do nas z wiadomością, że Stanisław Walkowicz został aresztowany. Widziano, jak go przed chwilą prowadzono wraz z trzema innymi towarzyszami do urzędu śledczego. Trzeba było natychmiast zawiadomić o tym jego żonę, gdyż Stanisław miał wyjechać w sprawach organizacyjnych za granicę i mógł akurat przechowywać w domu paszport wystawiony naturalnie na inne nazwisko czy też jakieś inne kompromitujące materiały.

Otrzymałem polecenie, bym biegiem, „na jednej nodze", skoczył uprzedzić Walkowiczową o ewentualnym niebezpieczeństwie rewizji. Gdy zdyszany wpadłem do mieszkania z tą smutną nowiną, Walkowiczowa czytała właśnie bajki leżącej w łóżku córeczce. Przyjęła tę wiadomość z niezwykłym spokojem. Wzięła na ręce córeczkę, spod materaca wyjęła owiniętą w papier paczkę. Były tam notatki, instrukcje, rękopisy odezw i tezy do referatów, gdyż Walkowicz w tym czasie pełnił obowiązki etatowego funkcjonariusza okręgowego komitetu KPP.

Okazało się, że paszportu w domu nie było, gdyż fotografie i blankiety miał prawdopodobnie jeszcze u siebie ówczesny sekretarz okręgu, Kazimierz Lepa, który został aresztowany na podpunkcie. Jak później się okazało, miał je przy sobie w chwili zatrzymania. Stały się wystarczającym dowodem do wytoczenia sprawy.

Szybko, ale bez paniki, Walkowiczowa skontrolowała inne schowki w mieszkaniu, a upewniwszy się, że nic więcej nie ma, wyszła razem ze mną, by uprzedzić o wszystkim innych towarzyszy. Na ulicy, kiedy zorientowała się, że nie siedzi nas nikt podejrzany, wręczyła mi wspomnianą paczuszkę, wyjętą z łóżeczka dziecka.

Po paru tygodniach z podobną wiadomością przybiegła do nas Walkowiczowa. Zawiadomiła matkę o aresztowaniu mojego brata, Henryka, który był serdecznym przyjacielem Walkowicza. Teraz siedział z nim w Mysłowicach, w jednej grupie. Co tydzień więc odbywały się wędrówki matki i Walkowiczowej pod bramy mysłowickiego więzienia.

Do 1939 roku Konstancja aktywnie uczestniczyła w ruchu robotniczym, towarzysząc mężowi w trudnej pracy partyjnej.

Matka Szpicbergów z Pogoni pochodziła z biednej, żydowskiej rodziny rzemieślniczej. Nie znała w życiu niczego prócz ciężkiej pracy i trudu wychowania dzieci. Mąż jej był introligatorem. Pracował od świtu do nocy. Jeśli zdarzyło się, że jakiś czas pozostawał bez roboty, nie mieli już ani na życie, ani na zapłacenie komornego.

Szpicbergowa miała wrodzony wstręt do mundurowych. Z daleka omijała policjantów nie dlatego, że miała coś na sumieniu lub weszła w kolizję z prawem, ale po prostu pamiętała, jak carscy kozacy przy lada okazji bili jej ojca, a potem męża. Ci jej zdaniem nie różnili się w niczym od tamtych.

Kiedy w dwudziestych latach jej starszy syn Abram związał się z ruchem robotniczym, cała jej wiedza o socjalizmie ograniczała się do piosenki, którą śpiewali jej synowie. Opiewała ona żydowskiego bojownika z 1905 roku, Barucha Szulmana, który dokonał zamachu bombowego na carskiego komisarza policji miasta Warszawy, za co został skazany na karę śmierci.

Wprawdzie widziała, jak syn całymi nocami czytał jakieś książki, broszury lub skręcał z drutu „kotwiczki", ale nigdy nie sądziła, że jest to coś niedozwolonego. Zawsze przecież przestrzegała synów, by pracowali uczciwie i niczym nie narazili się władzy.

Jednego dnia, na przełomie 1924 roku, niespodziewanie przyszedł do mieszkania Szpicbergów przodownik Międrzyński w towarzystwie dwóch cywilnych tajniaków, z nakazem aresztowania starszego syna. Ponieważ nie było go w domu, w trakcie oczekiwania na niego przodownik „zajął się" starym Szpicbergiem. Złapał go za siwą brodę, obrzucił przezwiskami i obelgami, a na koniec skopał do nieprzytomności. Nie doczekawszy się na syna, zabrał starych na posterunek policji.

Tutaj po raz pierwszy Szpicbergowa spotkała się z sympatią i solidarnością zatrzymanych tam Polaków, działaczy robotniczych. Zażądali oni natychmiastowego zwolnienia niewinnych ludzi, grożąc rabanem. Interwencja poskutkowała. Szpicbergowa wiele razy opowiadała o tym fakcie. Stał się on momentem zwrotnym w jej życiu.

Choć na początku miała żal do syna, że naraził rodzinę i siebie na wstyd i przykrości, to jednak później, w miarę poznawania innych matek, z którymi stykała się pod bramą więzienia, zaczęła rozumieć sens idei, o którą walczyły jej dzieci.

W 1929 roku spotyka ją nowy cios. Zostaje aresztowany jej młodszy syn, Izydor. Był on podporą rodziny. W zawodzie krawieckim uchodził za mistrza i zarabiał bardzo dobrze. Całą pensję oddawał matce. Pomimo że pogodziła się już z tym, że synowie jej są komunistami i mogą być w każdej chwili aresztowani, ten cios był dla niej szczególną tragedią, którą przeżywała wciąż na nowo. Całymi dniami wystawała pod bramą więzienia w Mysłowicach, niezależnie od tego, czy było widzenie, czy nie. Nie

mogła pogodzić się z faktem, by „takie dobre dziecko niewinnie siedziało w więzieniu". Oczekiwała na syna, łudząc się, że może go wypuszczą. Oczekiwanie to trwało jednak długie miesiące. Dopiero po zakończeniu śledztwa udało jej się uzyskać zwolnienie syna za kaucją. Uciekając przed grożącym mu dużym wyrokiem, Izydor zmuszony był wyemigrować do Francji. Już go więcej nie zobaczyła. Została zamordowana w czasie okupacji przez hitlerowskich siepaczy. Syn jej w tym okresie wstąpił do francuskiego Ruchu Oporu i zginął w walce z okupantem.

Maria Targoszowa z Zagórza w Sosnowcu była prostą kobietą, która przez miłość do własnych dzieci pokochała ich idee i walkę, i stała się ich najbliższą towarzyszką tak w życiu osobistym, jak i partyjnym. Kochali ją wszyscy, nie tylko własna rodzina, ale starsi i młodsi działacze Zagłębia Dąbrowskiego, którzy zetknęli się z nią w pracy-organizacyjnej.

Daleka była od znajomości skomplikowanych praw walki klasowej. Tym bardziej nieznana jej była nauka o socjalizmie. Wiedziała jednak, że jej synowie wraz z innymi towarzyszami walczą o to, by w przyszłości rodziny górnicze i inni robotnicy nie doświadczyli tego, co było jej udziałem.

Od najmłodszych lat, a szczególnie od momentu szybkiego rozwoju przemysłu górniczego w Zagłębiu pod koniec ubiegłego stulecia, była świadkiem i osobiście przeżywała tragedię ciężko pracujących górników. W owym okresie, jak opowiadała, górnicy nie byli ubezpieczeni, gdyż związki zawodowe jako bardzo słabo wówczas rozwinięta organizacja nie były w stanie wywalczyć prawa dla pracujących pod ziemią ludzi. Katastrofy były nieodłączne od cyklu produkcyjnego jako następstwo nieodpowiedniego zabezpieczenia terenu pracy. Wśród rodzin górniczych mówiło się, że rzadko kto z ich bliskich, pracujących pod ziemią, umiera śmiercią naturalną, gdyż tąpnięcia i zasypania były zmorą dnia codziennego.

W 1907 roku wydarzyła się katastrofa górnicza na kopalni „Renard", gdzie wraz z innymi górnikami zginął mąż Marii Targoszowej. Nie otrzymała po nim żadnego odszkodowania pośmiertnego, jedynie pogrzeb odbył się na koszt właściciela kopalni. Renty też nie otrzymała, gdyż w tych czasach właściciele kopalń i fabryk tak zabezpieczali się przy zawieraniu umowy z robotnikiem. że na wypadek jego śmierci rodzina nie mogła rościć sobie żadnych pretensji.

Pozostała z sześciorgiem dzieci bez środków do życia. Zmuszona była szukać różnych, ciężkich prac dorywczych, jak pranie czy sprzątanie, gdyż z braku wykształcenia i konkretnego zawodu innej pracy dostać nie mogła. Pragnęła umożliwić dzieciom naukę, by nie były zmuszone do pracy w takich warunkach, jak ich ojciec. Niestety - było to ponad jej siły i możliwości materialne. Wszyscy jej synowie po kolei, jeszcze przed pełnoletnością, zostali górnikami.

Nie chcieli jednak ginąć tak, jak ich ojciec i wielu innych. Stali się aktywnymi działaczami Związku Zawodowego Górników i walczyli o ośmiogodzinny dzień pracy oraz o ubezpieczenia socjalne. Gdy w latach dwudziestych powstaje KPP, najstarszy syn Józef zostaje jednym z najaktywniejszych jej działaczy i w 1924 roku bierze już udział w kierowaniu walkami strajkowymi na Śląsku i w Zagłębiu. Zostaje aresztowany i osadzony w więzieniu.

Od tego momentu Targoszowa angażuje się w ruch rewolucyjny Zagłębia, choć nie należała do KPP.

Później zostaje opiekunką więźniów politycznych. Kiedy w 1925 roku wybuchła w więzieniu w Będzinie głodówka więźniów politycznych, wśród których przebywa szereg wybitnych działaczy KPP, m. in. Julian Leński-Leszczyński - Maria Targoszowa bierze udział w organizowaniu kobiet, które demonstrowały przed bramami więzień w obronie swoich najbliższych. W tym okresie syn jej, Józef, znalazł się znowu na wolności i zmuszony został, w obawie przed ponownym aresztowaniem, do wyjazdu za granicę. Miejsce jego zajęli teraz kolejno trzej jego bracia: Jan, Władysław i Paweł.

Targoszowa zawsze zachowywała rozwagę i spokój, nawet w chwili, kiedy jej synowie, Paweł i Władek, zostali skazani na długoletnie więzienie. Ale z kolei przybywają nowe troski. W więzieniu w Piotrkowie, gdzie siedzi jeden z synów, wybucha bunt więźniów politycznych, który krwawo zostaje zdławiony przez administrację sanacyjną. W więzieniu w Mysłowicach, gdzie przebywał drugi syn, rodzimi faszyści chcieli siłą zrównać więźniów politycznych z pospolitymi. Targoszowa jest jedną z najaktywniejszych kobiet, które w tej sprawie organizowały grupy kobiece przeciwko prześladowaniu ich najbliższych.

Gdy w latach trzydziestych fala strajków ogarnęła cały kraj, a szczególnie przemysł węglowy, kiedy byliśmy świadkami strajków okupacyjnych w Jaworznie, na Redenie w kopalni „Helena" i in. - Targoszowa pomagała przerzucać literaturę i instrukcje dla komitetów strajkowych, które były ściśle izolowane od reszty świata przez silne kordony i straże kopalniane. Towarzysz Walkowicz opowiada, że mimo tego, iż jej synowie siedzieli w więzieniach, a ona sama miała już wówczas sześćdziesiąt lat, świadczyła partii dużą pomoc.

Często w jej mieszkaniu odbywały się posiedzenia komitetu okręgowego KPP, a ona sama prawie zawsze osobiście pilnowała, czy w okolicach osiedla nie kręcą się podejrzani osobnicy. Kiedy w roku trzydziestym drugim przez Zagłębie Dąbrowskie przechodzi fala strajków okupacyjnych, a w dniu 1 Maja dochodzi do krwawych starć między demonstrantami a policją, Targoszowa zajmuje się udzielaniem pierwszej pomocy rannym towarzyszom.

I tak już do końca swego życia nie pomyślała nigdy o sobie, ale zawsze dbała o innych - a była już przecież starszą kobietą, wycieńczoną i schorowaną. Umarła w czasie okupacji.

Kobiety, których sylwetki nakreśliłem, stanowią zaledwie cząstkę wielkiej rodziny matek i żon, które były niby nierozerwalne ogniwo, łączące życie rodzinne z pracą organizacyjną. Ileż to razy, kiedy po masowych aresztowaniach wyższe instancje traciły kontakty z całymi dzielnicami, a niekiedy i okręgiem, nasze matki I żony starszych towarzyszy pośredniczyły w ich nawiązaniu.

Te kilka opisanych tu kobiet nie stanowi jakiejś dobranej, wyszukanej przeze mnie grupy. Takimi je znałem od dzieciństwa i tak zachowałem w swojej pamięci. Żałuję bardzo, że nie mogę bliżej scharakteryzować takich postaci, jak: Kieljanowa z Będzina, Śliwowa z Zagórza, Kozibąkowa z Modrzejowa, Baczyńska, Szczęśniakowa czy też Nawrotowa z Sosnowca - ale nie znałem ich tak dobrze, jak tamtych. Wiem, jednak, że ich droga życiowa była równie trudna i pełna wyrzeczeń.

XVIII
Na wolności bez partii

Trudno mi opisać radość, jaka zapanowała w dniu mojego powrotu do domu. Matka mieszkała wtedy przy ul. Ostrogórskiej w słynnych baraczkach „Janosika". Daruję czytelnikom opis tego osiedla, wystarczy jak wspomnę, że pierwszym aktem okupanta po zajęciu Sosnowca było spalenie tych drewnianych zabudowań ze względu na ich wyjątkową szpetotę.

Codziennie mieliśmy pełne mieszkanie gości. Przychodzili nie tylko, by mnie odwiedzić, ale wiedząc, że w Rawiczu przebywa wielu przywódców KPP, chcieli dowiedzieć się, co myślą i sądzą o sprawach partii towarzysze w więzieniu.

Nie wiedziałem, co im odpowiedzieć - przecież tamci oczekiwali właśnie na nowe informacje z wolności.

Przychodzili towarzysze, z którymi siedziałem w Mysłowicach, Katowicach, Cieszynie, jak Walkowicz, Suchojad, Bando, Borowik, Szopa, Borek, Goldkorn i wielu innych. Rozmowy toczyły się dokoła jednego i tego samego zagadnienia.

Matka obawiała się, by te ciągłe odwiedziny nie były poczytywane przez defensywę za próby organizacyjne i by nie wysłano mnie do Berezy bez sądu, co nie należało do rzadkości.

Towarzysze przygotowali mi kilkaset złotych na wyjazd leczniczy do Zakopanego lub Wisły. Matka nalegała, bym jak najszybciej wyjechał, gdyż rzeczywiście wyglądałem źle i czułem się bardzo osłabiony. Ale nawet myśleć nie chciałem o tym. Wróciłem przecież do towarzyszy, których nie widziałem przez tyle lat, a niezależnie od tego musiałem koniecznie spotkać się i Wieczorkiem, by dotrzymać obietnicy oczekującym w niepewności w więzieniu.

W Zagłębiu przyjęło się, że członkowie komitetu miejskiego lub dzielnicowego, którzy znajdowali się na tych stanowiskach w momencie rozwiązania partii, są i teraz osobami najbardziej zaufanymi - i do nich zwracano się ze wszystkimi sprawami.

Przedstawicielem Śródmieścia w Sosnowcu od 1938 roku był Izydor Marymont. Słyszałem o nim wiele w Rawiczu, gdyż siedział przede mną z tymi samymi towarzyszami, z którymi później i ja podzieliłem swój los. Uchodził on za znawcę marksizmu. Był to skromny człowiek, z zawodu krawiec, który po ciężko przepracowanym dniu siedział nad książkami i studiował nauki społeczne. Mieszkał z żoną przy ul. Dekerta, zajmując jeden mały pokoik.

Kiedy zobaczył mnie w progu swego domu - niezmiernie ucieszył się, zasypał od razu dziesiątkami pytań o poszczególnych, więzionych towarzyszy. Wreszcie doszedłem do głosu:

- Nie wiem, gdzie wkomponować swoją osobę. W więzieniu był zarząd komuny, nie odczuwaliśmy więc tak bardzo braku więzi organizacyjnej. Powiedz mi, co robi stary aktyw, jak wygląda życie naszego bractwa? - rzekłem.

- Środowisko na ogół trzyma się razem. Łączy nas luźna więź organizacyjna, dotycząca opieki nad więźniami politycznymi, co w komunikacie nie było zabronione. Większość z nas pracuje aktywnie w

związkach zawodowych. Jak przyjdzie instrukcja o wznowieniu działalności partii, to my w Zagłębiu jesteśmy w stanie w ciągu miesiąca odbudować całą organizację.

- A jak wygląda sprawa młodzieży? - zapytałem. - Czy przybywają nowi towarzysze?

- Z młodzieżą jest lepiej. Mają możność wyżyć się w TUR-ze, zrzeszeniach sportowych i innych organizacjach. Mają pole do popisu.

- Co radzisz mi teraz robić?

- Przede wszystkim odpocząć, a potem zobaczymy.

Nazajutrz udałem się do Szopienic na spotkanie z Wieczorkiem.

Jakaż była jego radość, kiedy mnie zobaczył. Gdy zapytałem, co u niego słychać, jak wygląda sytuacja na Śląsku, dlaczego nic dotychczas nie napisał, posmutniał tylko i powiedział:

- Sytuacja jest niewesoła. Wszystko w rozsypce. Mógłbym objąć kierownictwo nad Zjednoczonym Ruchem Zawodowym na Śląsku - takie propozycje bowiem czynili mi działacze związkowi. Uzależnili jednak swoją decyzję od zgody wojewody. Ten zaś oświadczył mi za pośrednictwem starosty Seidlera, że będę natychmiast wysiedlony ze Śląska, jeśli rozpocznę jakąkolwiek działalność związkową lub inną.

- A czy masz jakieś dane o perspektywach rekonstrukcji partii?

- Na razie ta sprawa nie przedstawia się wesoło. Nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że wojna zbliża się z dnia na dzień. Nie ma partii. Jeśli aktyw będzie całkowicie poza nawiasem życia społecznego i związkowego, to nawet nie będzie można pokierować inicjatywą klasy robotniczej dla obrony kraju.

- Zgłosiłem się wczoraj w RKU w Sosnowcu, nawet nie chcieli wziąć mnie na ewidencję rezerwy, a moją prośbę o możność ochotniczego wstąpienia do wojska wyśmiali, mówiąc, że obronią ojczyznę bez komunistów.

- Ja również zgłosiłem się w RKU, a ponadto napisałem w tej sprawie memoriał do premiera Sławoja. Odpowiedzieli, że jestem pozbawiony praw obywatelskich na 5 lat. Jednocześnie wojewoda zabronił przyjęcia mnie ponownie do Związku Powstańców Śląskich, choć brałem udział we wszystkich trzech powstaniach.

- Towarzysze mają do ciebie żal, że nie napisałeś listu, tak jak było mówione.

- Cóż ja im mogłem napisać. Wiem przecież tyle, co oni tam, w więzieniu. Byłem w czerwcu w Warszawie i Łodzi. Szukałem kontaktu, ale z kim się spotkałem - był w tym samym położeniu, co ja.

- Co mówią tu na Śląsku towarzysze? Czy nie ma żadnych planów organizacyjnych?

- Jest taki pogląd, że na razie trzeba czekać. Wszelkie związki organizacyjne mają być poczytywane za działalność prowokacyjną. Uważam to za niesłuszne.

- A jakie widzisz możliwości zmiany tej sytuacji? - zapytałem.

- Dłużej czekać nie wolno, bo klasa robotnicza nam tego nie wybaczy. Pojadę jeszcze raz do Warszawy. Może jednak uda mi się nawiązać jakiś kontakt z przedstawicielem Kominternu.

Umówiliśmy się, że po przyjeździe jego z Warszawy napiszemy wspólnie list do Rawicza, a ja tymczasem pojadę na dwa tygodnie do Zakopanego.

Drugi raz spotkałem się z nim w mieszkaniu mojej matki, w pierwszych dniach września po wkroczeniu hitlerowców do Polski.

Miał przepustkę wyrobioną przez znajomych towarzyszy z Niemiec na przejście z Katowic tj. z Reichu do Sosnowca. Choć później Sosnowiec został wcielony do Rzeszy, to jednak długo jeszcze obowiązywały przepisy graniczne.

Jeśli człowiek czegoś bezgranicznie pragnie, do czegoś bezustannie dąży, ciągle o tym marzy - to skłonny jest uwierzyć każdej plotce, jeśli nie ma innych źródeł informacji. To daje mu jakąś nadzieję na urzeczywistnienie jego życzeń. Któregoś dnia ktoś puścił plotkę, że słyszał przez radio jakoby ZSRR postawiło Niemcom ultimatum o wycofaniu się do granic z 1914 roku.

Zaświtała nadzieja. Pozbędziemy się hitlerowców! Granica w 1914 roku przebiegała wzdłuż Przemszy między Sosnowcem a Szopienicami.

Wieczorek znalazł się w swoim żywiole. Natychmiast przystąpiliśmy do organizowania milicji robotniczej. Przez trzy dni biegaliśmy w dzień i w nocy, tworzyliśmy cały trzon organizacyjny. Okazało się potem, że to „kaczka", a my wzięliśmy tę wiadomość za wiarogodną.

Hitlerowcy tymczasem umacniali swoją władzę w zdobytym kraju. Codziennie wychodziły nowe zarządzenia. Wszystkie uzupełnione sakramentalnym zakończeniem: „...za niepodporządkowanie się lub niewykonanie grozi kara śmierci przez rozstrzelanie". W parze z groźbami szły egzekucje.

Część defensywiaków już w pierwszych dniach hitlerowskiej władzy zaczęła skrzętnie współpracować z Gestapo. Oni to dostarczyli im kartotekę komunistów, a szczególnie więźniów politycznych. Trzeba obiektywnie przyznać, że niektórzy szpicle, jak Czarnecki, „dziobaty" Nowak z Będzina i inni, uprzedzili nas o tym. Natomiast komisarz Kardasiewicz, Pałys, Pędras i wielu innych od pierwszych dni panoszenia się hitlerowców przyłączyli się do nich przeciwko polskim patriotom, a przede wszystkim komunistom. Ruch podziemny wydał na nich wyrok śmierci za kolaborację.

Po dwóch tygodniach władzy okupacyjnej wyszło zarządzenie Gestapo, że wszyscy byli więźniowie polityczni zobowiązani są natychmiast zameldować się na policji. Jednocześnie kilku towarzyszy, którzy wyszli z więzienia przed wojną lub wydostali się z niego sami po ucieczce administracji więziennej - otrzymało nakazy natychmiastowego stawiennictwa w Gestapo. Ja również otrzymałem takie wezwanie.

Kiedy radziłem się Wieczorka, co robić, odpowiedział:

- Zbieraj manatki i wal na wschód. Słyszałem, że przez San można przejść bez większych trudności. Tutaj nie masz czego szukać. Bez organizacji nie potrafisz się ukryć nawet przez parę dni. Zatłuką na śmierć. Jedź do Lwowa, poszukaj towarzyszy z Rawicza, przekaż im, gdzie jestem, i zapytaj, co mam z sobą robić. Na razie zostanę tutaj. Sądzę tylko, że będę musiał przenieść się ze Śląska do Zagłębia.

- Możesz zamieszkać u mojej matki, ale dla większego bezpieczeństwa wolę odstąpić ci mieszkanie kuzyna, który nie wrócił z wojska, a żona jego mieszka u swoich rodziców. Mam klucze od tego lokalu.

- Chyba skorzystam z propozycji, ale wpierw muszę zaopatrzyć siebie i twoją matkę w produkty. Pojadę do Katowic, gdyż tam z nabyciem artykułów żywnościowych nie ma kłopotu. Na razie okupanci chcą w pierwszych dniach władzy przypodobać się Ślązakom.

Pomimo długoletniego doświadczenia w pracy konspiracyjnej nie liczył się z grożącym mu niebezpieczeństwem.

- To za wielkie ryzyko - oponowała moja matka. - Jeszcze was ktoś pozna, zadenuncjuje i źle się to skończy. Alicja Rzemieniecka i jej mąż pracują teraz w spółdzielni. Oni zaopatrzą nas w produkty, tak że z głodu nie zginiemy. Zamknę mieszkanie i od razu przeprowadzimy się do bratanka. Tam będzie bezpieczniej.

Tego samego dnia wyjechałem do Rzeszowa przez Kraków i bez większych trudności znalazłem się po drugiej stronie Sanu.

Miałem tylko nieprzyjemną przygodę przy „forsowaniu" rzeki. W jednym miejscu wpadłem w wir i z trudem się z niego wydostałem. Prąd wody uniósł przy tym moją teczkę z zapasową bielizną. Wstąpiłem więc po drodze do znanej działaczki KZMP z Sosnowca, Franki Rożek (Pater-Misiaszkowa), która zaopatrzyła mnie w brakującą garderobę oraz bieliznę i udałem się w dalszą drogę do Lwowa.

Zgłosiłem się do towarzyszki „Luny", która była sekretarzem obwodowego komitetu MOPR-u we Lwowie i dostałem skierowanie do „hotelu" zarezerwowanego dla byłych więźniów politycznych, którzy uwalniając się z sanacyjnych więzień, przybywali z całej Polski na zajęte przez Armię Radziecką tereny.

„Hotel" był to pawilon kobiecego więzienia Brygidki, zarekwirowany przez przewidujące więźniarki polityczne w pierwszym dniu wkroczenia Armii Czerwonej. Tam urządziły one siedzibę dla towarzyszy, którzy nie mieli się gdzie podziać. Prawdziwe hotele i inne wolne mieszkania zajęły przed nami bardziej przewidujące i przedsiębiorcze elementy kupiecko-przemysłowe. Złośliwi jednak mówili, że „wilka ciągnie do lasu", skoro za najlepsze locum dla siebie uznaliśmy więzienie.

Tymczasem przybywali coraz to nowi towarzysze. Niektórzy nawet w umundurowaniu więziennym. Z Zagłębia i Śląska mieliśmy już około 150 osób. Prawie wszyscy mieszkali w Brygidkach. Ja zostałem wybrany delegatem grupy śląsko-zagłębiowskiej.

O załatwieniu polecenia Wieczorka nie było mowy, bo wszyscy wiedzieli tyle, co ja, nawet ci najwybitniejsi nic nie mogli mu poradzić.

Spotkałem wówczas towarzysza Anastazego Kowalczyka, który już pracował jako funkcjonariusz związków zawodowych Zachodniej Ukrainy. Był również zawiedziony. Opowiedziałem mu o sytuacji w Zagłębiu i o decyzji Wieczorka pozostania u mojej rodziny do chwili otrzymania od nas wiadomości o szansach wznowienia działalności KPP. Według danych Nastka wynikało, że starania niektórych towarzyszy, jak Lampego, Zachariasza, Aleksandra Zawadzkiego, Kolskiego i innych, w tym kierunku nie dały żadnych rezultatów. Sądząc z ogólnej sytuacji i z rozmów z działaczami Kominternu, nie ma mowy, by w najbliższej przyszłości można było liczyć na wznowienie działalności KPP.

Po paru dniach nadarzyła mi się okazja do skontaktowania z Wieczorkiem. Do Sosnowca z powrotem jechała nielegalnie młodsza siostra Heleny Kozak, którą poprosiłem, by powiadomiła Wieczorka o tym, jak tu wygląda sytuacja, i że towarzysze z Zagłębia i Śląska proszą go, by mimo wszystko natychmiast tu przyjechał, bo na razie nie ma mowy, by stąd mógł otrzymać jakąś pomoc organizacyjną.

Po dwóch tygodniach Wieczorek przybył do Lwowa tą samą trasą, co ja, w towarzystwie moich sióstr, Ewy i Frani. Teraz on przejął przewodnictwo nad naszą grupą, a ja wyjechałem do moich przyjaciół więziennych z Cieszyna.

Wieczorek poszedł na razie pracować do gazowni we Lwowie. Na przystąpienie do organizowania nowej partii, PPR, musiał jeszcze jakiś czas czekać.

Dalsze jego losy są już znane.

I ja musiałem długo czekać na tę chwilę. Po czterech latach tułaczki, przez ewakuacje i fronty wróciłem w 1944 roku do kraju. Stanąłem znów na polskiej ziemi. Ale to już zupełnie inny temat.

Henryk Winiawski (Warszawski) Zdjęcie wykonane w 1931 r. w czasie pobytu w więzieniu w Piotrkowie

Członkowie KZMP z Dąbrowy Górniczej. Zginęli w walce z przeważającymi siłami policji i wojska, po wykonaniu przez Józefa Pietrasa wyroku śmierci na zdrajcy, niebezpiecznym prowokatorze Kamińskim, w 1925 r.

Franciszek Pilarczyk

Mieczysław Hajczyk

Działacze KPP w Zagłębiu Dąbrowskim, aresztowani z prowokacji Zyngiera

Aleksander Rożek

Anastazy Kowalczyk

Franciszka (Zofia) Pater-Misiaszczykowa

Feliks Szopa

Eugeniusz Urgacz

Członkowie KZMP, organizatorzy PPR w Zagłębiu Dąbrowskim w czasie okupacji. Zginęli w Oświęcimiu.

Bolesław Smółka

Władysław Smółka

Wacław Rożek z Czeladzi, w latach przedwojennych poseł komunistyczny na Sem. Zdjęcie przedstawia go w chwili przybycia na wiec pierwszomajowy w 1930 r., po pobiciu go przez policję w Dąbrowie Górniczej.

Kazimierz Kieruzalski, działacz KPP, poseł komunistyczny na Sejm. Razem z posłem, tow. Rożkiem, przyjechał w 1930 r. na wiec pierwszomajowy w Sosnowcu. Był również pobity przez policję, jednak zdjęcia dokumentującego to wydarzenie nie udało się odnaleźć

Zlot w Murckach. Grupa młodzieży biorącej udział w występach artystycznych i zawodach sportowych w otoczeniu uczestników zlotu

Zlot w Murckach. Grupa młodzieży ze Śląska i Zagłębia po pierwszym odparciu ataku nielicznej jeszcze grupy policji

Obelisk ufundowany przez wojewódzką organizację ZMS na Śląsku w XXVI-tą rocznicę zlotu w Murckach

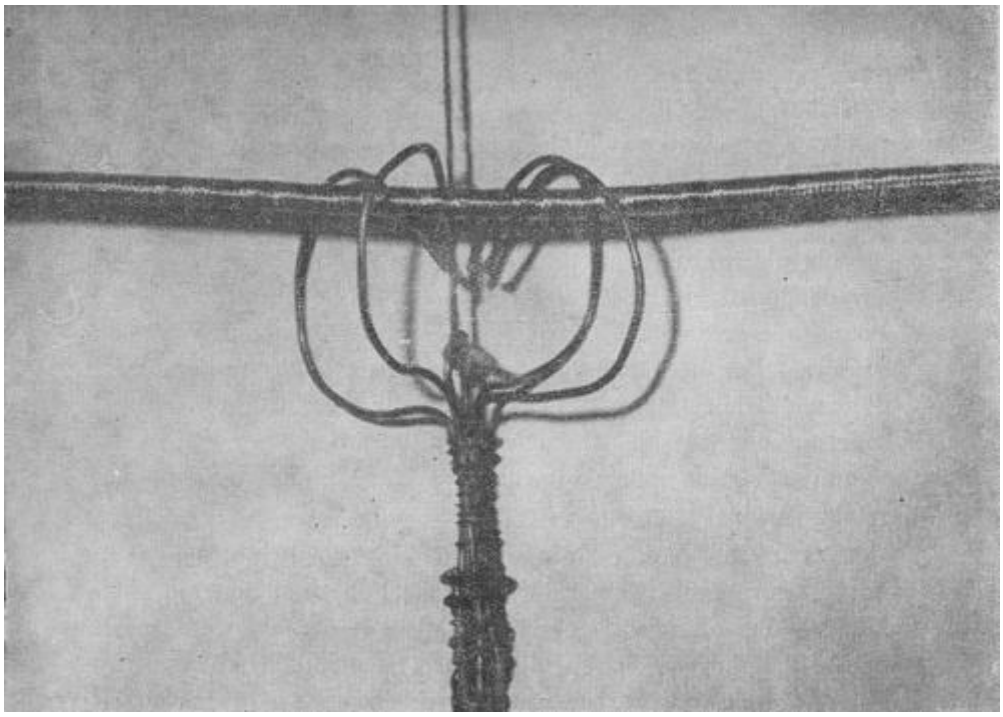

Żabka służąca do zawieszania sztandarów na drutach

Zrekonstruowany transparent: KZM-owski z 1935 r.

Julian Rozmaryn, jeden z komunistów więzionych w Mysłowicach, choć więzienie to było w zasadzie przeznaczone dla znajdujących się w śledztwie lub mających małe wyroki. Rozmaryn pięć lat przesiedział w pojedynce

Stanisław Walkowicz, członek OK KPP Zagłębia Dąbrowskiego, więzień polityczny Mysłowic, członek zarządu komuny więziennej

Andrzej Suchojad, członek OK KPP Zagłębia Dąbrowskiego, więzień polityczny Mysłowic, a następnie w czasie okupacji obozów hitlerowskich

Henryk Warszawski, długoletni więzień polityczny Mysłowic i Piotrkowa, technik okręgowy KPP w Zagłębiu Dąbrowskim.

Stanisław Segda, długoletni więzień polityczny Mysłowic i Berezy Kartuskiej, działacz KZMP w Zagłębiu Dąbrowski

Paweł Targosz, członek OK KPP Zagłębia Dąbrowskiego, długoletni więzień polityczny Mysłowic i Cieszyna, członek zarządu komuny więziennej

Grupa działaczy KZMP z Zagłębia Dąbrowskiego w parę dni po pogrzebie Mieczysława Wojasa (którego portret trzyma jeden z towarzyszy) zamordowanego w mysłowickim więzieniu w 1933 t Stoją od lewej: Antoni Stolarski, Stanisław Wawrocki, Tadeusz Stojczyk, Józef Kula, Bolesław Smółka. Siedzą: Emil Kaczorek i Teofil Wacławik. Wszyscy byli organizatorami PPR i GL i prócz St. Wawrockiego zginęli w walce z hitlerowcami

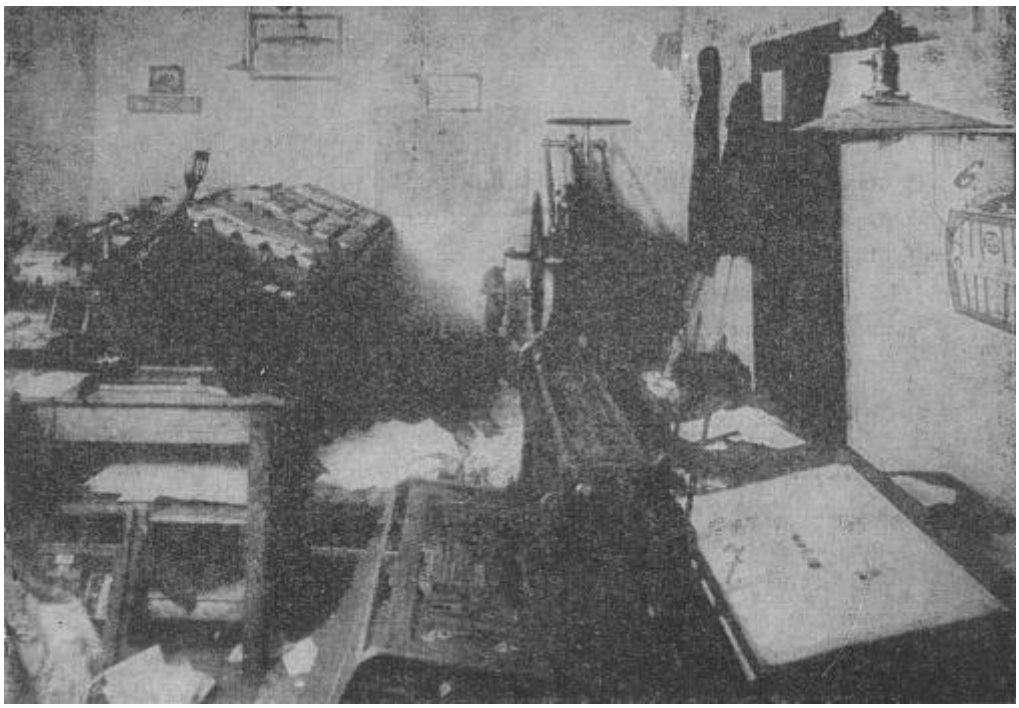

Lokal nielegalnej drukarni KPP w Krakowie

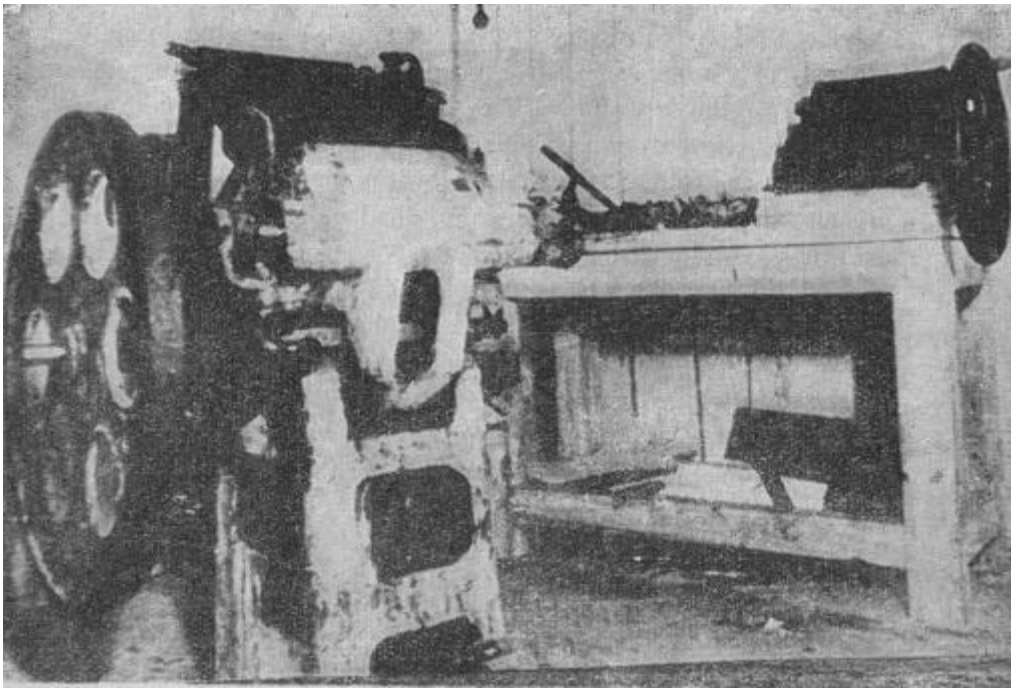

Drukarnia KC KPP

Natalia Maskalan, "Netka"

Władysław Wroński po wyjściu z więzienia w Cieszynie w 1932 r.

Górnicy kopalni "Pokój" podczas strajku okupacyjnego w 1933 r.

Wejście do byłego Okręgowego Urzędu Śledczego (defensywy) Zagłębia Dąbrowskiego w Sosnowcu

Tablica pamiątkowa ku czci zamordowanego w czasie śledztwa towarzysza

Alicja Rzemieniecka (Woźnica) działaczka KZMP z Sosnowca. Mając siedemnaście lat, została skazana na 5 lat więzienia przez Sąd Okręgowy w Sosnowcu. W czasie okupacji była od 1942 do 1945 r. więźniarką hitlerowskich obozów koncentracyjnych

Stanisław Firstenberg, długoletni więzień polityczny Mysłowic i Katowic, sekretarz OK KPP Zagłębia Dąbrowskiego. Zginął w 1939 r. po wyjściu z więzienia w nieznanych okolicznościach

Jan Kawalec, działacz lewicowy na Śląsku, w latach przedwojennych redaktor naczelny „Wiadomości Robotniczych” i „Głosu Robotniczego”, członek OK PPR w czasie okupacji i naczelny redaktor „Trybuny Robotniczej”. Zmarł w 1945 r., wycieńczony katuszami, jakie przeszedł w hitlerowskim obozie

Teodor Duracz, dwukrotny mój obrońca w procesach apelacyjnych

Stefania Sempołowska. Przez cały okres mojego uwięzienia przysyłała mi regularnie co miesiąc zapomogę pieniężną i opłacała mi prenumeratę „Gazety Polskiej”

Kazimierz Kozioł, działacz KZMP na Śląsku i w Zagłębiu, więzień polityczny Katowic

Karol Tkocz, działacz KZMP na Śląsku, Więzień polityczny Katowic

Dawid Szczekociński, opiekun więźniów politycznych w Katowicach

Więźniowie polityczni z komuny cieszyńskiej z 1930 r. Czwarty od lewej w ostatnim rzędzie stoi Stanisław Trzaska, w przedostatnim pierwszy od lewej - Tomasz Bando. Na ławce siedzą: druga od lewej - Jadwiga Lewecka, następnie: Mikołaj Bondarenko „Julek", Felicja Rożek, Mieczysław Szydłowski, Górecki, Maria Dziekan, Rozner. Ostatni w tym rzędzie - Paweł Targosz. Na ziemi piąta od lewej siedzi Szwimer-Legomska „Bronka". Ponadto na zdjęciu znajdują się towarzysze: Smaga, Majerczyk, Wojfgang, Kaufman i Gincyk. Pozostałych nie rozpoznano

Artur Neuman, starosta komuny więziennej w Cieszynie, sekretarz podokręgu Bielsko-Cieszyn w latach 1933-1935, długoletni więzień polityczny. Zginął w 1941 r. z rąk ukraińskich faszystów

Izydor Liefschytz, sekretarz KZMP - podokręgu Bielsko-Cieszyn w 1935 r., członek komuny więźniów politycznych Cieszyna. Zginął pod Lenino

Józef Dylner, działacz łódzki KZMP i KPP, długoletni więzień polityczny sanacji. Zginął zamordowany przez Gestapo

Izydor Marymont, długoletni więzień polityczny Rawicza, członek KD KPP w Sosnowcu

Jozef Wieczorek, długoletni więzień polityczny sanacji, w latach przedwojennych poseł komunistyczny na Sejm, wybrany w Zagłębiu Dąbrowskim. Współorganizator PPR w czasie okupacji. Zamordowany przez hitlerowców w Oświęcimiu. Zdjęcie wykonane przed aresztowaniem

Jozef Lewartowski, długoletni więzień polityczny w Rawiczu, członek KC KPP, przywódca frontu antyfaszystowskiego w getcie warszawskim, zamordowany przez hitlerowców w czasie okupacji

Katarzyna Kozioł Zdjęcie z 1925 r.

Emilia Cedlerowa Zdjęcie aktualne

Edmund Cedler, więzień polityczny caratu, trzymany następnie przez sanację długie lata w więzieniach i Berezie Kartuskiej

Katarzyna Wrońska (1879-1960)

Balbina Misiaszek z Czeladzi (1882-1960)

Katarzyna Segdowa Zdjecie aktualne

Maria Suchojadowa z Zagłębia Dąbrowskiego

Konstancja Walkowicz z Sosnowca

Maria Targosz z Zagórza w Sosnowcu (1867 - 1942)

Działacze KPP i KZMP i Zagłębia Dąbrowskiego na zlocie w Rabsztynie w 1962 r. zorganizowanym przez Referat Historii Partii z okazji XL-lecia powstania KPP i KZMP

Spis treści

I Lata dziecięce 4
II Mój pierwszy kontakt z pracą nielegalną 10
III Wydarzenia z 1929 roku w Zagłębiu 15
IV Pierwszy Maja 1930 roku 22
V Więzienie w Mysłowicach 26
VI W szeregach Komunistycznego Związku Młodzieży w latach 1931-1933 32
VII historyczny zlot młodzieży komunistycznej w Murckach 39
VIII Wśród nas jest głęboko zakonspirowany zdrajca 45
IX Zapada decyzja o likwidacji prowokatora 60
X Pościg 68
XI Śledztwo w trybie doraźnym 73
XII Przygotowanie do rozprawy i przebieg procesu 84
XIII Więzienie w Będzinie 91
XIV Więzienie w Katowicach 95
XV Komuna więźniów politycznych w Cieszynie 105
XVI Więzienie w Rawiczu, sylwetki, wydarzenia 119
XVII Sylwetki naszych matek 128
XVIII Na wolności bez partii 142

WIEDZA I KSIĄŻKA 1964
Okładkę projektowali M. IHNATOWICZ i A. KRAJEWSKI
Redaktor BOŻENA WILOCHOWA
Redaktor techn. Ewa Leśniak
Korektor Marta Druszkowska
Copyright by „Książka i Wiedza", 1964 „Warszawa, Poland
„Książka i Wiedza", Warszawa, grudzień 1964 r. Wyd. I. Nakład 10 000 + 260 egz. Obj. ark. wyd. 11. Obj. ark. druk. 16 (13,8). Papier ilustr. kl. III, 80 g, 84 X 108 cm. Oddano do składania 25. VII. 1964 r. Druk ukończono w grudniu 1964 r. Zakłady Graficzne w Toruniu, ul. Katarzyny 4. Zam. nr 578/D. C-13 Cena w oprawie broszurowej zł 15.-
Sześć tysięcy pięćset czterdziesta czwarta publikacja „KiW

ZORG